

Musiątkiewicz:
Na rzecz wspólnot lokalnych

Marciniak:
Przez pryzmat mitologii

Proń, Szatyłowicz:
Sprawcza rola rankingów

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 10/2023

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Zawodowe metamorfozy Str. 15-23

Gramatyka:
Uczciwość artysty

Tutak:
Problemy polityki migracyjnej

Kurcz:
Wielokulturowość naturalna

Uczelnie pomogą zdobyć atrakcyjne kwalifikacje

100 mln zł z Programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego przeznaczy Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBR) na rozwój poszukiwanych na rynku pracy kwalifikacji i kompetencji pracowników. W konkursie dla uczelni wnioski można składać jeszcze do 14 listopada br.

Czy wiesz, że ponad trzy czwarte firm w Unii Europejskiej ma trudności ze znalezieniem pracowników posiadających niezbędne umiejętności, a w szkoleniach regularnie uczestniczy zaledwie 37 proc. dorosłych?

Komisja Europejska, zaniepokojona tymi danymi, ogłosiła 2023 rok Europejskim Rokiem Umiejętności. Chciała w ten sposób zwrócić uwagę na potrzebę nauki przez całe życie – w tym zdobywanie nowych kwalifikacji – oraz znaczenie umiejętności na rynku pracy.

Inicjatywa ta znajduje odzwierciedlenie w kolejnym konkursie ogłoszonym w ostatnich miesiącach przez NCBR. Tym razem uczelnie będą mogły rozwinąć ofertę adresowaną do osób dorosłych, które chcą podnieść lub uzupełnić swoje kompetencje i kwalifikacje zawodowe, zgodnie z oczekiwaniami pracodawców i rynku pracy.

Osiągnięciu tego celu służyć będą rozmaite programy i działania dydaktyczne, m.in. kursy, szkolenia czy warsztaty. Projekty mogą również obejmować uruchamianie i prowadzenie kształcenia specjalistycznego na 5. poziomie Polskiej Ramy Kwalifikacji. Wsparciem nie są natomiast objęte studia podyplomowe.

– Poprzez konkurs „Rozwój kwalifikacji i kompetencji osób dorosłych” chcemy umożliwić szkołom wyższym przekazywanie idei uczenia się przez całe życie w konkretne propozycje. W obliczu zmian, jakie zachodzą na naszych oczach, stały rozwój zawodowy to konieczność. Kto go zaniedba, ten faktycznie się cofa – mówi dr Jacek Orzeł, dyrektor Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. – Nabywanie umiejętności, na które panuje największy popyt, jest szansą zarówno dla poszczególnych pracowników, jak i całej naszej gospodarki. Uczelnie mogą w tym pomóc, biorąc pod uwagę oczekiwania pracodawców oraz mierząc się z wyzwaniem kształcenia kadr na potrzeby zielonej i cyfrowej gospodarki. One już taki potencjał mają, ale warto i trzeba go wzmocnić – dodaje.

Nowoczesne uczelnie współpracują z przemysłem

Projekty w konkursie mogą zgłaszać uczelnie – samodzielnie lub, w uzasadnionych przypadkach, w partnerstwie np. z inną uczelnią. Na ich realizację przyznawane będzie dofinansowanie w wysokości do 97%, wymagany jest także niewielki wkład własny.

Kto może być uczestnikiem takiego projektu? NCBR zakłada, że będą to osoby w wieku 18-64 lat, które pracują lub mogą być aktywne na rynku pracy i potrzebują specjalistycznych kwalifikacji lub kompetencji.

Te ostatnie będą określane na podstawie diagnozy przeprowadzonej przez wnioskodawcę w toku np. własnych analiz lub innych aktualnych badań dotyczących luk w umiejętnościach pracowników.

NCBR przewiduje, że w efekcie projektów kompetencje lub kwalifikacje zdobędzie w sumie co najmniej 8 tys. osób.

– To wzmocni ich pozycję na rynku pracy oraz pozwoli pełniej wykorzystać w naszym kraju nowe możliwości, jakie niesie ze sobą ekologiczna i cyfrowa zmiana. Nie mam wątpliwości, że duże znaczenie dla powodzenia projektów będzie miało zaangażowanie pracodawców z branż o największym potencjale innowacyjnym i konkurencyjnym w danym regionie Polski, zarówno na etapie tworzenia programów, jak i prowadzenia zajęć – zwraca uwagę dyrektor Jacek Orzeł.

Nabór konkursyjny „Rozwój kwalifikacji i kompetencji osób dorosłych” realizowany jest w ramach Działania „Umiejętności w szkolnictwie wyższym” Priorytet „Umiejętności” Programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego.

Więcej informacji o konkursie znajduje się na stronie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju: gov.pl/ncbr.

Materiał informacyjny Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



NCBR
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Sytuacja ekonomiczna uniwersytetów klasycznych – <i>Mirosław Gornowicz</i>	6
NCN nagrodiło młodych naukowców – <i>Mariusz Karwowski</i>	8
CITTRU UJ skończyło 20 lat	9
Sztuczna inteligencja i patenty – <i>Piotr Brylski</i>	10
Studentki na (niejeden) medal – <i>materiał sponsorowany</i>	12
Pogranicze, które łączy – <i>Waldemar Tarczyński</i>	14
Między akademickością i profesjonalizmem – <i>Jerzy Nitychoruk</i>	15
Studentom zależy na „srebrach rodowych” – <i>Jan Kuriata</i>	16
Formalnie, ale bezpośrednio – <i>Janusz Poła</i>	17
Publiczne uczelnie zawodowe - 25 lat – <i>Piotr Kieraciński</i>	18
Biblioteka Polska w Paryżu w nowej rzeczywistości	71

ROZMOWA FORUM

Powinniśmy rozwijać się wspólnie z naszymi regionami – <i>rozmowa z dr. Robertem Musiałkiewiczem, prof. ANS we Włocławku i rektorem tej uczelni, przewodniczącym KRePUZ</i>	20
--	----

ŻYCIE NAUKOWE

Gdzie naukowiec pracuje? – <i>Paweł Kawalerski</i>	24
Antyczny klucz do współczesności – <i>rozmowa z prof. dr hab. Katarzyną Marciniak z Wydziału „Artes Liberales” UW, laureatką European Research Council Proof of Concept Grant</i>	26

Z archiwum nieuczciwości naukowej (202)

Doktorat prawie doskonały – <i>Marek Wroński</i>	30
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Korygowanie Humboldta – <i>Zbigniew Drozdowicz</i>	34
Rankingowe podniety – <i>Adam Proń, Halina Szatyłowicz</i>	37
Tradycje i mody – <i>rozmowa z prof. Jackiem Gramatyką z Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu</i>	42
Czytelnia czasopism – <i>Aneta Zawadzka</i>	47

Publikuj lub giń

Czytać, dużo czytać – <i>Marek Misiak</i>	48
--	----

Z LABORATORIÓW

O polityce migracyjnej – <i>Grzegorz Tutak</i>	51
Jak przygotować dobrą prezentację multimedialną? – <i>Mariola Antczak</i>	54
Od narodowości do mniejszości – <i>Zbigniew Kurcz</i>	57
Kiedy słyszymy „głosy” – <i>Izabela Stefaniak</i>	62

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej

Łowca nazistów – <i>Marcelina Smużewska</i>	66
--	----

Pro publico bono (12)

Błędne drogi socjologii – <i>Piotr Hübner</i>	69
--	----

Okolice nauki

Trudna sztuka babienia – <i>Marcelina Smużewska</i>	72
--	----

Książki

Po tamtej stronie gwiazd – <i>Marek Misiak</i>	77
Zagadki życia – <i>Justyna Jakubczyk</i>	77
Pracowali dla III Rzeszy – <i>Bogdan Bernat</i>	78
Nowe myślenie o regionie – <i>Zbigniew Chojnowski</i>	78
Michał Lancz i malarstwo polskie – <i>Juliusz Gałkowski</i>	79
Wstęp do psychologii sztuki – <i>Anna Jawor</i>	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Krótki raport na temat trzech częstych niezręczności – <i>Piotr Müldner-Nieckowski</i>	76
---	----

Na marginesach nauki

Jednym zdaniem – <i>Leszek Szaruga</i>	80
Projekt okładki – <i>Sławomir Makal</i>	

FORUM
AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXIX Nr 10 (359) Październik 2023

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieraciński@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MEiN

Projekt „Forum Akademickie – środowisko ogólnopolskiej debaty akademickiej” finansowany jest ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna odpowiedzialność nauki II”.

Nagroda Heisiga dla chemika

WROCŁAW Prof. Lechośław Latos-Grażyński z Uniwersytetu Wrocławskiego otrzymał Nagrodę Heisiga. Został doceniony za odkrycie odmienności strukturalnej porfiryn, które zaowocowało bogactwem innowacyjnych struktur o szerokim potencjale badawczym i aplikacyj-



Fot. Paweł Piotrowski

nym. Przedmiotem jego zainteresowania są również materiały funkcjonalne na bazie modyfikowanych porfiryn, które mogą odegrać ważną rolę w katalizie, biologii i medycynie. Nagroda Heisiga to jedno z dwóch (obok Nagrody FNP) najwyższych finansowych wyróżnień w polskiej nauce – laureat otrzymuje 200 tys. zł. Kandydatów zgłaszają uczelnie biorące udział w programie IDUB. Jest przyznawana raz na dwa lata. Pierwszym laureatem był w 2021 roku prof. Jan Potempa z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Połowa Horyzontu na naukę

BRUKSELA Ponad 411 mln euro – na taką sumę opiewają umowy grantowe, jakie realizuje obecnie 464 polskich beneficjentów w ramach Horyzontu Europa (to 1,65% środków przyznanych państwom członkowskim UE). W 94 spośród 863 projektów Polacy pełnią rolę koordynatorów. Ponad połowę polskich środków z HE (54,2%, 223 mln euro) trafiło do sektora nauki. Kwota ta stanowi 0,82% wydatkowanego do tej pory budżetu całego programu. W podziale tej sumy uczestniczą 152 instytucje. Wśród podmiotów naukowych liderem pozostaje Uniwersytet Warszawski (25,7 mln euro). Niewiele mniej dostał Uniwersytet Jagielloński (24 mln euro). Podium zamyka Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (ponad 17,3 mln euro). Pod względem pojedynczego dofinansowania liderem jest Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie, który koordynuje projekt dotyczący RNA i biologii komórki. Na jego realizację w ciągu sześciu lat Komisja Europejska przeznaczyła prawie 15 mln euro, z czego 10,1 mln euro trafiło do polskiej jednostki.

Wielka Brytania (naukowo) znów w UE

BRUKSELA Komisja Europejska osiągnęła porozumienie polityczne z Wielką Brytanią w sprawie jej udziału w programach UE Horyzont Europa oraz Copernicus. Oznacza to, że od 1 stycznia 2024 r. badacze i organizacje z Wlk. Brytanii będą mogli uczestniczyć w obu programach na równych prawach ze swoimi odpowiednikami w państwach członkowskich UE, a co za tym idzie także z dostępem do finansowania. Szacuje się, że Wielka Brytania za uczestnictwo w obu programach będzie co roku wносиła do wspólnotowego budżetu prawie 2,6 miliarda euro. Horyzont Europa to największy w historii Unii Europejskiej program wspierający badania naukowe i innowacje. Jego budżet na lata 2021–2027 wynosi ponad 95 mld euro. Z kolei Copernicus to wiodący na świecie unijny program obserwacji Ziemi.

U honorowano chemika z GUMed

GDAŃSK Prof. Tomasz Bączek, specjalista w zakresie analityki biomedycznej i farmaceutycznej, chemii leków, bioanalityki oraz proteomiki, kierownik Katedry i Zakładu Chemii Farmaceutycznej GUMed, został laureatem Nagrody i Medalu im. prof. Romana Kaliszana. To wyróżnie-

nie przyznawane corocznie za wybitne osiągnięcie naukowe z zakresu nauk biomedycznych lub biofarmaceutycznych otwierające nowe możliwości aplikacyjne w medycynie i farmacji. Zostało ustanowione w 2020 r. przez Naukową Fundację Polpharmy, Gdański Uniwersytet Medyczny i Gdańskie Towarzystwo Naukowe. W poprzednich latach laureatami byli: prof. Marcin Kołaczowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego i prof. Bogusław Buszewski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.



Fot. Paweł Paszko

Nagroda dla białoruskiego historyka

KRAKÓW Historyk dr Nikola Volkau otrzymał Nagrodę im. Lwa Sapiehy. Ma ona na celu honorowanie wybitnych zasług w kształtowaniu i rozwoju społeczeństwa obywatelskiego na Białorusi oraz budowaniu niepodległej, demokratycznej Białorusi, uwzględniającej najlepsze tradycje historyczne Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Laureat zajmuje się m.in. historią architektury, urbanistyki, wojskowości i uzbrojenia Wielkiego Księstwa Litewskiego w XVI–XVIII wieku. W 2019 r. rozpoczął w Mińsku pracę nad habilitacją, a we wrześniu 2020 r. został zatrzymany pod-



Fot. Anna Wojnar

czas pokojowej demonstracji, po czym zwolniony z uczelni i zmuszony do przerwania badań naukowych na Białorusi. Przeprowadził się do Polski i kontynuował badania teatrum wojennego i systemu komunikacji Wielkiego Księstwa Litewskiego w ramach programów stypendialnych mających na celu przygotowanie i opublikowanie monografii na ten temat. Nagroda przyznawana jest od 2006 roku przez Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego i Kolegium Europy Wschodniej we Wrocławiu.

Mleczne wsparcie

WARSZAWA Prowadzenie badań naukowych wspierających sektor mleczarski w zakresie innowacyjnej i bezpiecznej produkcji – to główne założenia pilotażu programu „Nauka dla przetwórstwa rolno-spożywczego”. W projekcie uczestniczy sześć uczelni: Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu, Uniwersytet Rolniczy im. Hugona Kołłątaja w Krakowie, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Każda otrzyma dota-



Fot. MERN

cję w kwocie 16,12 mln zł, a UPL jako lider – 19,4 mln zł. Łącznie w ciągu 5 lat do uczelni popłynie 100 mln zł. Badania będą realizowane w trzech obszarach: analiza surowca i wyrobu mleczarskiego w kierunku poprawy jego bezpieczeństwa, jakości, walorów prozdrowotnych; innowacyjne rozwiązania wspierające działania prośrodowiskowe polskich zakładów mleczarskich; popularyzowanie spożycia wyrobów mleczarskich oraz opracowanie innowacyjnego modelu upowszechniania nowej wiedzy o produktach mleczarskich w aspekcie ich właściwości prozdrowotnych.

Vivat Academia w Grudziądzu

GRUDZIĄDZ W Grudziądzu powstanie publiczna uczelnia zawodowa, która przygotowuje kadry na potrzeby lokalnego przemysłu, głównie zbrojeniowego. Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek podpisał już rozporządzenie w tej sprawie. Z wnioskiem o utworzenie uczelni zwrócił się do ministerstwa szef Wojskowych Zakładów Uzbrojenia SA w Gru-



Fot. MEN

dziądzu. Placówka będzie prowadzić studia pierwszego stopnia o profilu praktycznym na kierunku mechatronika. Oferta kształcenia ma stanowić odpowiedź na potrzeby regionalnych pracodawców, w szczególności koncernów produkcyjnych zaangażowanych w programy modernizacji technicznej Sił Zbrojnych RP. Pierwsi studenci rozpoczną studia od roku akademickiego 2024/2025. W pierwszym roku uczelnia zamierza przyjąć 50 studentów. Na swoją siedzibę otrzymała od miasta cztero-kondygnacyjną kamienicę wraz z funkcjonalnie powiązаныmi oficynami.

Powstaną centra medycyny cyfrowej

WARSZAWA Ponad pół miliarda złotych przeznaczy Agencja Badań Medycznych na stworzenie Regionalnych Centrów Medycyny Cyfrowej. W całym kraju powstanie 18 takich jednostek. Ich celem będzie właściwe i bezpieczne gromadzenie danych, zarówno pochodzących z badań molekularnych nad nowotworami, badań informatycznych z przebiegu klinicznego danej choroby, jak i rozwoju innowacyjnych technologii. Pozwoli to na maksymalne wykorzystanie danych zdrowotnych pacjentów. W centrach powstanie zaplecze pozwalające na bezpośrednią analizę danych uzyskanych z próbek biologicznych pochodzących od uczestników badań klinicznych. Stworzenie RCMC przyczyni się do rozwoju rozwiązań IT z zakresu medycyny cyfrowej czy narzędzi ułatwiających pracę lekarzy. Utworzone instytucje będą niejako odpowiednikiem podobnych, już istniejących, opartych na analizach danych cyfrowych, m.in. w Stanach Zjednoczonych. Z badań wynika, że do 2025 r. tempo wzrostu generowania danych w sektorze opieki zdrowotnej będzie wyższe niż w jakimkolwiek innym dziale przemysłu.

Poznali genom norki

SZCZECIN Polsko-niemiecko-amerykańskie konsorcjum, którym kierują naukowcy z Uniwersytetu Szczecińskiego, zsekwencjonowało genom norki europejskiej, jednego z najbardziej zagrożonych gatunków ssaków na świecie. W ciągu ostatnich kilku dekad jego liczebność gwałtownie spadła do około 5 tys. osobników. W Polsce wymarł w połowie XX wieku. Rezultatem prac badaczy jest rozpoznanie kompletnej sekwencji nukleotydowej genomu norki europejskiej. Wykorzystana technologia pozwoliła uzyskać genom wielkości 2,59 Gpb (miliard par zasad), w naj-

wyższej możliwej jakości, określonej jako standard platynowy. Dodatkowo 99,9% sekwencji genomu udało się przypisać do 20 chromosomów, a tym samym rozpoznać sekwencję nukleotydową wszystkich chromosomów gatunku. To trudne do przecenienia źródło wiedzy do przyszłych badań nad genomiką populacyjną tego zagrożonego gatunku.



Fot. Jakub Skonopski

Lepszy niż ChatGPT

WARSZAWA Naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Matematycznego PAN oraz ośrodka IDEAS NCBR opracowali duży model językowy LongLLaMA, który potencjalnie pozwoli obsługiwać 64 razy więcej tekstu niż ChatGPT. Jego przewaga nad innymi modelami polega na tym, że potrafi przetwarzać bardzo długie dane wejściowe. Dzięki temu generuje bardziej spójne i trafne odpowiedzi. Może obsłużyć dowolną ilość kontekstu bez obcinania go i wypielniania. Istotne, że zużywa stosunkowo mało energii – do korzystania z niego wystarczy pojedynczy procesor – i pracuje bardzo szybko. Może być wykorzystywany do wszystkich zadań, w których już pomagają chatboty. Chodzi np. o generowanie i edycję tekstu, rozmowę z użytkownikiem, tworzenie streszczeń, tłumaczenie itd. LongLLaMA w przeciwieństwie do najsłynniejszego dotąd chatbota ChatGPT nie posiada interfejsu w internecie, ale każdy może pobrać model z sieci i uruchomić go na własnym komputerze.

Naukowcy w służbie sacrum

LUBLIN Politechnika Lubelska i Archidiecezja Lubelska zawarły porozumienie, które ma na celu współpracę w obszarze budownictwa sakralnego. Naukowcy z Wydziału Budownictwa i Architektury zajmą się projektowaniem, opracowywaniem ekspertyz, badaniami architektonicznymi i pracami konserwatorskimi w tego typu obiektach. Do dokład-

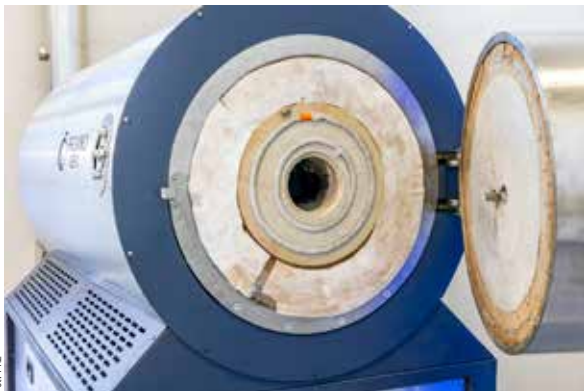


Fot. Jakub Skonopski

nej analizy i dokumentacji zabytków wykorzystane będą m.in. zdalnie sterowane aparaty latające, scanning 3D, badania termograficzne, akustyczne oraz georadarowe. Wśród planowanych wspólnych inicjatyw jest odtworzenie planów oraz digitalizacja zabytkowych kościołów. Obie strony zamierzają też podjąć działania w dziedzinie ekologii. Archidiecezja liczy na wsparcie w zakresie recyklingu odpadów pozostawianych na ponad stu cmentarzach znajdujących się pod jej zarządem.

Wodorowe Podkarpacie

RZESZÓW Laboratorium Wodorowe otwarte na Politechnice Rzeszowskiej. Będą tam prowadzone prace badawcze związane z procesami spalania wodoru i mieszanek zawierających wodór. Zakupiona aparatura pozwoli na realizację prac w zakresie zastosowania wodoru w napędach lotniczych, turbinach gazowych, jak również różnego rodzaju warstw ochronnych w zakresie ich odporności na działanie wodoru w obszarze wysokich temperatur. Rozwiązania technologiczne uzyskane w Labo-



Fot. Płz

ratorium Wodorowym będą mogły zostać użyte w lotnictwie, kosmonautyce, energetyce itp. Utworzenie laboratorium może być ważnym impulsem rozwojowym dla Podkarpackiej Doliny Wodorowej. Jednym z kluczowych kierunków badań będzie opracowanie turbinowego silnika odrzutowego zasilanego czystym wodorem. Tego typu silniki znajdują zastosowanie w dużych samolotach pasażerskich. Inwestycja pochłonie ok. 3 mln zł.

Kadrowe zamieszanie w KANS

JELEŃ GÓRA Utrata zaufania społeczności akademickiej była powodem odwołania władz rektorskich Karkonoskiej Akademii Nauk Stosowanych. W połowie września Kolegium Elektorów (na wniosek Senatu) zdecydowało o odwołaniu z funkcji rektora dr n. med. Wioletty Boznańskiej. Kierowanie uczelnią przejęła prorektor dr Beata Telązka. Jak się okazało, nie na długo. Tydzień później odwołano także ją. „Obie Panie Rektor zostały odwołane zgodnie z wolą całej społeczności akademickiej w związku z nieakceptowanymi metodami zarządzania, prowadzenia polityki finansowej Uczelni oraz budowania jej wizerunku” – napisano w oświadczeniu. Problem w tym, że ustawa PSWN, jak przypominał w specjalnym komunikacie minister Przemysław Czarnek, nie przewiduje możliwości odwołania osoby pełniącej obowiązki rektora. Przypomnijmy, że w sytuacji, jaka ma obecnie miejsce w KANS, wybory uzupełniające (nie ustalono jeszcze terminu) wywołają rektora tylko na okres do końca kadencji, czyli w tym przypadku do sierpnia 2024 roku.

Nie ma mocnych na AGH

KIELCE Zespół AGH Space Systems zwyciężył w formule stacjonarnej w zawodach łazików marsjańskich European Rover Challenge 2023 w Kielcach i tym samym obronił tytuł mistrzowski zdobyty w ubiegłym roku. W finałowych zmaganiach brało udział 35 najlepszych na świecie drużyn akademickich. Konkurencje rozgrywano na torze, którego powierzchnia inspirowana była fragmentem marsjańskiego krajobrazu, a drużyny musiały sprostać wyzwaniom stawianym inżynierom prawdziwych misji marsjańskich. Wśród zadań były m.in. misja sprawdzająca zdolność łazika do poruszania się w wyznaczonym obszarze w sposób autonomiczny, zdolność łazików do obsługi elementów zamonto-



Fot. Katarzyna Sadowska

wanych w panelu operacyjnym. Kalman – łazik studentów z AGH – ma w tym roku na koncie także zwycięstwo w International Rover Challenge w Indiach i w Canadian International Rover Challenge.

Omika na światowym poziomie

WROCŁAW Centrum Badań Omicznych zostanie uruchomione na Uniwersytecie Medycznym im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. Będzie to jednostka odrębna (niezależna od katedr, zakładów czy klinik), wspierająca naukowców i klinicystów uczelni w prowadzeniu zaawansowanych badań m.in. z zakresu genomiki, proteomiki, metabolomiki. Jej wyposażenie w niezbędną aparaturę będzie kosztowało blisko 16 mln zł. Ma to być najlepszy sprzęt na świecie, służący zarówno do nauki, jak i diagnostyki. W ostatnich pięciu latach pracownicy UMW prowadzili ponad dwieście projektów omicznych. Ważną częścią omiki są badania genomowe. Wprowadzenie genetyki do klinik stanowi przełom, pozwalając nie tylko na identyfikację chorób, ale i wdrażanie terapii celowanych. Jak zapowiadają władze UMWr, projekt centrum omicznego, łączący nauki podstawowe z naukami klinicznymi, ma być milowym krokiem w staniach o status uczelni badawczej w 2025 roku.

Rektorzy się przeniosą

POZNAŃ Politechnika Poznańska będzie miała nowy rektorat. Za dwa lata na kampusie „Warta” powstanie niemal zeroenergetyczny obiekt, którego projekt oparty jest na założeniach budownictwa zrównoważonego. Budynek o powierzchni 5966 m² będzie miał 5 kondygnacji. Mate-



Fot. PP

riał szklanej fasady uwypukli nowoczesny charakter uczelni, natomiast użycie kamienia będzie odwołaniem do jej bogatej historii i tradycji. Wewnątrz zaplanowano gabinety i sale spotkań. Na najwyższym piętrze zlokalizowano dwie duże sale konferencyjne. Na tym samym poziomie znajdują się także biura władz Politechniki. Projekt przewiduje instalację na dachu 234 paneli fotowoltaicznych o łącznej mocy 97 kWp. Zaprojektowano także system dystrybucji ciepła pomiędzy budynkami kampusu.

Zimno w bibliotece

WROCŁAW W budynku Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu otwarto nową siedzibę Centrum Badań Regionów Zimnych im. Alfreda Jahna. To interdyscyplinarna jednostka działająca w strukturze organizacyjnej Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego Uniwersytetu Wrocławskiego, kierowana przez prof. Mateusza Strzeleckiego. Jej misją jest



Fot. Paweł Piotrowski

rozwoj badań nad zmianami środowiskowymi zachodzącymi w regionach zimnych, ze szczególnym uwzględnieniem środowisk zmarzlinowych, peryglacjalnych i paraglacjalnych. Jednostka sprawuje też opiekę i określa kierunki badań realizowanych na stacji polarnej im. Stanisława Baranowskiego na Spitsbergenie. Ważnym celem Centrum jest promowanie i dbanie o zachowanie dziedzictwa naukowego swojego patrona. Alfred Jahn był wybitnym polskim geografem i polarnikiem, rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego, który podczas demonstracji w marcu 1968 stanął po stronie strajkujących studentów, narażając się na represje ze strony komunistycznych władz.

Doktorat h.c. – prof. Piotr Ponikowski

WROCŁAW Rektor Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu otrzymał tytuł doktora honoris causa Akademii Wychowania Fizycznego im. Polskich Olimpijczyków we Wrocławiu. W laudacji zwrócono uwagę na niezwykłą dynamikę publikacyjną rektora UMWr, międzynarodowe uznanie, pionierski i unikatowy charakter wielu prowadzonych przez niego badań, ale też działalność organizacyjną, zwłaszcza w kontekście stworzenia w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym prężnie rozwijającego się Instytutu Chorób Serca. Prof. Ponikowski jest specjalistą chorób wewnętrznych i kardiologii. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół leczenia niewydolności serca, stabilnej dławicy piersiowej, nadciśnienia tętniczego oraz ostrego zespołu wieńcowego i cukrzycy. W ubiegłym roku po raz siódmy z rzędu znalazł się w prestiżowym zestawieniu najczęściej cytowanych naukowców świata według rankingu Clarivate Analytics.



Fot. AMF

Doktorat h.c. – prof. Mirosława Czerny

TOLUCA Prof. Mirosława Czerny z Uniwersytetu Warszawskiego otrzymała tytuł doktora honoris causa The Universidad Autónoma del Estado de México w Toluca. Badaczka przez całe swoje zawodowe życie analizuje zjawiska oraz procesy miejskie i regionalne w Ameryce Łacińskiej. Została uhonorowana za wkład w rozwój tamtejszych badań miejskich i regionalnych oraz zaangażowanie we współpracę naukową pomiędzy uczelniami, której efektami są m.in. studium rozwoju w Nordeste del Estado de México czy badania strefy metropolitalnej miasta Toluca oraz regionu zamieszkanego przez ludność autochtoniczną Mazahua. Jej współpraca z TUAEM rozpoczęła się w 1977 roku, kiedy dołączyła do grupy geografów z UW organizujących drugie sympozjum polsko-meksykańskie. Od tego czasu uczestniczyła w realizacji wielu projektów naukowych w Meksyku. Jej dorobek naukowy, przetłumaczony m.in. na język angielski, hiszpański i portugalski, obejmuje 206 artykułów i rozdziałów, 37 monografii, 7 podręczników do geografii.



Fot. Arch. prywatne

Doktorat h.c. – prof. Hans Rummel

GDYNIA Prof. Hans Rummel z Hochschule Bremerhaven otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Morskiego w Gdyni. To pierwszy zagraniczny naukowiec, któremu uczelnia nadała najwyższą godność akademicką. Jego specjalnością dydaktyczną i naukową jest komunikacja w języku angielskim oparta na paradygmacie ESP (English for Special Purposes) w zastosowaniach nautycznych. Uczony stworzył laboratoria językowe w German Navigational College oraz w Hochschule Bremerhaven. Zaprojektował i nadzorował powstanie jednych z pierwszych laboratoriów do nauki języka angielskiego wspomaganych komputerowo. Od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku jest uznawanym specjalistą od dydaktyki morskiego języka angielskiego (Maritime English) w środowisku międzynarodowym. W tym roku mija 45 lat od zainicjowania współpracy między gdyńską uczelnią a Hochschule Bremerhaven. Nieformalne kontakty prowadzono już od 1976 roku. Rozpoczął je właśnie prof. Rummel podczas pobytu „Daru Pomorza” w Bremie. FOT dhc-prof-hans-rummel-fa-10-2023 Fot. Cezary Spigarski



Fot. Arch. prywatne

Hala z prawdziwego zdarzenia

KOSZALIN O nowoczesną halę sportową powiększyła się infrastruktura Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Koszalinie. Do tej pory studenci korzystali z obiektu wybudowanego jeszcze w 1967 roku. Nie spełniał on wszystkich obecnych standardów. Dlatego kilka lat temu podjęto decyzję o budowie nowej hali. To największa inwestycja w historii koszalińskiej PWSZ. Pochłonęła prawie 20 mln zł. Powstał obiekt z pełnowymiarowymi boiskami do piłki ręcznej i futsalu. Wybudowano trybuny, które pomieszczą około 200 osób. Wewnątrz znajdują się też cztery pracownie dydaktyczne do zajęć z fizjoterapii i wychowania fizycznego.



Fot. PWSZ

Uczelnia nie rezygnuje ze starego obiektu. Przeszedł on metamorfozę i będzie służył jako duża aula wykładowa dla ponad 200 osób. Dzięki zastosowaniu ruchomej ściany salę można przedzielić na dwie mniejsze.

Sportowe centrum na Fordonie

BYGODSZCZ Z początkiem nowego roku akademickiego zainaugurowało działalność Akademickie Centrum Sportu Politechniki Bydgoskiej. Jego budowa rozpoczęła się w 2022 roku. W północnej części fordońskiego kampusu powstał nowoczesny budynek o powierzchni ponad 4 tys. m², a w nim wielofunkcyjna hala z boiskami do koszykówki, siatkówki, futsalu wraz z trybuną dla 400 osób. W obiekcie znajduje się także ścianka wspinaczkowa, sala cardio, siłownia klasyczna oraz sala do treningów związanych z trójbojem siłowym. Centrum dysponuje również wielofunkcyjną salą do fitnessu, zajęć tanecznych czy rehabilitacji ruchowej, sauną oraz nowoczesnie wyposażonym zapleczem trenerskim i tech-



Fot. PBS

niczno-magazynowym. Inwestycja pochłonęła ok. 28 mln złotych. Jeszcze w tym roku rozpocznie się budowa drugiego etapu z boiskiem do piłki nożnej, bieżnią, strefą lekkoatletyczną oraz boiskami do koszykówki i siatkówki plażowej. Zaplecze sportowe uzupełnią docelowo korty tenisowe i strzelnica.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Iwona Czajkowska-Deneka, Alicja Giedroyc-Skiba, Katarzyna Górowicz-Mackiewicz, Agnieszka Lizak, Anna Modzelewska, Szymon Różański, Joanna Śliwińska, Bartosz Tobiński, Anna Worosz

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X



Sytuacja ekonomiczna uniwersytetów klasycznych

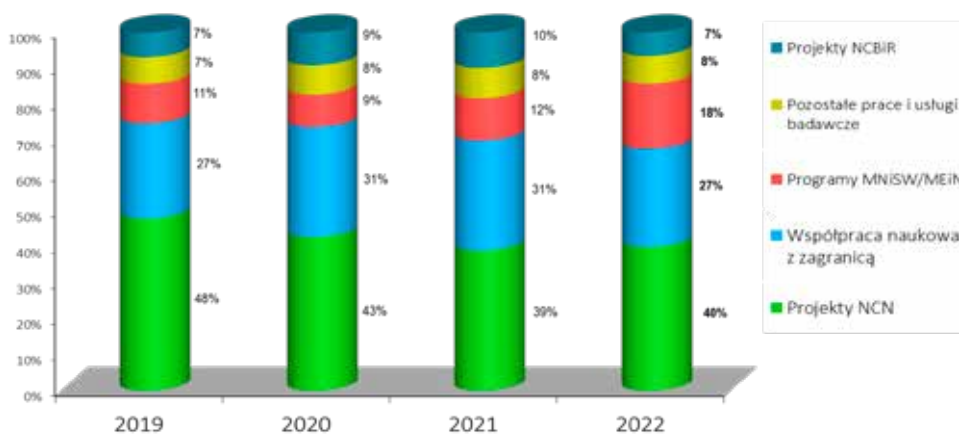
Niedawno Uniwersytecka Komisja Finansowa Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich opublikowała doroczny raport na temat sytuacji ekonomicznej dwudziestu polskich uniwersytetów klasycznych. Niektóre informacje i wnioski z nich wynikające, jak się wydaje, powinny zainteresować nie tylko władze uczelni, stąd pomysł, żeby zainteresować nimi Czytelników „Forum Akademickiego”. Wspomniany raport obejmuje lata 2019–2022, a więc okres pod rządami aktualnej ustawy regulującej funkcjonowanie uczelni. Jest to o tyle istotne, że ustawa ta zmieniła charakter głównego źródła przychodów uczeni z dotacji na subwencję. Jednolitość sposobu finansowania szkół wyższych w analizowanym okresie zapewnia porównywalność wyników zarówno w czasie, jak i między uczelniami.

Jak już wspomniano, głównym źródłem przychodów uniwersytetów jest subwencja z budżetu państwa. Stanowi ona ok. 70% ogółu przychodów z podstawowej działalności operacyjnej. W 2022 r. w stosunku do roku poprzedniego w uniwersytetach wzrosła ona zaledwie o 0,3%. Pozasubwencyjne przychody z działalności badawczej w 2019 r. wynosiły 10,3% i w roku 2022 wzrosły do 13,5% ogółu przychodów. Dominują tu środki z Narodowego Centrum Nauki, które w 2022 r. stanowiły 40,2% tego źródła przychodów (Rys. 1). Udział ten jednak maleje, bo trzy lata wcześniej wynosił 48,1%. Bardzo zróżnicowana jest struktura pozasubwencyjnych środków na badania w poszczególnych uczelniach. Środki z NCN stanowią w nich od 11 do 50%, środki z NCBR od 0 do 24%, z zagranicy od 0 do 64%, a z MEiN od 5 do 79%. Uniwersytety bardzo różnią się też wysokością środków pozyskiwanych na badania poza subwencją, jakie przypadają na nauczyciela akademickiego. Wskaźnik ten w 2022 r. wahał się od 2,7 do 88,0 tys. zł przy średniej 40,8 tys. zł. Trzecim źródłem przychodów są opłaty za świadczone usługi edukacyjne. W analizowanych czterech latach w uniwersytetach razem wziętych ustabilizowały się one na poziomie 6,2–6,5% przychodów. Również pod tym względem uczelnie znacznie różniły się między sobą, bo w 2022 r. wspomniany wskaźnik wahał się w nich od 2,2 do 12,9%. W 2022 r. średnio 55,1% tych opłat pochodziło z prowadzonych studiów niestacjonarnych. W poszczególnych uniwersytetach udział ten wynosił od 25,9 do 94,8%. W latach 2019–2022 nastąpił niewielki, bo wynoszący 4,9%, wzrost nominalnych przychodów ze studiów niestacjonarnych. Wynikał on ze wzrostu średnich opłat za te studia, który wyniósł 13,6%. Natomiast liczba studentów niestacjonarnych w tym czasie zmalała o 7,6%. W tym

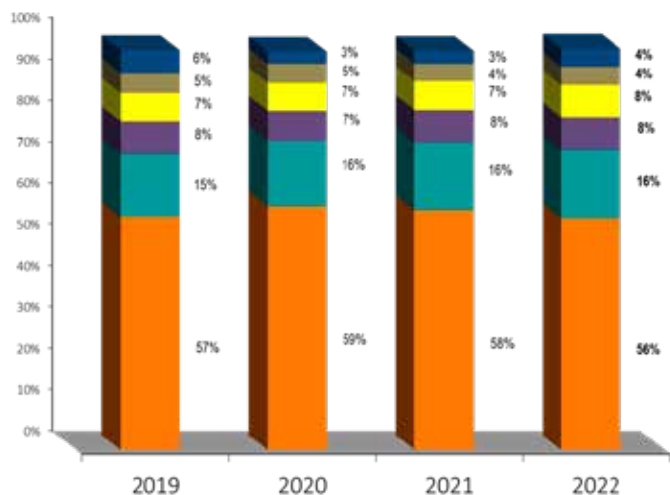
czasie tylko trzy uniwersytety potrafiły zwiększyć liczbę studentów niestacjonarnych.

Maleje również liczba studentów stacjonarnych. W 2019 r. w dwudziestu uniwersytetach było ich 280,0 tys., a w roku 2022 – 257,2 tys., a więc o 8,1% mniej. Uczestników wygasających studiów doktoranckich stopniowo zastępują doktoranci szkół doktorskich. Łączna liczba uczestników studiów trzeciego stopnia w analizowanych czterech latach zmalała z 15,6 do 10,5 tys., a więc o 1/3. Maleje też liczba uczestników studiów podyplomowych. W analizowanym okresie zmniejszyła się ona o 11,5%. Poszczególne uniwersytety różnie radzą sobie z tym problemem. W jednym uniwersytecie spadek ten był ponad trzykrotny, w innym ponad dwukrotny, a jednocześnie w sześciu uniwersytetach zanotowano wzrost liczby słuchaczy studiów podyplomowych.

Spadkowi liczby osób studiujących nie towarzyszy spadek liczby pracowników. W 2019 r. analizowane uniwersytety zatrudniały 56 873 osób. W trzy lata później ich liczba wzrosła do 57 301. Cały ten wzrost nastąpił w grupie pracowników niebędących nauczycielami akademickimi. Liczba nauczycieli akademickich zmniejszyła się o 70 osób. W całej grupie uniwersytetów nauczyciele stanowią 55% ogółu pracowników. We wszystkich uniwersytetach, poza jednym, są najliczniejszą grupą zatrudnionych. Wśród nauczycieli akademickich 11,0% stanowią profesorowie, 22,6% profesorowie uczelni, 44,7% adiunkci, 11,7% asystenci i 10,0% pozostali. Spadek liczby studentów przy praktycznie stałej liczbie nauczycieli akademickich spowodował, że w 2022 r. po raz pierwszy relacja tych wielkości spadła poniżej 10 i wyniosła przeciętnie 9,65. Wskaźnik ten jest elementem algorytmu podziału subwencji i negatywnie wpływa na wysokość subwencji w przypadku uczelni, w których przekroczył on wartość 13 (w uczelniach badawczych 11). W 2022 r. był jeden uniwersytet, w którym taka sytuacja miała miejsce, zatem przestaje on mieć praktyczne znaczenie jako element wpływający na podział subwencji. Przeciętne wynagrodzenia osobowe w latach 2021 i 2022 w stosunku do lat je poprzedzających wzrosły odpowiednio o: 6,9 i 4,3%. Wzrost płac był zatem wyraźnie niższy niż inflacja w tych latach, czyli nastąpił spadek płac realnych. Uniwersytety różnią się między sobą wysokością wynagrodzeń. Na to zróżnicowanie wpływa zakres korzystania z outsourcingu, zatem porównywanie bezwzględnych wielkości mogłoby prowadzić do fałszywych wniosków.



Rysunek 1. Struktura pozasubwencyjnych przychodów z działalności badawczej



Rysunek 2. Struktura kosztów rodzajowych

W latach 2019–2022 koszty działalności uniwersytetów wzrosły o 16,2%, przy czym cały ich wzrost przypada na dwa ostatnie lata. W latach 2021 i 2022 w stosunku do lat je poprzedzających rosły one odpowiednio o 9,3 i 8,1%. Należy pamiętać, że ten wzrost kosztów dokonał się przy malejącym rozmiarze realizowanych zadań dydaktycznych i przy spadku płac realnych stanowiących zdecydowanie największy składnik kosztów. W strukturze kosztów dominują bowiem wynagrodzenia, które wraz z ubezpieczeniami społecznymi i innymi świadczeniami w analizowanym okresie wynosiły od 72 do 75% (Rys. 2). Usługi obce stanowiły w tym czasie od 7,2 do 8,0%, a materiały i energia od 6,8 do 7,8%. Na uwagę zasługuje znaczny wzrost kosztów energii, które w ostatnich dwóch latach analizowanego okresu rosły kolejno o 14,3 i 25,7%. Uniwersytety znacznie różnią się poziomem kosztów pozapłacowych przypadających zarówno na jednego pracownika, jak i jednego studenta i doktoranta. Pierwszy z tych wskaźników w 2022 r. wahał się od 25,1 do 95,9 tys. zł/rok, a drugi od 19,5 do 46,3 tys. zł/rok. Oba te wskaźniki najwyższe wartości przyjmują w największych uczelniach. Ponadto drugi z nich, tzn. koszty odniesione do liczby studentów i doktorantów wykazuje mniejsze zróżnicowanie niż pierwszy. Jeśli pominąć trzy uniwersytety, to wskaźniki pozostałych siedemnastu mieszczą się w przedziale 19,5–29,3 tys. zł/rok.

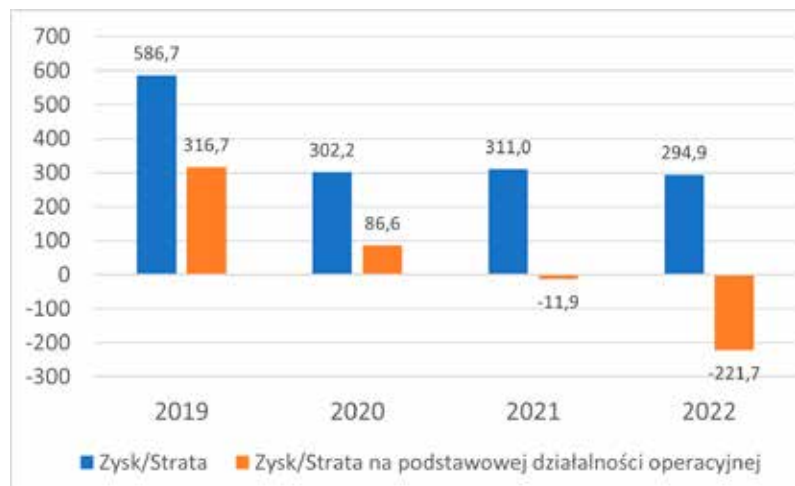
W analizowanym okresie trzech lat inwestycje i zakupy inwestycyjne wzrosły o 17,3%, a więc w tempie niższym niż inflacja. Największym ich źródłem były dotacje celowe, które w 2022 r. stanowiły 53,0% nakładów inwestycyjnych. Kolejnymi źródłami finansowania inwestycji były: bezzwrotna pomoc zagraniczna (17,7%) oraz subwencja (10,0%). Uniwersytety znacznie różnią się rozmiarami pro-

wadzonej działalności i wielkością posiadanego majątku, nie powinno więc dziwić, że mocno różnią się też wysokością nakładów inwestycyjnych. W 2022 r. w poszczególnych uczelniach wynosiły one od 1,6 do 274,6 mln zł, a jeśli pominąć najmniejszy i dwa największe uniwersytety, to od 11,1 do 71,3 mln zł.

Najbardziej syntetycznym miernikiem oceny sytuacji finansowej jest wynik finansowy będący różnicą między przychodami i kosztami. Dwadzieścia uniwersytetów razem wziętych osiągało w analizowanym okresie dodatni, acz malejący wynik (Rys. 3). W 2019 r. wynosił on 586,7 mln zł, a w trzy lata później 294,9 mln zł, czyli prawie o połowę mniej. Najkorzystniejszy był rok 2019, w którym po raz pierwszy od lat nie było ani jednego uniwersytetu, który by zanotował stratę. W każdym z trzech kolejnych lat trzy z dwudziestu uniwersytetów wykazywały ujemny wynik finansowy. W jednym przypadku wynik ten utrzymywał się przez wszystkie te trzy lata, a w innym przez dwa lata. Na wynik finansowy w danym roku wpływ mają również czynniki nie związane z działalnością, dla której uczelnie zostały powołane, takie jak np. zysk ze sprzedaży majątku. Wielkością, która pomija te czynniki, jest wynik na podstawowej działalności operacyjnej. Dla całej grupy analizowanych uniwersytetów w 2019 r. był on jeszcze wyraźnie dodatni i wynosił 316,7 mln zł. W następnym roku był nadal dodatni, ale wyraźnie niższy – 86,6 mln zł, a w dwóch kolejnych latach był już ujemny. Strata na podstawie działalności operacyjnej w 2022 r. wyniosła 221,7 mln zł. Taką stratę w czterech kolejnych analizowanych latach ponosiło pięć, sześć, trzystaście i szesnaście uniwersytetów. Znaczy to, że w 2022 r., gdyby nie pozostała działalność operacyjna i finansowa, tylko co piąty uniwersytet osiągnąłby dodatni wynik finansowy.

Przedstawione dane wskazują, że w uniwersytetach kończy się sytuacja, którą jeszcze przed rokiem w podobnym artykule w FA razem z prof. Mirosławem Szrederem nazwaliśmy „względnie stabilną”. Spełniają się zagrożenia, które sygnalizowaliśmy w tym artykule. Największym z nich jest drastyczny wzrost kosztów. Jednocześnie praktycznie nie rośnie podstawowe źródło przychodów, jakim jest subwencja, maleją dotacje budżetowe i nie rosną wpływy z odpłatnych form kształcenia. Wszystko to stawia przed władzami uniwersytetów potężne wyzwanie. Sytuacja zmusza do sięgania po różne środki zaradcze. Niewątpliwie najgroźniejsze z nich byłyby te, które prowadzą do obniżenia jakości prowadzonej działalności, w tym jakości kształcenia.

Mirosław Gornowicz



Rysunek 3. Wynik finansowy uniwersytetów (w mln zł)

NCN nagrodziło młodych naukowców

Badacze specjalizujący się w chemii kwantowej, studiami nad pamięcią i przesiedleniami oraz projektowaniem białek o potencjale terapeutycznym zostali laureatami Nagrody NCN – jednego z najważniejszych wyróżnień dla młodych naukowców pracujących w Polsce. Nagrodę wręczono po raz jedenasty, a uroczystość odbyła się tradycyjnie w Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach. O laur ubiegały się 44 osoby. Kapituła złożona z członków Rady NCN i dyrektora agencji wyłoniła troje laureatów w trzech obszarach nauk. Statuetki odebrali: dr hab. Katharina Boguslawski (nauki ścisłe i techniczne), dr Karolina Ćwiek-Rogalska (nauki humanistyczne, społeczne i o sztuce) i dr hab. Łukasz Opaliński (nauki o życiu). Wszyscy otrzymali też po 50 tys. zł.

Dr hab. Katharina Boguslawski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu specjalizuje się w chemii kwantowej. W swoich badaniach, łączących chemię, fizykę, matematykę i informatykę stosowaną, skupia się na rozwoju nowatorskich metod obliczeniowych pozwalających na modelowanie właściwości cząsteczek chemicznych o dużych rozmiarach, bez konieczności robienia badań eksperymentalnych.

– Moim celem jest ukierunkowanie syntezy eksperymentalnej oraz wspieranie analiz i rozumienia eksperymentów przy użyciu nowoczesnych narzędzi, które pomagają nam interpretować i lepiej rozumieć interakcje molekularne. Dotyczy to szczególnie aktywności, wśród których w ciągu ostatniej dekady zaobserwowano wiele nowych i niezwykłych zjawisk – tłumaczy w rozmowie z FA, którą można przeczytać na naszej stronie internetowej.

Nagrodę NCN przyznano jej za konstrukcję wiarygodnego i prostego w użyciu kwantowo-mechanicznego modelu związków chemicznych zawierających atomy aktywności oraz opracowanie i rozwój innowacyjnych metod badania struktur elektronowych i śledzenia reakcji chemicznych aktywności na podstawie teorii informacji kwantowej. W ubiegłym roku badaczka zdobyła ERC Starting Grant.

Dr Karolina Ćwiek-Rogalska, kulturoznawczyni, bohemistka i etnologa z Instytutu Sławiastyki Polskiej Akademii Nauk, zajmuje się naukowo studiami nad pamięcią i studiami nad rzeczami oraz kulturą „Ziem Odzyskanych”. Ciekawi ją, jak proces ponownego zasiedlenia terenów dawniej zamieszkiwanych przez społeczności niemieckie i niemieckojęzyczne wyglądał w powojennej Polsce i Czechosłowacji.

– Chodzi mi o ustalenie, w jaki sposób osadnicy wchodzili w kontakt z przedmiotami pozostałymi po wysiedlonych. Podążam za hipotezą mówiącą, że rzeczy, które zostały po poprzednich mieszkańcach, działają trochę jak duchy. Nie można się ich pozbyć, przypominają o kulturze poprzedników, próbuje się z nimi wchodzić w dialog, uczy się, jak z nimi żyć, a czasami także, jak je egzorcyzmować. I czy faktycznie wszystkie przedmioty działają w ten sposób, czyli czy są takimi duchami, czy może niektóre są zupełnie pozbawione właściwości wywoływania jakichkolwiek odczuć – mówiła w rozmowie z FA zaraz po otrzymaniu w 2021 roku ERC Starting Grant.

Nagrodę NCN otrzymała za wyznaczenie nowej kategorii kultur osadniczych (resettlement cultures) w badaniach nad kulturami obszarów post-przesiedleniowych. Prowadzone przez nią badania stanowią część globalnej debaty w studiach nad pamięcią i przesiedleniami.

Dr hab. Łukasz Opaliński, biotechnolog i biolog molekularny z Uniwersytetu Wrocławskiego, bada, w jaki sposób komórki zdrowe i nowotworowe przekazują sygnały i transportują makrocząsteczki, a uzyskaną wiedzę wykorzystuje do projektowania białek o potencjale terapeutycznym.

– Staram się zrozumieć, w jaki sposób nasze komórki wykorzystują receptory fibroblastycznych czynników wzrostu (FGFR), jedne z ważniejszych receptorów powierzchni komórki, do komunikacji w zdrowiu i chorobie. Badam, w jaki sposób ulegają one aktywacji oraz określam znaczenie ułożenia przestrzennego FGFR na powierzchni komórki dla ich działania i endocytozy – precyzuje.

Nagrodę NCN otrzymał za multiwalentne oddziaływania pomiędzy receptorami fibroblastycznych czynników wzrostu a naturalnymi i zaprojektowanymi ligandami do zastosowań w badaniach naukowych i medycynie.

Nagrodę NCN otrzymują badaczki i badacze, którzy nie przekroczyli 40 roku życia i mają znaczące osiągnięcia naukowe w zakresie badań podstawowych, udokumentowane publikacjami afiliowanymi w polskich jednostkach naukowych. Wraz z tegorocznymi lista laureatów liczy już 33 osoby.

Mariusz Karwowski



CITTRU UJ skończyło 20 lat

Już blisko 400 patentów, zarówno polskich, jak i zagranicznych, uzyskali dla wynalazków naukowców Uniwersytetu Jagiellońskiego pracownicy działającego na uczelni Centrum Transferu Technologii CITTRU. W tym roku mija 20 lat od utworzenia tej jednostki, która ma promować transfer wiedzy i przedsiębiorczość oraz wspierać akademików we współpracy z partnerami biznesowymi.

CTT CITTRU zarządza w imieniu uniwersytetu kwestiami ochrony własności intelektualnej i procesem komercjalizacji. Odpowiada m.in. za identyfikację powstających na uczelni innowacji, analizę ich potencjału patentowego i rynkowego oraz poszukiwanie partnera biznesowego zainteresowanego wdrożeniem opracowanych technologii. W roku 2019 Uniwersytet Jagielloński, jako jedyny z Polski, znalazł się na liście Top 100 Europe's Most Innovative Universities opublikowanej przez Reutersa. Od lat jest także najaktywniejszym polskim wnioskodawcą w Europejskim Urzędzie Patentowym – w ub.r. wysłał 20 zgłoszeń.

– To rezultat świadomej polityki uniwersytetu. Przed wszystkim wynika z potrzeb naszych licencjodawców, ale także my sami decydujemy się na zgłoszenie do EPO i uzyskanie europejskiego patentu, żeby uprawdopodobnić znalezienie klienta. Większość z naszych innowacji to technologie, dla których trudno o odbiorcę w Polsce. Chcąc mieć możliwość rozmawiania z potencjalnymi kupcami z zagranicy, musimy zatem zabezpieczyć kwestie patentowe na tamtym rynku. Nie byłoby w stanie zrobić licencji dotyczących nowych leków, urządzeń medycznych czy rozwiązań biotechnologicznych, gdybyśmy nie mieli ochrony międzynarodowej. W takich branżach ona jest kluczowa, żeby w ogóle przystąpić do rozmów z partnerami – mówiła nam w kwietniu dr inż. Gabriela Konopka-Cupiał, która od 2013 roku kieruje CTT CITTRU.

Przełomowym w historii jednostki był rok 2007, kiedy wprowadzono pierwszy regulamin zarządzania własnością intelektualną. Wcześniej, jak przypomina Krystian Gurba, zastępca dyrektora, każdy

wynalazek (a było ich zaledwie kilka) był rozpatrywany case-by-case. Z udostępnionych nam danych wynika, że do końca 2022 roku procedurą krajową objęto 311 zgłoszeń, z których 205 zakończyło się już uzyskaniem patentu. Z kolei poza Polską dokonano 183 zgłoszeń w trybie PCT oraz 339 w zagranicznych krajowych urzędach patentowych (uzyskano 186 patentów międzynarodowych). Pamiętać należy, że od wniosku do finalnej decyzji może minąć kilka lat, stąd w zestawieniu ujęto np. zgłoszenie z 1997 roku, ponieważ patent został przydzielony już po rozpoczęciu funkcjonowania CITTRU.

W podziale na poszczególne wydziały UJ bezkonkurencyjni pozostają chemicy. W Polsce dokonali oni 117 zgłoszeń i uzyskali 84 patenty. Za nimi są naukowcy z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii (64/54) oraz Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej (51/31). Jedynym bez patentu jest jak dotąd Wydział Matematyki i Informatyki (1 zgłoszenie).

Również za granicą prym wiedzie Wydział Chemii (57 zgłoszeń PCT + 111 do zagranicznych krajowych urzędów patentowych / 73 patenty). Tu na drugim miejscu jest WFAiIS (37+69/53), a na trzecim Wydział Lekarski (25+52/30). Po piętach lekarzom depczą farmaceuci (25+60/29).

Warto jeszcze wspomnieć o dwóch innych jednostkach UJ. Jagiellońskie Centrum Rozwoju Leków (JCET) prowadzi badania dotyczące mechanizmu działania leków oraz ich efektów terapeutycznych i toksycznych. Ma na koncie 7 patentów polskich i 3 zagraniczne. Z kolei Małopolskie Centrum Biotechnologii to międzynarodowy instytut badań podyplomowych, głównie w zakresie oddziaływań makrocząsteczkowych, sygnalizacji komórkowej oraz interakcji gospodarz-mikroorganizm-środowisko. Zdobyli 11 patentów polskich i 4 zagraniczne.

MK

Krakowskie innowacje

W tym roku naukowcy z UJ zaprezentowali kilka nowatorskich rozwiązań. Na Wydziale Chemii opracowano wielofunkcyjny materiał, który pomoże odbudowywać ubytki kostne i jednocześnie posłuży jako nośnik leków na osteoporozę. Na tym samym wydziale powstały technologie materiałowe magazynowania energii, które pozwalają uniezależnić się od zagranicznych dostawców drogich metali i grafitu, potrzebnych do produkcji akumulatorów. W Instytucie Fizyki powstał prototyp detektora, który za pomocą niewielkiego działu neutronowego i opracowanego systemu informatycznego określi skład chemiczny substancji zalegających na dnie zbiorników wodnych i zidentyfikuje tym samym zatopione materiały uznane za potencjalnie niebezpieczne. Nowy sposób uzupełniania ubytków tkanek miękkich powłok ciała z wykorzystaniem naturalnych procesów biologicznych organizmu opracowano z kolei w Collegium Medicum UJ. Jednym z ostatnich jest wynalazek stworzony na Wydziale Farmaceutycznym CM UJ. Dr hab. Agnieszka Gunia-Krzyżak wraz

zespołem (na fot.), badając pochodne kwasu cynamonowego, opracowały związek chemiczny, który ma skutecznie hamować naturalny proces wytwarzania melaniny przez komórki skóry. Autorki twierdzą, że poprzez aplikowanie odkrytej substancji w miejscach przebarwień możliwe będzie ich niwelowanie.

MK



Sztuczna inteligencja i patenty

Dr Piotr Brylski, radca w Urzędzie Patentowym RP, przedstawia konteksty rozwoju sztucznej inteligencji w relacji do prawa własności intelektualnej.

Sztuczna inteligencja (AI) nie tylko rozgrzewa umysły naukowców, rozwija działalność B+R w firmach czy niepokoi społeczeństwo. Jest ona jednym z najważniejszych jeśli nie najważniejszym kierunkiem badań w uczelniach i firmach. Jednocześnie rodzi wielkie wyzwania dla prawa własności intelektualnej, tworzy bowiem m.in. wynalazki i twory – w Polsce i na świecie rozpoczęła się na ten temat debata. W Cedzynie k. Kielc dyskutowano o tym podczas 42. Seminarium Rzeczników Patentowych Szkół Wyższych.

Nowe technologie, a w szczególności sztuczna inteligencja, napędzają rozwój światowej gospodarki. Dynamika tych zmian zdecydowanie przyspiesza: w ostatnich 10 latach inwestycje korporacyjne w AI wzrosły 13-krotnie – wskazuje raport Mastercard Signals (dane za Stanford University). W 2022 r. wartość inwestycji korporacyjnych wyniosła 190 mld USD, podczas gdy rok wcześniej było to tylko 60 mld. Szacuje się, że do 2028 r. ten rynek będzie wart aż 420 mld USD.

Gorączka biznesowa przenosi się do uczelni. Polscy specjaliści od sztucznej inteligencji są w czołówce światowej, choć na chwilę obecną nie przekłada się to tak bardzo na krajowy rynek biznesu i nauki. Polacy są czołowymi specjalistami i naukowcami w największych ośrodkach rozwoju sztucznej inteligencji na świecie. Zaczynamy także słyszeć o dokonaniach dziejących się w polskich ośrodkach naukowych, choć badania naukowe w obszarze sztucznej inteligencji trwają na polskich uniwersytetach i politechnikach nie od dziś. Najświeższy przykład to nowy model językowy do wytwarzania długich tekstów przy pomocy sztucznej inteligencji: LongLLaMA. Model pozwala obsługiwać 64 razy więcej tekstu niż osławiony ChatGPT. Opracowali go naukowcy z IDEAS NCBR, Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk. Zużywa przy tym stosunkowo mało energii – do korzystania z LongLLaMA wystarczy pojedynczy procesor – i pracuje bardzo szybko.

Ogromne zainteresowanie rozwojem AI, zarówno od strony biznesowej, jak i naukowej, powoduje chęć ochrony wyników badań, zwłaszcza poprzez ochronę patentową. Według wstępnych danych, w 2021 r. na całym świecie udzielono 140 tys. patentów związanych z AI, podczas gdy w 2017 r. liczba ta wynosiła jedynie ok. 10 tys. Odmienne wygląda podejście do tematu dwóch liderów tego zestawienia i zarazem hegemonów rozwoju sztucznej inteligencji: wielkość rozwoju AI i patentowania w Stanach Zjednoczonych pochodzi z sektora przedsiębiorstw, zaś w Chinach rozwój odbywa się przede wszystkim w publicznych uczelniach, a stamtąd transferowany jest do chińskich firm, które budują w ten sposób swoje przewagi konkurencyjne i to w oparciu o współpracę z krajowymi naukowcami. Dodam, że w Chinach systemy AI „trenowane” są na ogromnej ilości danych i zasobach publicznych, dlatego eksperci wskazują na istotną obecnie przewagę Chin nad USA, gdzie zasoby danych dla firm są siłą rzeczy mniej obfite. W Polsce z pewnością łatwiej byłoby udostępnić duże zbiory danych, np. publicznych, do trenowania systemów AI w szczytnych, naukowych i pożytecznych celach w publicznych badaniach naukowych.

Na krajowym podwórku zdecydowana większość zaawansowanych systemów sztucznej inteligencji tworzona jest w polskich oddziałach amerykańskich firm bądź wprost z USA jest dostarczana. Ogranicza to nasz własny, unikalny potencjał do tworzenia autorskich systemów, mimo że Polacy po raz pierwszy od dekad bądź wieków są znakomicie wykształconą i kreatywną grupą ekspertów w najważniejszej technologii w świecie. Dlatego przykład Chin powinien być dla

nas inspirujący. Polskie uczelnie od lat słyną z kształcenia najwyższej jakości inżynierów oraz informatyków czy szerzej: umysłów ścisłych. Potrzebne są zatem inwestycje w programy edukacyjne, badawcze i komercjalizacyjne z zakresu sztucznej inteligencji w polskich uczelniach. Bez zaangażowania szkół wyższych, które będą kształcić specjalistów, prowadzić badania i transferować wyniki badań do polskich firm, nie uda nam się zbudować odpowiedniego potencjału. W tym procesie (potencjalnego sukcesu narodowego) nie może zabraknąć skutecznej ochrony własności intelektualnej przy wsparciu rzeczników patentowych, zwłaszcza tych zatrudnionych w uczelniach.

Prawo własności intelektualnej od zawsze miało za zadanie z jednej strony stymulować rozwój innowacyjności, a z drugiej strony zapewnić jej ład i porządek dla wszystkich stron tego procesu. Tak więc stanowić może ono wsparcie dla rozwoju sztucznej inteligencji, a także samo znajdować bodźce do zmian z powodu rozwoju tej technologii. Urzędy patentowe na świecie i międzynarodowe organy ochrony własności intelektualnej dostrzegły to jako jedne z pierwszych i jako jedne z pierwszych zaczęły się odnosić do wyzwań związanych z AI.

Znaczenie AI każe odnieść się do niej jako takiej, zastanowić się, czy nadać jej osobowość i podmiotowość do dokonywania zgłoszeń i otrzymywania praw wyłącznych. Aktualnie obowiązujące prawo wymaga „indywidualnego charakteru” oraz ludzkiego aspektu twórcy czy osobowości prawnej, np. naukowca lub/i uczelni do dokonywania zgłoszeń. Do rozstrzygnięcia należy również wiele zagadnień związanych z geograficznym umiejscowieniem wytworów sztucznej inteligencji, jeśli działa np. w chmurze operacyjnej lub na rozproszonych serwerach.

AI w coraz większym stopniu napędza rozwój innych branż i technologii. Ma wpływ na prawie każdy aspekt twórczości kreatywnej i innowacyjnej. Dostępność dużych ilości danych i postęp w korzystaniu z wysokiej mocy obliczeniowej napędzają rozwój tej technologii, która łączy się z własnością intelektualną na wiele sposobów. Zdaniem ekspertów amerykańskiego IBM, prawdopodobnie powstający komputer kwantowy, do którego „zaprzężona” zostanie wysokiej jakości sztuczna inteligencja, będzie ostatnim wynalazkiem ludzkości – moc obliczeniowa tego „tandemu” i jakość będą tak wysokie, że samodzielnie będą tworzyć dalsze wynalazki. Jesteśmy dość blisko tego momentu. Do kogo wtedy będą należeć prawa patentowe?

Warto tutaj przytoczyć dorobek Światowej Organizacji Własności Intelektualnej (WIPO), która administruje międzynarodowym trybem ochrony patentowej. W tych samych dniach, w których odbywało

42. Seminarium Rzeczników Patentowych w Cedzynie k. Kielc zawierało wystąpienia i dyskusje wybitnych prawników, naukowców i rzeczników patentowych nie tylko o sztucznej inteligencji. Mówiono m.in. o rozwoju i ochronie prawnej zielonych technologii, przemyśle chemicznym i farmaceutycznym, roli i znaczeniu rzeczników patentowych w uczelniach i transferze technologii czy postępowaniach sądowych w sprawach o własność intelektualną. To najstarsze wydarzenie poświęcone ochronie własności intelektualnej i dla rzeczników patentowych w Polsce, organizowane merytorycznie od 42 lat przez dr Alicję Adamczak, była prezes Urzędu Patentowego RP (l. 2002-2019) i prezes Polskiej Izby Rzeczników Patentowych (l. 1997-2022). „Forum Akademickie” sprawowało nad wydarzeniem patronat medialny.

się Seminarium Rzeczników Patentowych Szkół Wyższych w Cedy- nie, w Genewie prowadzono najważniejszą debatę nad uregulowa- niem prawnym sztucznej inteligencji i powstającej własności inte- lektualnej. Nie mamy jeszcze globalnego konsensusu w tym zakre- sie, choć warto przytoczyć dane: od 1960 r. do początku 2018 r. opu- blikowano prawie 340 tysięcy rodzin patentów (to wiązka patentów na ten sam wynalazek, ale zgłaszany do różnych urzędów patentow- ych) i ponad 1,6 mln artykułów naukowych związanych ze sztuczną inteligencją. Eksperti wskazują na gwałtowny wzrost liczby zgłoszeń patentowych, ukierunkowanych na przemysłowe zastosowanie roz- wiązań technicznych. Powoduje to opóźnienie w publikacjach nauko- wych aż o około 10 lat (sic!). Ponadto zmniejsza się stosunek liczby artykułów naukowych do liczby udzielonych patentów, co sugeruje większe zainteresowanie praktycznym wykorzystaniem technolo- gii sztucznej inteligencji i chęcią wdrożenia rozwiązań na rynek przy pomocy praw wyłącznych.

Jest zatem ogromną potrzebą, aby rzeczników patentowych w polskich uczelniach szkolić i tworzyć im profesjonalne warunki pracy we współpracy z biurami transferu technologii. Jeśli polskie uczelnie zainteresują się intensywniejszymi pracami badawczymi nad sztuczną inteligencją, wtedy rzecznicy patentowi będą poma- gali skutecznie chronić własność intelektualną bez której nie odbę- dzie się skuteczny transfer technologii do biznesu. Według eksper- tów WIPO, kierunki rozwoju sztucznej inteligencji, które są aktualnie najbardziej widoczne w opisach patentowych, to uczenie maszynowe, a następnie programowanie logiczne (systemy eksperckie) i logika rozmyta. Najbardziej rozpowszechnionymi funkcjami AI są wizja kom- puterowa, przetwarzanie języka naturalnego i przetwarzanie mowy. Z kolei dziedziny zastosowań AI najczęściej wymieniane w literaturze patentowej obejmują telekomunikację, transport oraz nauki przyrod- nicze i medyczne, ale prawie wszystkie dziedziny wykazują wzrost aktywności patentowej w ostatnich latach.

Obecnie większość dorobku badawczego w zakresie sztucznej inteligencji widoczna jest w postaci oprogramowania, zaś programy komputerowe w rozumieniu prawa autorskiego to utwory, których „jako takich” wciąż w Polsce i innych krajach świata, poza USA, nie możemy patentować. Wartym zauważenia jest także obecna, coraz bardziej liberalna praktyka Europejskiego Urzędu Patentowego. Jed- nak, jak wspomniałem, ogromna potrzeba biznesu oraz zaintereso-

wanie uczelni na świecie prawami własności intelektualnej, powo- duje chęć ochrony patentowej, jako wysokiej jakości potwierdzenia nowości w skali światowej, unikatowości i wyłączności danego roz- wiązania, którymi możemy obracać w sposób handlowy na rynku. Polskie i europejskie prawo patentowe zawiera szczególnie przykład wynalazku, który posiada zdolność patentową: to tzw. wynalazek realizowany przy pomocy komputera (ang. computer-implemation invention, CII). W ostatnich latach nastąpił szybki postęp technolo- giczny w obszarze wynalazków CII, który spowodował znaczny wzrost liczby ich zgłoszeń do urzędów patentowych. Stanowi to wyzwanie zarówno dla urzędów, jak i zgłaszających, podobnie jak rosnąca pene- tracja technologii CII w inne obszary innowacji.

Obecnie zdecydowana większość wynalazków z zakresu sztucznej inteligencji zgłaszana jest właśnie jako wynalazki wspomagane kom- puterowo, choć istnieje spora ich grupa dotycząca wprost sztucznej inteligencji. AI wydatnie wpływa na patentowanie i szerzej na prawo własności przemysłowej, jak i tworzy czy przetwarza utwory, a więc wpływa na prawo autorskie. Dodatkowym faktem są zasoby danych, na których AI jest trenowana. Rodzi to poważne wątpliwości natury prawnej, choć większość twórców najpopularniejszych systemów AI, jak np. ChatGPT, deklaruje, że korzysta z publicznie dostępnych zbio- rów. Jednak w USA i innych krajach mamy już teraz wysyp pozwów sądowych, pochodzących od artystów czy naukowców, których prace posłużyły do nauki generatywnych systemów AI.

Prawdopodobnie regulacje dotyczące sztucznej inteligencji i prawa własności intelektualnej zostaną ustanowione globalnie, wynikną z dyskusji i sporów na forum międzynarodowym (choć nie wykluczone są działania na poziomie poszczególnych krajów). Warto, aby głos polskich ekspertów od prawa własności intelektualnej był na międzynarodowym forum dostrzeżony, gdyż posiadają rozległą wiedzę i interesujące spostrzeżenia. Dodatkowo dołączyliby do roda- ków, którzy już systemy AI tworzą i rozwijają w najważniejszych miej- scach świata. Podczas otwarcia ostatniego międzynarodowego semi- narium dotyczącego prawa sztucznej inteligencji w WIPO w Genewie podkreślono, że „nie możemy sobie pozwolić na brak regulacji doty- czących sztucznej inteligencji, ale nie możemy sobie też pozwolić na jej zbytne przeregulowanie. Musimy to naprawić. Nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia”.



Studentki na (niejeden) medal

Sześć medali, rekordowy i historyczny wynik, doświadczenie występu na „małych igrzyskach”, wzmocnienie pewności siebie, a także niezapomniany... smak chińskiej zupy – to wszystko przyczyniło się do zakończenia niedawno uniwersjady dwie z wielu bohaterek i bohaterów polskiej ekipy.

Ostre początki

Najpierw była „setka”. Jeszcze dwa dni wcześniej Adela Piskorska leżała chora w łóżku. W dodatku podłamana niepowodzeniem na ledwo co zakończonych mistrzostwach świata. A każdy, kto uprawia sport, wie, jak ciężko odbudować się po nieudanych zawodach. Trudno było zatem wykrzesać jakiś optymizm. A jednak spisała się rewelacyjnie i jako pierwsza dopłynęła do mety. – Podeszłam do tego na luzie. Przekonałam się, że nawet jeśli na rozgrzewce nie czuję wody, to wcale nie musi oznaczać fatalnego występu – mówi utalentowana grzbiecistka, która na ostatniej uniwersjadzie w chińskim Chengdu była jedną z gwiazd polskiej ekipy.

Spośród 43 medali, co jest rekordem wszech czasów białoczerwonych, aż 15 wyłowili z wody pływacy. Trzy sukcesy są autorstwa Piskorskiej. Po wyścigu na 100 m okazała się najlepsza również na dystansie o połowę krótszym, ustanawiając przy okazji nowy rekord uniwersjady. Na zakończenie imprezy popłynęła też na pierwszej zmianie srebrnej sztafety 4 × 100 m stylem zmiennym. Z Azji przyniosła także kulinarne wspomnienia. – Wiedziałam, że jedzenie mają tam ostre, ale nie sądziłam, że aż tak. Pierwszego dnia poszłam na stołówkę, wzięłam zupę i po pierwszej łyżce musiałam wypić... pół litra mleka. Nie dało się zgasić ostrości samą wodą – śmieje się studentka UMCS.

Przyjechała do Lublina z Dolnego Śląska. Nie był to przypadek. Zależało jej na możliwości łączenia nauki ze sportem. Nie wszystkie uczelnie akceptują wyjazdy na zawody, zgrupowania, częste nieobecności. W Lublinie, za sprawą programu dwutorowej kariery, nie

ma z tym problemów. – Zasady są podobne jak przy indywidualnym toku studiów. Kiedy wyjeżdżam na zawody i nie ma mnie na miejscu, jestem zwolniona z części zajęć dydaktycznych. Terminy egzaminów ustalam indywidualnie z wykładowcami. W I semestrze akurat mi pasowały, więc zaliczałam z grupą, a w II, gdy przygotowywałam się już do mistrzostw świata, musiałam skorzystać z indywidualnej ścieżki.

Właśnie zaczęła drugi rok prawa. To był jej świadomy wybór, chciała spróbować czegoś innego niż w liceum, gdzie chodziła do klasy o profilu biologiczno-chemicznym. Na razie jest w pełni zadowolona. – Harmonogram studiów razem z treningami mam dobrze poukładany. Poza tym sama lubię się uczyć, to nie jest dla mnie jakiś przykry obowiązek. Choć trzeba przyznać, że na tym kierunku sporo czasu trzeba przesiedzieć nad książkami i część materiału po prostu wykuć – mówi.

Nauka może też być świetnym przełamaniem codziennej sportowej rutyny. Treningi, zawody, zgrupowania... Ileż można siedzieć w wodzie? Kiedy więc tylko jest w Lublinie, z chęcią idzie na zajęcia. Tam nie musi rozpamiętywać porażek, nieudanych startów, tego, jak niewiele zabrakło do podium. To taki swoisty detoks. – Gdybym koncentrowała się tylko na sporcie, to za daleko bym nie zaszła. Byłoby to zbyt nużące, monotonne. Za dużo myśli naraz by mi się kotłowało w głowie. Studia pozwalają ją oczyścić.

Co ciekawe, to właśnie prawo jest jej planem A na życie. Ma świadomość, że kariera sportowa, a już w pływaniu na pewno, nie trwa wiecznie. Kiedy więc ją skończy, chciałaby mieć pewny zawód. – To moje zabezpieczenie na przyszłość – podkreśla zawodniczka AZS UMCS, która w listopadzie skończy 20 lat.

Na razie jednak bardziej od zaliczenia sesji satysfakcjonuje ją zdobycie medalu. Nic w tym dziwnego, egzamin można poprawić, występ na zawodach – nie. Przed nią przyszłoroczne igrzyska olim-



Fot. Paweł Skrabka

Adela Piskorska

Fot. Paweł Skrabala



Nikola Horowska

pijskie w Paryżu. Medale zdobyte na uniwersjadzie, pierwsze na tak dużej imprezie, dodały jej pewności siebie, a jednocześnie pokazały, że musi cały czas pracować, by móc rywalizować z najlepszymi. Ma też przekonanie, że nie pokazała w tym sezonie całego swojego potencjału. – Co do igrzysk nie mam jakichś specjalnych oczekiwań, wiadomo, że to najwyższa półka. Chcę wskoczyć do wody i popłynąć najlepiej, jak potrafię – kończy.

Przeszła do historii

Nikola Horowska również wróciła z Chin z trzema medalami. Tyle że wywalczonymi nie w wodzie, a na lądzie. Najpierw wygrała konkurs w skoku w dal, później stanęła na najwyższym stopniu podium w biegu na 200 metrów, by całość zwieńczyć srebrem w sztafecie 4 × 100 metrów. Szczególną wartość miał ten pierwszy medal, dzięki któremu zapisała się trwale na kartach historii. – Miałam od zawsze marzenie, by trzymać polską flagę na wielkiej imprezie i to się spełniło. Do tego jadąc na stadion wiedziałam, że Polska ma już na koncie 99 złotych medali zdobytych na uniwersjadach, a moja konkurencja zaczyna się jako pierwsza i mogę sięgnąć po setny. No to trafiłam jak trzeba w belkę i zrobiłam to – wspomina lekkoatletka pochodząca spod Wolsztyna.

Zmieniając trenera, przeniosła się do Gorzowa Wielkopolskiego. Teraz przygotowuje się do zawodów w klubie Akademii im. Jakuba z Paradyża. Nie żałuje tej decyzji. Uczelnia oferuje wsparcie finansowe, m.in. darmowy akademik. Przypomina, że łączenie zawodowego sportu z nauką nie należy do łatwych. A gdyby nie pomoc wykładowców, byłoby jeszcze trudniej. Dzięki indywidualnemu tokowi studiów może godzić obie sfery swojej aktywności. – Uważam, że nie ma przeciwwskazań, by je łączyć. Jedna drugiej nie przeszkadza, mogą stanowić dla siebie odskocznnię. Uczelnia bardzo mi pomaga w tym, żebym mogła spełniać się sportowo. Sprzyjało mi dodatkowo nauczanie zdalne, ponieważ nawet będąc na obozie miałam możliwość uczestnictwa w zajęciach razem z grupą – wspomina.

Teraz odrabia nieobecności wtedy, kiedy jej bardziej pasuje. Podobnie z egzaminami – dostaje dodatkowy pierwszy termin, dzięki czemu nie musi się martwić, że jej przypadnie i jedyną opcją zaliczenia będzie poprawka. Ale przyznaje, że w ostatniej sesji miała jedną. Szczęśliwie udało się zaliczyć.

Studiuje na III roku filologii polskiej. Trochę za sprawą swojej mamy, nauczycielki, wybrała specjalizację z logopedii. Przy tak intensywnym trybie życia, jaki prowadzi w związku z uprawianiem sportu, niewiele jest tematów, które mogłyby ją tak mocno wciągnąć. W polonistyczno-logopedycznym zakresie czuje się bardzo dobrze, interesuje ją to, ale na razie nie wiąże z tym jakichś planów zawodowych. Owszem, lubi pracować z dziećmi, przebywać z nimi, ale w tej chwili w pełni koncentruje się na sporcie. To on sprawia jej największą frajdę. Studia traktuje na tym etapie jak polisę i może dlatego nie stresuje się nimi aż tak bardzo. – Mam porównanie z innymi studentami. Egzaminy sporo nerwów ich kosztują, a mnie w ogóle. Prawdziwy stres odczuwam dopiero na stadionie podczas zawodów. Studia są zupełnie innym doświadczeniem niż to, co przeżywam na bieżni – opisuje.

Ona też, podobnie jak pływaczka AZS UMCS, doświadczyła przed uniwersjadą porażki. Tym boleśniej, że na młodzieżowe mistrzostwa Europy bardzo się nastawiała. Nie poszły po jej myśli, złapała lekki „dołek”. Trudno było w tej sytuacji mieć nadzieję na medale w Chinach. Niewiele było czasu na regenerację, również psychiczną. Skończyło się wyśmienienie. Dzięki temu, jak mówi, otworzyła sobie szeroko drzwi do startów w zawodach wyższej rangi. Na którą z konkurencji się zdecyduje? Raczej na skoku w dal, choć sprintu całkiem nie porzuci. Tym niemniej to właśnie w „piaskownicy” są większe szanse na wyjazd do Paryża. – Kwalifikacji jeszcze nie mam, ale to mój cel na najbliższe miesiące. W przyszłym roku, dodajmy olimpijskim, kończę studia, więc być może będą dwa powody do świętowania – kończy 22-latką.

Mariusz Karwowski

Pogranicze, które łączy

Prof. Waldemar Tarczyński, rektor Uniwersytetu Szczecińskiego, mówi o tym, jakie znaczenie ma położenie uczelni, w jaki sposób determinuje działanie i jak wpływa na jej rozwój.

Odkrywanie wspólnego dziedzictwa kulturowego poprzez poznanie historii regionu to jedna z misji Uniwersytetu Szczecińskiego jako jednostki naukowej, badawczej i edukacyjnej. Już sama nazwa uczelni podkreśla jej silny związek z regionem. Uniwersytet Szczeciński poprzez liczne działania i inicjatywy wpływa na Szczecin, województwo zachodniopomorskie oraz angażuje się we współpracę transgraniczną.

Najbardziej znaczącym przykładem naszych działań jest Międzynarodowy Ośrodek Badań Interdyscyplinarnych mieszczący się w Kulicach. Miejsce, które jest prowadzone i rozwijane przez uczelnię ze względu na szacunek do historii, a także przez świadomość roli społecznej, jaką pełni szkoła wyższa. Uniwersytety były, są i będą głównymi ośrodkami myśli naukowej i ośrodkami kształcenia ludzi wszechstronnych, także poza murami uczelni. Dlatego angażujemy się w projekty międzynarodowe, ale także w działania na szczeblu lokalnym, tak jak ma to miejsce w Kulicach na terenie gminy Nowogard, w odległości ok. 70 km od Szczecina, i – co w tym wypadku ważne – w historycznej rezydencji von Bismarcków. Bardzo nam zależało, by stworzyć takie właśnie miejsce kształcenia, nauki i komunikacji, ale przede wszystkim transgranicznych spotkań. Budynki i park są wpisane do rejestru zabytków i otoczone opieką konserwatorską. Posiadłość zbudowana została przez Bernharda von Bismarcka w połowie XIX wieku w stylu neoklasykistycznym i aż do zakończenia wojny stanowiła własność jego rodziny. Po 1945 roku stała się siedzibą PGR. Dziś dzięki uniwersytetowi Kulice mogą znów zaprezentować się w pełnej krasie: idylliczny zespół parkowy, wielki budynek, w którym realizujemy projekty polsko-niemieckie, uczymy miłości do historii pogranicza i edukujemy w duchu wzajemnego poszanowania i tolerancji.

Namacalnym przejawem naszych działań była realizacja projektu „Morze – Pomorze – Pogranicze – miejscem polsko-niemieckiego dialogu. Transgraniczna sieć współpracy w nauce i edukacji historycznej Nadodrza i strefy bałtyckiej”. Obejmował on 35 wydarzeń: konferencji, seminariów, szkół letnich, warsztatów, wyjazdów studyjnych poruszających tematy związane z pograniczami i regionem Bałtyku. Jego adresatami i uczestnikami są studenci i pracownicy oraz wszyscy zainteresowani tematyką spotkań, która osnuta jest wokół zagadnień związanych z trzema problematykami tytułowymi: morzem, Pomorzem i pograniczem. Z dala od stolicy i wielkich ośrodków akademickich, postrzegamy pogranicze jako szansę. To tu, bazując na różnorodnych historycznych doświadczeniach, budujemy uczelnię, która czerpie z wielokulturowości, z doświadczeń pokoleń, wyciągamy wnioski i tworzymy klimat współpracy. Postrzegamy naszą rolę jako tych, od których w pierwszej kolejności wymaga się tworzenia przyszłości na bazie przeszłości. Nasi naukowcy badają i odkrywają wspólne dziedzictwo, tak jest m.in. w realizowanym przez MOBI projekcie „Odkrywanie wspólnego dziedzictwa kulturowego poprzez poznanie historii regionu – propagowanie wiedzy, wymianę doświadczeń, aktywizowanie mieszkańców pogranicza i podnoszenie atrakcyjności turystycznej”. Zrealizowaliśmy kilkanaście wydarzeń w pobliskim niemieckim Schwedt i w polskich dziś Kulicach: wykłady, wystawy, wycieczki plenerowe, warsztaty i inne aktywności. Wynikiem naszych działań jest również powstanie sali muzealnej, w której przedstawione są dzieje dworu, rodu Bismarcków w tej części Pomorza oraz ziemi nowogardzkiej.

Poprzez takie aktywności chcemy odkrywać wspólne dziedzictwo kulturowe, polsko-niemieckie oraz europejskie, a najlepszą do

tęgo drogą jest poznanie historii, skomplikowanej, często bolesnej, ale historii, która nas łączy i zachęca do tego, aby dokonywać jak najdalej idących wysiłków na rzecz współpracy. Położenie na historycznym Pomorzu pozwala nam tu na miejscu prowadzić badania, które wpisują się w problematykę o wiele szerszą, europejską czy nawet światową. Pracujemy nad spójną i dziedzictwem różnych krajów, nacji i religii. Powołanie pełnomocnika ds. współpracy terytorialnej jest częścią świadomej polityki rozwijania Uniwersytetu Szczecińskiego jako prężnego ośrodka integrującego współpracę lokalne i transgraniczne. Stąd też zeszłoroczna organizacja sympozjum *Quo vadis Europa? Liberalna demokracja a zachowanie tożsamości narodowych* razem z Fundacją Św. Wojciecha, którego gościem specjalnym i uczestnikiem debaty był Joachim Gauck, były prezydent Republiki Federalnej Niemiec.

Żyjemy na pograniczu, jesteśmy sąsiadami od lat i mamy wspólną przeszłość. Nasze kultury wpływały na siebie wzajemnie i się przenikały. Jako uniwersytet staramy się dążyć do tego, aby wzajemne poznanie stało się normalnością. Chcemy wykorzystywać nasze miejsce spotkań, czyli m.in. Kulice, do wspólnych rozmów i dyskusji. Odkrywanie pogranicza szeroko otwartymi oczami i wspieranie rozwoju regionalnego – w Międzynarodowym Centrum Badań Interdyscyplinarnych te cele realizowane są z wielką dozą serdeczności i z szacunkiem.

Efektom naukowym, ale i edukacyjnym naszych działań jest realizacja projektu „Odkrywanie wspólnego dziedzictwa kulturowego poprzez poznanie historii regionu”. Powstały dzięki niemu dwa filmy reportażowe: *Śladami Żydów na Pomorzu – Szczecin i Nowogard* oraz *Natura i architektura Pomorza na przykładzie dworów i parków w Kulicach i Małkocinie*, które przedstawiają historię tych ziem i losy ich mieszkańców. Liczne wydarzenia w MOBI w Kulicach organizuje pracownik uniwersytetu dr Paweł Migdalski z Instytutu Historycznego. Kieruje on grantem „Morze – Pomorze – Pogranicze – miejscem polsko-niemieckiego dialogu. Transgraniczna sieć współpracy w nauce i edukacji historycznej Nadodrza i strefy bałtyckiej” i jest członkiem Komisji Historycznej Pomorza. Klimat współpracy i dialogu powoduje także, że chętnie u nas goszczą doktoranci z Polski, Niemiec i Szwecji podczas organizowanej przez dyrektora MOBI prof. Jorga Hackmanna szkoły letniej „Antisemitism and Xenophobia in the Baltic Sea Region”. To dobra okazja do lepszego poznania się, pogłębienia kontaktów i do stworzenia płaszczyzny na przyszłość.



Prof. Waldemar Tarczyński, rektor USz, z rodziną von Bismarck w Sali Muzealnej w Kulicach

Między akademickością i profesjonalizmem

Prof. Jerzy Nitychoruk, rektor Akademii Białskiej im. Jana Pawła II, która uzyskała kategorię naukową B+ w dwóch dyscyplinach, tłumaczy niełatwe wybory między akademickością i zawodowym charakterem uczelni.

Ostatnia ewaluacja przeprowadzona przez MEiN w 2022 r. nie była nowością dla uczelni, którą kieruję. Poddaliśmy się jej wcześniej dwukrotnie. Za pierwszym razem nasza ekonomia otrzymała kategorię A, a za drugim razem rozpatrywano, czy zasługujemy na kategorię A+. Za tymi wynikami przyszły do uczelni środki finansowe na badania. Dobrą pozycję ekonomii, również obecnie, potwierdza 16 miejsce w rankingu „Perspektyw”, co plasuje nas przed niektórymi uniwersytetami.

Wskutek ostatniej ewaluacji, w dwóch dyscyplinach: ekonomia i finanse oraz nauki o zdrowiu otrzymaliśmy kategorię B+, co dało nam uprawnienia akademickie oraz możliwość zmiany nazwy uczelni, z czego skorzystaliśmy. Na tej podstawie od 1 czerwca 2023 roku uczelnia nosi nazwę Akademia Białska im. Jana Pawła II. Sama nazwa „Akademia Białska” pojawiła się po raz pierwszy w 1628 r., a zatem prawie 400 lat temu. Była to filia Akademii Krakowskiej umiejscowiona w Białej Podlaskiej, a nazywano ją, może nieco na wyrost, „Atenami Podlasia”. Powrót do tej nazwy jest ważny nie tylko dla naszej uczelni, ale całego regionu, w którym odgrywamy ważną rolę edukacyjną i kulturotwórczą. Chcemy, żeby społeczność południowego Podlasia odczuwała dumę z posiadania takiej właśnie uczelni – akademii – i w ten sposób jeszcze bardziej się z nią identyfikowała. My nie tylko prowadzimy kształcenie i badania naukowe, ale również staramy się, żeby Akademia Białska była miejscem, gdzie można uczestniczyć w wydarzeniach popularnonaukowych, konferencjach, prowadzić dyskusję – mamy do tego znakomite warunki. Uczelnia narzuca styl debaty, merytorycznej, na wysokim poziomie kulturalnym.

W Akademii Białskiej otwieramy się na różne grupy społeczne, np. zapraszamy osoby z niepełnosprawnością, które wraz z naszymi studentami i pracownikami przygotowują spektakle teatralne, koncerty budzące wielkie emocje nie tylko wśród wykonawców, ale także u widzów. Zapraszamy też przedsiębiorców, wszak oni potrzebują miejsca, w którym nie biznes, konkurencja, swary polityczne są obecne i dominują, ale wiedza i merytoryczna dyskusja. Żeby wywołać zainteresowanie społeczeństwa, zapraszamy renomowanych wykładowców, a za ich wykłady płać przedsiębiorcy. Prelekcje kompetentnych osób, które osiągnęły sukces życiowy, trafiają do młodzieży, pomagają jej wyznaczać cele i podejmować właściwe decyzje. Przedsiębiorcy, podobnie jak my, uważają, że młodzież nie powinna odchodzić z regionu, ale tu zostawać i budować dobrobyt swój i kraju. Nawet jeśli młodzi ludzie będą kontynuowali naukę w innej uczelni, w dużych miastach, to chcemy, żeby wracali i tu wykorzystali swój potencjał, energię i wiedzę. To może nastąpić wtedy, gdy pokażemy, jak atrakcyjna jest nasza mała ojczyzna. Młodzież po szkole wyjeżdża do Holandii czy Niemiec, żeby dobrze zarobić. Potem wraca i okazuje się, że gdyby się przyłożył, to na miejscu można zarobić tyle samo co za granicą, a nie jest to okupione szere-

giem wyrzeczeń, np. rozłąką z bliskimi. Niektórzy wracają z doświadczeniami, które pozwalają im tu lepiej funkcjonować. Żeby zatrzymać młodych ludzi w regionie, prowadzimy studia dualne. Okazuje się, że przedsiębiorcy są bardzo zainteresowani tą formą kształcenia i pozyskiwania nowych pracowników. Cenię słowa Stanisława Konarskiego, który napisał: „Celem szkół jest nie tylko rozwijanie umysłów za pomocą nauki i umiejętności, lecz przede wszystkim – uszlachetnianie serc i dusz”. Wychowanie młodzieży dobrze jest oprzeć na najlepszych wartościach i wzorcach. Z pewnością należy do nich Jan Paweł II, patron naszej uczelni, który ze swoją niezwykłą myślą i dobrocią, ogromnym wpływem na rzeczywistość i wspaniałym kontaktem z młodzieżą wspomaga nas w budowaniu świadomości, że Akademia Białska to miejsce godne i wyjątkowe.



Akademickość uczelni opiera się na badaniach naukowych. Nie można prowadzić dobrej dydaktyki bez realizacji badań naukowych, choćby w podstawowym zakresie. Jako uczelnia zawodowa pokazujemy, że potrafimy to robić. Mamy pracowników, którzy się angażują naukowo, a do naszych zadań należy wspieranie ich w przeróżnych formach, choćby przez stypendia naukowe. Mamy czasopisma naukowe, z których „Health Problems of Civilization” uzyskało impact factor. Doceniamy naukę, lecz naszym powołaniem jest kształcenie praktyczne. Przygotowujemy do pracy logistyków, pielęgniarki, ratowników medycznych, informatyków. Dlatego mimo uzyskania statusu akademickiego zdecydowaliśmy o pozostaniu w gronie uczelni zawodowych.

Uczelnie zawodowe, które zostały akademiami, znalazły się w specyficznej sytuacji: uzyskały prawa do nadawania stopni naukowych, ale równocześnie pozostały w miejscach, w których były dotychczas, ich profil działania nie uległ nagle zmianie. Co prawda w rankingu „Perspektyw” Akademia Białka znalazła się wyżej niż niektóre uniwersytety, które mają kadre i prowadzą badania naukowe, jednak na wypracowanie akademickości trzeba wielu lat spokojnego, systematycznego rozwoju. Nasz region, południowe Podlasie, potrzebuje nie tyle doktorów habilitowanych, co fachowców, którzy sprawią, że się nie wyludni, że będzie się rozwijał, dawał szansę na dobre życie. Myślę, że Akademia Białka w dość istotnym stopniu odpowiada na te potrzeby. Jeżeli w przyszłości okaże się, że znacząco rozwiniemy badania naukowe, nic nie stoi na przeszkodzie, aby dołączyć do grupy uczelni akademickich. Musi się to stać niejako mimochodem, trochę jakby poza naszą wolą. Tymczasem od wielu lat kształcimy praktycznie i robimy to dobrze. Budujemy świetne relacje z przedsiębiorcami, działamy w tym kierunku, żeby młodzież pozostała w regionie. Robimy to, co jest misją uczelni zawodowej.

Notował Piotr Kieracinski

Studentom zależy na „srebrach rodowych”

Dr Jan Kuriata, profesor uczelni, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Koszalinie, najmłodszej i ostatniej, która istnieje w mieście, gdzie od lat istnieje publiczna uczelnia akademicka, tłumaczy, jak to działa.

Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Koszalinie weszła właśnie w piętnasty rok istnienia. Jest zatem uczelnią młodą. Powstała w mieście, gdzie od lat działała publiczna uczelnia techniczna. Równocześnie istniał Zespół Kolegiów Nauczycielskich. Tego rodzaju instytucje powstawały ze względu na zapotrzebowanie na nauczycieli języków obcych, których znajomość w społeczeństwie była słaba. W pewnym momencie jednak kolegia miały być likwidowane, gdyż ich zadania przejmowały uczelnie. Znałem od podszywki wyższe szkolnictwo zawodowe we Francji. Sposobem na ocalenie dorobku koszalińskiego kolegium mogło być utworzenie na jego bazie – także materialnej – Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Zaproponowaliśmy jednak nie tylko zachowanie kierunków nauczycielskich i pedagogiki, ale wzbogacenie oferty kształcenia o nowe kierunki, istotne z punktu widzenia regionu. Daliśmy przy tym słowo władzom Politechniki Koszalińskiej, że nie będziemy tworzyć konkurencyjnych kierunków. Zorientowaliśmy się zatem na pielęgniarstwo, ratownictwo medyczne, fizjoterapię, których na politechnice nie było, za to w regionie było na takich specjalistów ogromne zapotrzebowanie. W pasie nadmorskim są kurorty i uzdrowiska, które poszukiwały dla swoich klientów fachowców z tych obszarów. Nie byliśmy też konkurencją dla nieodległej Akademii Pomorskiej w Słupsku. Za to środowisko medyczne i okołomedyczne widziało w naszej uczelni szansę na dostarczenie specjalistów, na których czekało. Zysaliśmy wsparcie szpitali, ośrodków rehabilitacyjnych i spa. Wychowanie fizyczne wzbogaciliśmy o pewne elementy potrzebne nie tylko takim placówkom, ale także ośrodkom wypoczynkowym, które potrzebują animatorów aktywności ruchowej dla osób w różnym wieku i z różnymi schorzeniami. Kształcimy też bardzo potrzebnych dietetyków.

Nie znaczy to, że było łatwo. Nie wszyscy na Pomorzu Środkowym rozumieli rolę takich uczelni jak nasza. Bardzo nam pomaga sytuacja naszych absolwentów, którzy znajdują pracę, są potrzebni, co najlepiej świadczy o uczelni. Nasze sukcesy są drobne, pojawiają się

stopniowo. Uzyskaliśmy aż pięciokrotnie środki z Dydaktycznej Inicjatywy Doskonałości, za każdym razem milion złotych. Dla uczelni, której budżet wynosi 12 milionów, to ogromny zastrzyk. Podobnie ogromnym sukcesem było uzyskanie dofinansowania do Monoprofilowego Centrum, Symulacji Medycznych. Środki na te cele bardzo poprawiły nasze możliwości dydaktyczne. Prowadziliśmy przez lata studia pomostowe dla pielęgniarek. Uczelnia mieści się w budynku, gdzie niegdyś było liceum medyczne. To jego absolventki często trafiały do nas na te studia, kierując się również sentymentem do swojej dawnej szkoły. Liczba osób, które uzyskiwały tytuł licencjata na studiach pomostowych pomogła nam uzyskać finansowanie centrum symulacji. Jesteśmy niewielką uczelnią, na której kształcą się około siedemset studentów – to podobnie, jak w wielu francuskich uczelniach zawodowych. Takie organizacje znakomicie prosperują. Nie chodzi o to, żeby zachłysnąć się liczbą, ale o to, aby dobrze przygotować absolwentów do pracy i aby byli z nich zadowoleni pracodawcy. Dziś mamy właśnie taką sytuację. Nie stało się to nagle, nie było żadnego wizjonera, ale systematyczna praca, rozpoznawanie potrzeb i odpowiadanie na nie. Cieszy nas, że nabór chętnych na studia w naszej uczelni rośnie.

Oczywiście, mimo nieformalnych umów, wciąż są pomysły, aby doprowadzić do konsolidacji państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej z Politechniką Koszalińską. Nie widzę takiej potrzeby. Na świecie, choćby we Francji, o której już wspominałem, są nieduże miasta, w których funkcjonuje kilka uczelni. Tak jest choćby w Poitiers – to osiemdziesięcioletnie miasto, w którym są cztery uczelnie. Konsolidacja nic nie zmienia. Mamy podpisane porozumienia z politechniką. W Koszalinie utworzono Wyższą Szkołę Straży Granicznej, mamy też Wyższe Seminarium Duchowne. Zatem podobni jesteśmy w tym do wspomnianego miasta francuskiego. Prowadzimy badania nad pozycją naszej uczelni. Długo broniliśmy loga państwowej wyższej szkoły zawodowej, uważając, że srebro rodowych – tak potraktujemy nazwę i status akademii nauk stosowanych – nie zdobywa się



na skróty. Jednak rozpoznanie wśród naszych studentów i wykładowców wskazuje, że to im zależy na tych „srebrach”. Zatem podjęliśmy starania o zmianę nazwy na Państwową Akademię Nauk Stoso-

wanych w Koszalinie. Chcemy, aby 1 października 2024 roku uczelnia zaczęła kolejny rok akademicki pod nowym szyldem.

Notował Piotr Kieraciński

Formalnie, ale bezpośrednio

Dr Janusz Poła, prof. ANS, rektor Akademii Nauk Stosowanych im. Jana Amosa Komeńskiego w Lesznie i przewodniczący Związku Wielkopolskich Publicznych Uczelni Zawodowych, przedstawia najważniejsze aspekty współpracy jego członków.

Od samego początku kontakty między publicznymi uczelniami zawodowymi Wielkopolski były ożywione. Poszukiwaliśmy u siebie wzajemnych inspiracji i potwierdzenia użyteczności naszych działań. Ze względu na podobieństwo profilu studiów i podobne uwarunkowania rozwoju uczelni szczególnie bliskie stosunki łączyły zawsze PWSZ-ety w Lesznie, Koninie, Kaliszu, Pile i Gnieźnie. To doskonały przykład wzajemnego wzbogacania się i oddziaływania bliskich sobie, choć oddalonych w przestrzeni uczelni. Współpraca została sformalizowana w 2018 roku powołaniem Związku Wielkopolskich Publicznych Uczelni Zawodowych. Ta formuła pozwala efektywniej wykorzystywać zasoby, a także wzajemnie wspierać się, organizując spotkania nauczycieli akademickich, pracowników administracji i studentów. Spotykają się w celu wymiany doświadczeń rektorzy, kwaterownicy, szefowie kierunków kształcenia i lektoratów, dyrektorzy bibliotek, osoby z różnych komórek administracji uczelnianej. Przewodniczący samorządów studenckich ustalają zasady współpracy i wspólne przedsięwzięcia, takie jak zimowe i letnie wyjazdy sportowe, juwenalia, spotkania zespołów artystycznych.

Mysząc o naszym związku, mamy zazwyczaj na uwadze współpracę instytucji edukacyjnych o podobnym charakterze. Jest to prawda, jednak najważniejsze są więzi międzyludzkie. Instytucje są jedynie prawnie zdefiniowanymi organizacjami, wypełniającymi swe statutowe cele, podczas gdy głębsze więzi tworzą konkretni ludzie. Tym bardziej jest to widoczne w przestrzeni edukacji wyższej, gdzie nauczyciele akademicy spotykają się ze studentami, a współpraca między poszczególnymi ośrodkami dokonuje się na zasadzie osobistych kontaktów. Uważam, że ten ludzki aspekt stanowi najważniejszy wymiar Związku Wielkopolskich Uczelni Zawodowych i wart jest podkreślenia.

Od samego początku, gdy rektorzy publicznych uczelni zawodowych Wielkopolski – wtedy było pięć takich instytucji – posta-

nowili połączyć swe wysiłki w celu stworzenia płaszczyzny współpracy, personalne więzi stanowiły fundament wszystkich dalszych działań. Pozwalało to znajdować wspólnotę celów naszych uczelni przy jednoczesnym zachowaniu specyfiki każdej z nich. Na tej podstawie udało się stworzyć związek, w którym realizacja misji każdej uczelni z osobna zyskiwała wsparcie we wspólnym dążeniu do celu, jakim była poprawa poziomu i warunków kształcenia studentów.

Obecnie nasz związek nieco się zmienił, gdyż Akademia Kaliska im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego przekształciła się w Uniwersytet Kaliski. Spowodowało to, że z przyczyn formalnych uczelnia ta przestała być członkiem związku. We wdzięcznej pamięci zachowujemy jednak wspólnie przebytą drogę oraz możliwość czerpania z doświadczeń kaliskich kolegów. Mam nadzieję, że łączące nas dotąd relacje, choć już nie formalne, pozostaną żywe i pozwolą podejmować wspólne działania dla dobra rozwoju szkol-

nictwa wyższego w Wielkopolsce.

To specyficzny region naszego kraju, w którym wyrastająca z historycznych tradycji lokalność wciąż odgrywa olbrzymią rolę. W przypadku Akademii Nauk Stosowanych ma to swe szczególne uzasadnienie, gdyż pragmatyzm i praktyczne podejście zawsze cechowały Wielkopolan, pozwalając im osiągać wyznaczone cele. Dzisiaj także ważne jest to, by racjonalnie i wspólnie wykorzystywać potencjał naszych uczelni. Różne są profile prowadzonych przez nas studiów, w czym wzajemnie się dopełniamy. Jednocześnie działamy w podobnym otoczeniu społecznym, w miastach o podobnej wielkości i podobnym potencjale gospodarczym. Wynikają z tego problemy, w których rozwiązywaniu możemy wzajemnie sobie pomagać. Nadaje to sens istnieniu Związku Wielkopolskich Uczelni Zawodowych i sądzę, że właśnie w tym zakresie powinniśmy pogłębiać naszą współpracę.



Publiczne uczelnie zawodowe - 25 lat

W trakcie reformowania szkolnictwa wyższego w latach 90. XX wieku pojawił się pomysł utworzenia odrębnego segmentu wyższych szkół zawodowych z odrębną ustawą i własną komisją akredytacyjną. W Ministerstwie Edukacji Narodowej orędownikiem i opiekunem tego pomysłu był zmarły niedawno dr Jerzy Gąsiorowski, ówczesny dyrektor Departamentu Szkolnictwa Wyższego i Nauki MEN.

Ustawa z 26 czerwca 1997 r. o wyższych szkołach zawodowych powołująca państwowe wyższe szkoły zawodowe objęła także liczne już wówczas niepubliczne szkoły wyższe, które w tamtym okresie nie posiadały jeszcze uprawnień akademickich. Zapewne jej głównym celem było jednak tworzenie państwowych wyższych szkół zawodowych. Nowością było powołanie odrębnej, a pierwszej państwowej, umocowanej ustawowo Komisji Akredytacyjnej Wyższego Szkolnictwa Zawodowego. Większość państwowych wyższych szkół zawodowych utworzono w dawnych miastach wojewódzkich, które traciły status stolic regionów w 1999 r., co zapewne miało rekompensować im utratę stołecznego charakteru, ale także wzmocnić ich substancję intelektualną i kulturową. W sumie na 37 państwowych wyższych szkół zawodowych, powstałych między 1998 a 2023 rokiem aż 26 powstało w takich miastach, z tym że trzy w ośrodkach, które nadal są stolicami województw, a ponadto są (i były wówczas) w nich zlokalizowane akademickie uczelnie publiczne. To Zielona Góra (chodzi o pobliskie Sulechów), Opole i Koszalin. Uczelnie w Sulechowie i Opolu zostały wchłonięte przez sąsiadujące uniwersytety, odpowiednio Zielonogórski (w 2017 roku) i Opolski (w 2020 roku). Ostała się tylko uczelnia koszalińska, najmłodsza z działających „zawodówek”. Kilka innych państwowych wyższych szkół zawodowych utworzono w miastach, w których działały (i często działają do dziś) filie lub wydziały zamiejscowe uczelni akademickich, np. Jeleniej Górze, Zamościu, Kaliszu, Gorzowie Wielkopolskim i Białej Podlaskiej.

Już w 1998 roku powstało pierwszych dziewięć państwowych wyższych szkół zawodowych w: Tarnowie, Koninie, Legnicy, Elblągu, Jeleniej Górze, Nowym Sączu, Gorzowie Wielkopolskim i Sulechowie oraz Jarosławiu. Wszystkie te miasta, poza Jarosławiem i Sulechowem, były jeszcze wtedy stolicami województw. W latach 1999 i 2000 powstało kolejne siedem państwowych „zawodówek” z siedzibami w dawnych stolicach województw. Potem zaczęły pojawiać się uczelnie w miejscowościach, które siedzibami władz wojewódzkich nigdy nie były. Proces ten właściwie zakończył się w 2005 roku, gdy powstały uczelnie w Wałczu, Oświęcimiu, Suwałkach, Skierniewicach, Zamościu i Sandomierzu. Ostatnią i najmłodszą działającą tego typu uczelnią jest utworzona w 2009 r. PWSZ w Koszalinie. W 2023 r. wydano decyzję o utworzeniu 37 publicznej uczelni zawodowej w Grudziądzu, która ma rozpocząć działalność w przyszłym roku.

Warto przyrzeć się lokalizacji publicznych uczelni zawodowych. Dziesięć powstało w miastach liczących powyżej stu tysięcy miesz-

kańców, 15 w miastach liczących od 50 do 100 tys. mieszkańców (wraz z uczelniami w Grudziądzu), 9 w miejscowościach zamieszkałych przez 30-50 tys. osób i 3 w mniejszych miastach. Te najmniejsze to Sulechów (17 tys.), Sandomierz (24 tys.) i Wałcz (26 tys.). Żadna z tych miejscowości nie była miastem wojewódzkim. Sulechów leży tuż obok akademickiej Zielonej Góry, Sandomierz niedaleko Tarnobrzegu, gdzie istniała już PWSZ, a Wałcz 25 km od Piły, gdzie również istniała już PWSZ (choć w innym województwie). Do dziś ostała się tylko uczelnia w Wałczu. Uczelnię sandomierską wchłoniął w 2017 roku Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach. Zatem większość PWSZ-etek – 25 z 37 – powstała w miastach liczących powyżej 50 tys. mieszkańców.

Publiczne uczelnie zawodowe nie są rozłożone równomiernie w całym kraju. Najwięcej utworzono w województwach wielkopolskim i podkarpackim – po 5. W woj. dolnośląskim i małopolskim są po 4 takie uczelnie, a w lubelskim 3. Po dwie powstały w woj. zachodniopomorskim, lubuskim, opolskim, kujawsko-pomorskim, mazowieckim i podlaskim. Po jednej w woj. łódzkim, śląskim, warmińsko-mazurskim i świętokrzyskim. Nie utworzono nigdy państwowej „zawodówki” w woj. pomorskim. Obecnie, gdy część z tych uczelni została wchłonięta przez uniwersytety bądź zmieniła status na akademicki, publiczne uczelnie zawodowe istnieją w województwach: podkarpackim 5, wielkopolskim, małopolskim i dolnośląskim po 4, zachodniopomorskim, kujawsko-pomorskim (z tym, że jedna świeżo powołana jeszcze nie rozpoczęła działalności), mazowieckim i podlaskim po 2, opolskim, łódzkim, śląskim, warmińsko-mazurskim po 1. Żadnej publicznej uczelni zawodowej nie ma obecnie w województwach: lubuskim, pomorskim i świętokrzyskim. Tylko w województwach podkarpackim, wielkopolskim, małopolskim, dolnośląskim i lubelskim nasycenie tego typu uczelniami jest spore, a ich rozkład w miarę równomierny na całym terenie jednostki administracyjnej.

Publiczne uczelnie zawodowe mają różny charakter i wielkość. RAD-on podpowiada, że w 2021 r. w PUZ-ach kształciło się niemal 52 tys. studentów, czyli ok. 4,3% ogółu studentów w Polsce. Natomiast po uwzględnieniu odejścia z tej grupy trzech uczelni, które uzyskały status akademicki i postanowiły go zrealizować, ta liczba na koniec 2022 roku wynosiła ok. 42 tys. Przy czym studentów stacjonarnych było 36 tys. (niemal 86%), a niestacjonarnych 5,9 tys. (14%). Obecnie 30 publicznych uczelni zawodowych kształci 36,1 tys. studentów (niecałe 3% ogółu studentów w Polsce), w tym 31 tys. na studiach stacjonarnych i 5,1 na niestacjonarnych. Ogromna większość – 25,8 tys. – jest na studiach I stopnia, a tylko 7,2 tys. na II stopniu i 3,1 tys. na jednolitych studiach magisterskich. Największe są uczelnie w Tarnowie (3,6 tys. studentów – dane na koniec 2022 r.), Nowym Sączu (3 tys.) i Legnicy (2,6 tys.). Przeciwnie biegun zajmują PUZ-y w Gnieźnie (417) i Wałczu (465). Sytuacja może ulec zmianie w wyniku tego-



rocznej rekrutacji. Warto dodać, że w szczycie naborów, 36 PWSZ-ów kształciło ponad 100 tys. studentów, czyli 5% ogółu. W najlepszych latach w Jarosławiu kształciło się ponad 10 tys. studentów, w Tarnowie 6 tys., w Nowym Sączu i Nysie po 5 tys., a w kilku innych, np. Krośnie, Lesznie, Białej Podlaskiej, Elblągu i Koninie, ponad 4 tys.

Ogromnym kłopotem było stworzenie własnej kadry akademickiej. Początkowo PWSZ-y zatrudniały kary uczelni akademickich na drugi etat, z czasem dorabiając się własną kadry m.in. poprzez politykę awansową. Dziś większość ma już własną kadry na pierwszych etatach, z rzadka posiłkując się drugoetatowcami – jest to konieczne w przypadku wykładowców praktyków, pracujących w gospodarce lub administracji. Najliczniejszą kadry akademicką mają (na koniec 2022 r.): Akademia Tarnowska (285,8) oraz ANS-y w Nowym Sączu (256) i Chełmie (229,9). Ogółem w publicznych „zawodówkach” pracuje 3,8 tys. wykładowców.

PWSZ-y przeżyły kilka gwałtownych zmian. Pierwszą przyniósł rok 2002 – powstała Państwowa Komisja Akredytacyjna, która swoim działaniem objęła także uczelnie zawodowe. Równocześnie przestała istnieć, straciła rację bytu, Komisja Akredytacyjna Wyższego Szkolnictwa Zawodowego, a uczelnie zawodowe zaczęły mieć kłopoty, które sygnalizują do dziś – ocenianie ich działalności dydaktycznej wedle kryteriów przygotowanych dla uczelni akademickich. Kolejną zmianę przyniósł rok 2005 i wejście w życie ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym, która zintegrowała krajowy system szkolnictwa wyższego w jednym akcie prawnym, ale równocześnie pozbawiła odrębności uczelnie zawodowe. Na dodatek otworzyła system, umożliwiając uczelniom „awans” do wyższej „półki”, czyli uczelni akademickich. Skorzystały na tym natychmiast uczelnie niepubliczne. Publiczne „zawodówki” tymczasem stanęły do konkurencji o zasoby (kandydatów na studia, kadry) i uprawnienia dydaktyczne (np. do kształcenia nauczycieli) z uczelniami akademickimi, które nie tylko wciąż były źródłem kadr, ale także dawały obowiązkowy „patronat” nad pewnymi typami kształcenia (np. nauczycielskiego). Kolejne zmiany prawne, a zwłaszcza Ustawa 2.0 z 2018 roku, wiążąca wyniki ewaluacji z uprawnieniami akademickimi, umożliwiły kilku uczelniom zawodowym, które uzyskały kategorie naukowe B+ i wyższe, przejście do grupy uczelni akademickich. Trzy z nich skorzystały z prawa do zmiany nazwy, stając się akademiami: Białą, Łomżyńską i Tarnowską, ale równocześnie z przepisu umożliwiającego im pozostanie w grupie publicznych uczelni zawodowych. Głównym atutem tego rozwiązania jest naliczanie subwencji z części „zawodowej”. Trudne wyzwanie podjęła Akademia Mazowiecka w Płocku i Akademia Jana z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, przechodząc do grona szkół akademickich. PWSZ w Kaliszu już wcześniej uzyskała uprawnienia akademickie, a ostatnio na mocy specjalnej ustawy została Uniwersytetem Kaliskim, mimo, że nie spełnia wymagań akademickich wskazanych dla tego rodzaju uczelni w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (uprawnienia do nadawania stopni naukowych w 6 dyscyplinach i w 3 dziedzinach).

Od wielu lat publiczne uczelnie zawodowe kształciły kadry medyczne: pielęgniarki, położne, ratowników medycznych i fizjote-

rapeutów. Wynikało to m.in. z faktu, że dla części z nich podstawą były podyplomowe studia pielęgniarskie (np. w Opolu). W tym roku przeszły na wyższy poziom, uzyskując prawo do kształcenia lekarzy. Rozpoczęły je uczelnie w Nowym Sączu i Nowym Targu, a szykuje się do tego wyzwania Akademia Tarnowska.

W pierwszych latach istnienia rektorami PWSZ-etek byli niemal wyłącznie profesorowie uczelni akademickich z dużych miast, którzy w „swoich zawodówkach” bywali gośćmi. Ta sytuacja utrzymała się mniej więcej przez pierwsze dwie-trzy kadencje. Potem do gry weszli młodszy zarówno wiekiem, jak i stopniem – doktorzy habilitowani, a nawet doktorzy. Są mocniej związani ze swoim środowiskiem i regionami, choć bywa, że słabiej osadzeni w świecie akademickim. No i przyszedł czas kobiet, teraz sporą grupę rektorów stanowią kobiety i chyba w żadnej innej grupie uczelni nie ma ich tak wielu na tym stanowisku.

Publiczne uczelnie zawodowe borykały się z odwołaniami rektorów w trakcie trwania kadencji. W Jarosławiu rektor, odwołany z powodów kryminalnych, trafił za kratki. W Nowym Targu jednego rektora odwołano z powodu zarzutów plagiatowych. Drugiego odwołało kolegium elektorów, ale sprawa jest w zawieszeniu. Nie ogłoszono nowych wyborów, a zdjęty z urzędu rektor odwołał się do sądu, wkrótce zapewne będziemy mogli przedstawić wynik tej sprawy. W Tarnowie panią rektor odwołano z powodu recenzowania postępowań awansowych, na co nie miała zgody rady uczelni. W Jeleniej Górze panią rektor także odwołało kolegium elektorów pod zarzutami niewłaściwego zarządzania uczelnią.

W ciągu krótkiej historii większość publicznych uczelni kilkakrotnie zmieniła nazwy. Najpierw były państwowe wyższe szkoły zawodowe. Już w pierwszych latach nie wystarczyła jednak identyfikacja z miastem i pojawiły się innego rodzaju wyróżniki, np. Kolegium Karkonoskie w Jeleniej Górze, Państwowa Wyższa Szkoła Wschodnioeuropejska czy Podhalańska Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Nowym Targu. Pojawił się też patroni, np. Jan Paweł II w Białej Podlaskiej, Witold Pilecki w Oświęcimiu czy Stefan Batory w Skierniewicach. Potem były, zgodnie z ustawą, publiczne uczelnie zawodowe, a wreszcie od 2020 roku akademie nauk stosowanych. I tu pojawił się problem, bowiem takie samo określenie mogą używać w nazwach uczelnie niepubliczne. Dla przeciętnego kandydata na studia to trudne do rozróżnienia.

Publiczne uczelnie zawodowe mają niewielki potencjał z kadry i studentami porównywalnymi liczbowo z jednym tylko, choć największym uniwersytetem. Jednak w swoich środowiskach pełnią ogromną, trudną do przecenienia rolę edukacyjną i społeczną. Spotykają się też zwykle z należytą pomocą regionalnych władz i poparciem środowisk politycznych i kulturalnych. Ich kampusy i obiekty, zwykle praktyczne i reprezentacyjnej zarazem stanowią ozdoby miast i miejsca spotkań nie tylko studentów i wykładowców, ale całych lokalnych społeczności.

Piotr Kieraciński



Rozmowa z dr. Robertem Musiałkiewiczem, profesorem Akademii Nauk Stosowanych we Włocławku i rektorem tej uczelni, przewodniczącym Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych

Powinniśmy rozwijać się wspólnie z naszymi regionami

Jesteśmy uczelniami położonymi w mniejszych miejscowościach, będącymi centrami subregionów zrzeszających po kilka powiatów. Z uwagi na wysokie koszty podejmowania studiów w dużych aglomeracjach, spora część młodzieży tam zamieszkującej nie kontynuowałaby nauki, gdyby nie możliwość podjęcia bezpłatnych studiów w naszych uczelniach. Bez tej oferty ich pozycja na rynku pracy byłaby zdecydowanie gorsza, zwiększyłby się stopień migracji do większych miast oraz do pracy za granicą.

Dwadzieścia pięć lat temu powstały pierwsze państwowe wyższe szkoły zawodowe – pod rządami własnej ustawy, z własną komisją akredytacyjną, pierwszą tego typu instytucją państwową. Czy publiczne uczelnie zawodowe po wielu zmianach ustawowych i wynikach ostatniej ewaluacji stanowią jeszcze wyodrębnioną, zintegrowaną grupę, środowisko?

W 1998 roku utworzono dziewięć takich uczelni. Do roku 2009 powstało ich 36. Powstawały przede wszystkim w miastach, które w następstwie reform samorządowych z 1999 r. utraciły status stolic województw. Tworzenie uczelni w miastach bez tradycji akademickich nie było łatwym zadaniem, ale te, które już zaczęły działać, pomagały organizacyjnie tym, które dopiero tworzone. Wydaje mi się, że dziś nadal mamy znakomitą współpracę pomiędzy naszymi ośrodkami, często jest ona uzależniona od położenia geograficznego czy specyfiki danej uczelni, niemniej w naszym środowisku istnieje bardzo duże poczucie wspólnoty – wspólnoty kształcenia zawodowego.

Na własne życzenie straciliście odrębność, proponując wprowadzenie nazwy „akademia nauk stosowanych”... Co was łączy i pozwala się identyfikować w kontekście zmiany nazw na akademie nauk stosowanych (a nawet inne formy „akademii” w nazwie) wśród mnóstwa uczelni niepublicznych?

Przyczyną odejścia od nazwy publiczna uczelnia zawodowa był pejoratywny odbiór słowa „zawodowa”, kojarzącego się z częścią niezbyt cenionej kiedyś ponadpodstawowej oświaty zawodowej. System oświaty również odszedł od tego określenia na rzecz słowa „branżowa”. Nauki stosowane to nauki prak-

tyczne, których zadaniem jest poszukiwanie zastosowania osiągnięć badaczy. Dokładnie to jest fundamentem działalności naszych uczelni. Przyznam, że nie sądziliśmy, że warunki uzyskania statusu akademii nauk stosowanych będą tak niskie, i że – zapewne w związku z tym – tak wiele uczelni niepublicznych je spełni i wystąpi z wnioskami o wyrażanie zgody na zmianę nazwy. Mieliliśmy nadzieję na bardziej restrykcyjne kryteria uzyskania statusu akademii nauk stosowanych.

Czy nie żal własnej ustawy i odrębności sektora publicznych uczelni zawodowych, jaką dawała pierwotna regulacja prawna i własny system akredytacji?

Jesteśmy istotną częścią polskiego systemu szkolnictwa wyższego. Zdecydowana większość zasad prawnych regulujących funkcjonowanie uczelni akademickich i zawodowych jest wspólna. W mojej opinii nie byłoby racjonalne tworzenie nowego aktu prawnego, który powtarzałby coś, co jest już uregulowane. Nie prowadzimy więc w ramach Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych dyskusji nad potrzebą posiadania kompleksowych odrębnych regulacji prawnych określających zasady naszego postępowania. Częstym tematem rozmów i analiz jest jednak obecny kształt polskiego systemu akredytacji.

Przedstawiacie zastrzeżenia do akredytacji Polskiej Komisji Akredytacyjnej, która nie zawsze uwzględnia specyfikę uczelni zawodowych.

W naszej opinii w składzie zespołów PKA oceniających nasze kierunki zawsze powinni być obecni przedstawiciele wyższego

szkolnictwa zawodowego. Taka sytuacja miała miejsce podczas funkcjonowania Komisji Akredytacyjnej Wyższego Szkolnictwa Zawodowego (1998-2002). Obecnie powszechną sytuacją jest ocena kierunków o profilu praktycznym przez osoby, które co prawda mają bardzo duże osiągnięcia naukowe, ale nie pracowały dotychczas w sektorze prywatnym i nie mają doświadczenia spoza świata akademickiego. W ich ocenach wykładowca – magister, będący czynnym praktykiem, jest stawiany niżej niż doktor posiadający tylko doświadczenie akademickie. Tymczasem rynek pracy jest bardzo dynamiczny. Zmieniają się narzędzia pracy, technologie, organizacja pracy. Aby dobrze przygotować naszych absolwentów do pracy od razu po ukończeniu studiów, musimy zatrudniać tych, którzy na tym rynku pracy są już obecni – praktyków, nawet bez doświadczenia akademickiego. Oni najlepiej wiedzą, jakie umiejętności praktyczne są oczekiwane od przyszłych pracowników. Dlatego ocena kierunków praktycznych przez pryzmat akademickości budzi wiele zastrzeżeń.

Czy zatrudniani przez uczelnie zawodowe do zadań dydaktycznych przedstawiciele gospodarki dobrze radzą sobie z zadaniami dydaktycznymi?

Zatrudnianie praktyków wpisuje się w naszą misję – kształcenia praktycznego dla otoczenia społeczno-gospodarczego. Na rynku pracy od wieków naturalnym zjawiskiem było i jest kształcenie pracowników w danym podmiocie przez osoby już tam pracujące. Dziś określamy takie kształcenie mianem kształcenia nieformalnego. Prowadzone jest ono przez specjalnie powołane w dużych podmiotach wyodrębniane działy ds. szkoleń, HR lub przez wyspecjalizowane firmy zewnętrzne. Powszechnie przyjmuje się, że nowy pracownik – absolwent uczelni musi się jeszcze przez jakiś czas doksztalać w firmie. Powstaje więc pytanie, czy jako uczelnie nie możemy wprowadzać do programów studiów konkretnych oczekiwań pracodawców dotyczących umiejętności praktycznych. Odpowiedź wydaje się oczywista, ale sprostanie oczekiwaniom pracodawców wymaga zatrudniania osób przez nich rekomendowanych, nawet jeśli nie mają doświadczenia akademickiego, dydaktycznego. W przypadku naszego profilu kształcenia, w celu efektywnego kształcenia musimy w znacznym stopniu opierać się na tych osobach, które na co dzień wykonują te czynności, które w przyszłości mają wykonywać absolwenci. Takie rozwiązanie zazwyczaj zakłada prowadzenie zajęć przez magistrów, co czasami spotyka się z zarzutami ze strony PKA. Podkreślił jednak wyraźnie, że w wielu zawodach absolwenci po ukończeniu studiów są doksztaleni w wymiarze praktycznym przez magistrów. Takim przykładem mogą być aplikacje prawnicze. Po pięciu latach studiów, gdzie zajęcia prowadzone są przez osoby posiadające stopnie i tytuły naukowe, osoby które chcą wykonywać określony zawód prawniczy muszą odbyć aplikację. Na niej prowadzącymi zajęcia są praktycy, którzy muszą się legitymować doświadczeniem i tytułem zawodowym. Podobnie sytuacja wygląda w izbach budowlanych i innych samorządach zawodowych mających wpływ na kształcenie. Dlatego w odniesieniu do kształcenia praktycznego na poziomie wyższym w uczelniach, których podstawowym zadaniem nie jest prowadzenie badań naukowych, wartość nauczyciela akademickiego z doświadczeniem zawodowym nie powinna być określana wyłącznie przez wymiar osiągnięć naukowych.

Jakie problemy formalne związane są z zatrudnianiem praktyków? Czy nasze przepisy uwzględniają specyfikę pracy takich ludzi w uczelniach?

Zatrudniamy praktyków do prowadzenia ściśle określonych zajęć, często na drobną część etatu dydaktycznego, np.



Dr **Robert Musiałkiewicz** (ur. 1977) jest absolwentem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, tam również uzyskał stopień doktora nauk prawnych. Od 2020 roku jest rektorem Państwowej Akademii Nauk Stosowanych we Włocławku, zatrudniony na stanowisku profesora. Wcześniej pełnił funkcję prorektora ds. nauczania i studentów (2015-2020). Posiada tytuł zawodowy radcy prawnego. Przez wiele lat prowadził własną działalność gospodarczą oraz pracował w organach spółek kapitałowych. Był koordynatorem projektów z zakresu transferu wiedzy z obszaru nauki do gospodarki. Wykładał na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, w Wyższej Szkole Bankowej w Toruniu i Bydgoszczy oraz na uczelniach w Hiszpanii, Portugalii i na Litwie. Jest członkiem zespołu ekspertów EVET (European Vocational Education and Training) oraz zespołów ds. szkolnictwa wyższego. Jest autorem kilkudziesięciu publikacji dotyczących samorządności terytorialnej oraz problematyki szkolnictwa wyższego. W maju 2023 roku został wybrany na przewodniczącego Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych.

jedną czwartą. W rozumieniu naszej ustawy taka osoba nie jest zatrudniona w podstawowym miejscu pracy, bo nie pracuje na pełen etat. Z kolei prowadzenie kierunku wiąże się z obowiązkiem zatrudnienia większości kadry dydaktycznej w podstawowym miejscu pracy. Ma to szczególne znaczenie przy kierunkach mechanicznych, na których niemal każde zajęcia prowadzi inny specjalista. Jeśli na danym kierunku jest jedna, dwie grupy,

nie ma możliwości zatrudnienia wykładowcy-praktyka w pełnym wymiarze czasu pracy. Formalnie zatem zatrudniamy na część etatu znaczną liczbę osób, które nie są zakwalifikowane jako osoby pracujące w podstawowym miejscu pracy. W rezultacie statystycznie liczba osób zatrudnionych w podstawowym miejscu pracy wynosi np. 60%, choć ci niezakwalifikowani do tej grupy nie pracują w żadnej innej uczelni prócz naszej. Dlatego chcielibyśmy, aby normatywna definicja podstawowego miejsca pracy nie zawierała obowiązku zatrudnienia nauczycieli akademickich w pełnym wymiarze czasu pracy.

Ile uczelni należy dziś do grupy – bo chyba już nie można mówić o sektorze – publicznych uczelni zawodowych?

Dziś w rejestrze POLON figuruje 30 uczelni zakwalifikowanych jako publiczne uczelnie zawodowe. W tym trzy uczelnie posiadają kategorię naukową na poziomie co najmniej B+, ale zdecydowały o pozostaniu w gronie publicznych uczelni zawodowych (Biała Podlaska, Łomża, Tarnów). W ciągu 25 lat od powstania pierwszych PWSZ, trzy z nich połączyły się z innymi uczelniami (Opole, Sandomierz, Sulechów), a trzy, zachowując samodzielność, weszły do grona uczelni akademickich (Gorzów Wielkopolski, Kalisz, Płock). Istnieją przesłanki do stwierdzenia, że w przyszłości liczba publicznych uczelni zawodowych się zwiększy, bowiem od lat środowiska regionalne i lokalne kilku miast zabiegają o ich tworzenie. Niedawno tego typu uczelnia powstała w Grudziądzu. Zatem zmiany zachodzą nie tylko w kierunku uzyskiwania uprawnień akademickich i odchodzenia z grona publicznych uczelni zawodowych, ale także istnieją warunki do tworzenia nowych uczelni tego typu.

Czy te trzy „akademickie zawodówki” przyjmiecie do KRePUZ?

Otrzymałyśmy już od nich wnioski w tej sprawie i wkrótce Zgromadzenie Plenarne naszej konferencji zajmie się tą sprawą.

W swoich miastach i regionach uczelnie zawodowe odgrywają ogromną rolę, zwłaszcza tam, gdzie nie konkurują z uczelniami akademickimi, co się zdarza w kilku przypadkach.

Nie ma miasta, które może prężnie się rozwijać w dłuższym okresie bez uczelni. Nie chciałbym powtarzać truizmów o wymiarze akademickości w sferze ekonomicznej, kulturalnej czy intelektualnej, ale w naszym przypadku mówimy o uczelniach położonych w miastach istotnie zagrożonych procesem depopulacji. Brak możliwości bezpłatnego studiowania w takich miastach skutkowałby co najmniej dwoma zjawiskami: mniejszym stopniem skolaryzacji na poziomie wyższym oraz znacznie zwiększoną migracją młodych osób do dużych ośrodków miejskich. Niebagatelne znaczenie ma nasza misja związana z działaniami na rzecz wspólnot lokalnych. Jesteśmy organizatorami setek wydarzeń kulturalnych, popularnonaukowych i społecznych, w których uczestniczą nie tylko członkowie wspólnot akademickich, ale również społeczność lokalna.

Jak widzi pan dziś zadania i specyficzną misję publicznych uczelni zawodowych?

Nasze priorytetowe zadanie to kształcenie na rzecz lokalnego otoczenia społeczno-gospodarczego. W tym obszarze powinniśmy rozwijać się wspólnie z naszymi regionami, dostosowywać ofertę dydaktyczną do specyfiki potrzeb lokalnego rynku pracy. Chcielibyśmy także istotnie uczestniczyć w kształceniu na V poziomie Polskiej Ramy Kwalifikacji, choć w tym przypadku niezbędne są działania systemowe. Podkreśliśmy, że jesteśmy uczelniami położonymi w mniejszych miejscowościach, będącymi centrami subregionów zrzeszających po kilka powiatów. Z uwagi na wysokie koszty podejmowania studiów w dużych aglomeracjach, spora część młodzieży tam zamiesz-

kującej nie kontynuowałaby nauki, gdyby nie możliwość podjęcia bezpłatnych studiów w naszych uczelniach. Bez tej oferty ich pozycja na rynku pracy byłaby zdecydowanie gorsza, zwiększyłby się stopień migracji do większych miast oraz do pracy za granicą. Istotne znaczenie ma również oferowana przez nas możliwość dokończania się przez osoby będące już na rynku pracy – lokalnej administracji samorządowej, nauczycieli i pracowników sektora prywatnego – na szkoleniach, kursach i studiach podyplomowych.

Czy udało się wam stworzyć własną kadre, czy wciąż jesteście w dużym stopniu zależni od kadry z uczelni akademickich?

Dziś zdecydowana większość kadry naszych uczelni jest zatrudniona u nas w podstawowym miejscu pracy. Przedtem większość pracowników państwowych wyższych szkół zawodowych pracowała w uczelniach akademickich. Już od dawna tak nie jest. Zależność od uczelni akademickich w wymiarze kadrowym nadal istnieje, to one mają prawo do prowadzenia postępowań awansowych, czyli kształcenia kadry naukowo-dydaktycznej. Współpracujemy z uczelniami akademickimi w tym zakresie, m.in. finansując postępowania doktorskie i habilitacyjne naszych pracowników. W ten sposób budujemy własne kompetentne kadry. Często uczelnie zawodowe mają „patronów” w postaci sąsiednich uczelni akademickich, wspierających ich w naukowym rozwoju kadry i we wspólnych przedsięwzięciach naukowych i dydaktycznych. Z drugiej strony nasi absolwenci studiów I stopnia kontynuują kształcenie na studiach II stopnia właśnie w uczelniach akademickich.

Podjęliście skuteczną batalię o możliwość kształcenia nauczycieli. Czy podofacie temu zadaniu bez wsparcia szkół akademickich?

Batalia nie dotyczyła czegoś, co chcielibyśmy robić w przyszłości, lecz tego, co robimy od wielu lat. Od momentu powstania naszych uczelni prowadzone w nich były kierunki nauczycielskie; niektóre publiczne uczelnie zawodowe wręcz wywoływały się z likwidowanych kolegiów nauczycielskich. Reforma szkolnictwa wyższego z 2018 roku ograniczyła nam to prawo. Po prostu chcieliśmy przywrócić status poprzedniego, co w znacznym stopniu się udało. Kształcenie nauczycieli tylko w dużych ośrodkach akademickich mogłoby doprowadzić do znacznego ich deficytu w mniejszych miejscowościach i na terenach wiejskich, a jak istotne jest szkolnictwo podstawowe dla nas wszystkich, nie trzeba nikomu tłumaczyć. Według Barometru Zawodów 2023 na krajowej liście 27 deficytowych w tym roku zawodów są aż trzy grupy nauczycieli. Obok brakujących od lat nauczycieli przedmiotów zawodowych, są na niej również nauczyciele przedmiotów ogólnokształcących oraz nauczyciele szkół specjalnych i oddziałów integracyjnych. Należy więc rozważać, jak przeciwdziałać temu zjawisku, a nie dążyć do jego pogłębienia poprzez narzucenie uczelniom zawodowym obowiązku podpisywania porozumień z uczelniami akademickimi w zakresie prowadzenia kierunków nauczycielskich. Odstąpienie od tego rozwiązania jest po prostu w interesie państwa.

Uczelnie zawodowe od lat kształcą na kierunkach medycznych: pielęgniarstwie, fizjoterapii i podobnych. W tym roku pojawiła się jednak istotna nowość - kształcenie lekarzy. Niegdyś twierdzono, że nie dacie rady kształcić nauczycieli, a tu - lekarze. Dacie radę, jesteście do tego przygotowani, czy to potrzebne?

Z obecnego grona uczelni zrzeszonych w KRePUZ, Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Sączu i Nowym Targu uzyskały uprawnienie do kształcenia lekarzy, przeprowadziły nabory i rozpoczęły zajęcia. W moim przekonaniu tworzenie bardzo wymagającego kierunku lekarskiego przez uczelnie

publiczne o znaczeniu regionalnym daje dobrą rękojmię tego, że absolwenci tych kierunków będą odpowiednio wykształceni. Wynika to z faktu zaangażowania w tworzenie tych kierunków nie tylko środowiska akademickiego, ale też tego regionalnego czy subregionalnego – władz miejskich, powiatowych, wojewódzkich, instytucji społecznych i podmiotów leczniczych. Wszystkimi tymi podmiotami zależy na tym, aby kształcenie na kierunku lekarskim było na odpowiednim poziomie i zakładam, że instytucje samorządowe będą wspierać takie inicjatywy nie tylko w fazie koncepcyjnej, ale przez cały czas ich realizacji. Czy kształcenie lekarzy przez publiczne uczelnie zawodowe jest potrzebne? Na to pytanie powinno odpowiadać nie tylko grono rektorskie danej uczelni, ale też Senat, Rada Uczelni i przede wszystkim otoczenie społeczno-gospodarcze. Jest to bardzo wymagające kształcenie pod względem organizacyjnym i pod względem kosztowności. Trzeba odpowiedzialnie ważyć wyzwania oraz korzyści i pamiętać o tym, że równie ważne jest kształcenie w innych zawodach.

Zdawało się, że możecie być awangardą kształcenia dualnego, tymczasem po ostrym wejściu uczelni z Leszna tego typu oferta jest w waszej grupie dość skromna.

W następstwie reformy z 2018 roku i wprowadzenia sześciomiesięcznych praktyk na kierunkach praktycznych, a takie realizujemy, idea kształcenia dualnego nie jest już tak atrakcyjna. Znaczny wymiar praktyk wprowadza istotny wkład potencjalnych pracodawców w przygotowanie zawodowe naszych absolwentów, którzy mają możliwość kształtowania umiejętności studentów zgodnie z ich potrzebami. Przed wprowadzeniem sześciomiesięcznych praktyk w publicznych uczelniach zawodowych prowadzony był pilotażowy program zakładający sfinansowanie kosztów dodatkowych trzech miesięcy praktyk zawodowych, które stanowiły uzupełnienie dotychczasowych obligatoryjnych trzech miesięcy. W projekcie wsparcie otrzymało ponad 7 tysięcy studentów z kilkudziesięciu uczelni realizujących praktyki zawodowe oraz ich opiekunowie. Wypracowano zasady i dokumentację przebiegu praktyk, które zakładają istotne zaangażowanie pracodawców w przygotowanie studentów do wykonywania określonego zawodu. Kilka lat temu przyjęcie praktykanta przez pracodawcę często było traktowane przez niego w kategorii problemu, dziś mamy odwrotną sytuację – studenci chętnie są przyjmowani na praktyki, a pracodawcy świadomie kształtują ich umiejętności i kompetencje. Są sytuacje, w których duże podmioty gospodarcze przyjmują na praktyki zawodowe po kilkudziesięciu studentów, a ich pracownicy są zatrudnieni jako nauczyciele akademicy. Mamy więc do czynienia ze studiami o profilu praktycznym prowadzonymi z udziałem pracodawcy, choć formalnie nie są one nazywane studiami dualnymi.

O trwałości instytucji decyduje także jej zaplecze, inwestycje. Czy „zawodówki” już zakończyły ten proces?

Proces inwestycji w infrastrukturę dydaktyczną musi być permanentny, tak jak ciągły jest rozwój techniczny i gospodarczy. Jeśli dydaktyka nie będzie za nim nadążała, to i on w dłuższym okresie czasu nie będzie możliwy. W ostatnich latach dzięki środkom z budżetu państwa i funduszom europejskim udało nam się zrealizować sporo inwestycji dydaktycznych, w tym monoprofilowe centra symulacji medycznej, dzięki którym zwiększamy rękojmię bardzo dobrego przygotowania naszych absolwentów do wykonywania zawodów medycznych. Zaplecze dydaktyczne naszych uczelni w wielu obszarach jest na poziomie dobrych europejskich uczelni. Centrum lotnicze w Chełmie, Centrum Symulacji Medycznej w Sanoku, Cen-

trum Nauk Technicznych i Nowoczesnych Technologii we Włocławku, kampusy akademickie w Jarosławiu, Białej Podlaskiej, Skierniewicach i wiele, wiele innych mogą stanowić wizytówkę polskiego szkolnictwa wyższego. Podkreślić należy, że istotnym obszarem naszej działalności jest kształcenie w zawodach medycznych i inżynierskich, czyli bardzo kosztownych i wymagających znacznych nakładów finansowych, nie tylko w zakresie nowych inwestycji, ale też utrzymania obecnej infrastruktury.

Jak wygląda nabór studentów do waszych uczelni? W ostatnich latach liczba studentów spadła do niemal połowy tej, jaką mieliście w szczycie. Czy obecnie nabory rosną czy spadają?

Liczba studentów w naszych uczelniach spada proporcjonalnie do ogólnej liczby studentów w Polsce. Jesteśmy świadomi tego zjawiska, ale nie mamy na nie większego wpływu. Mniejsza liczebność studentów na zajęciach pozwala bardziej skupiać się na jakości. Osobiście wolę obecną sytuację niż tę z lat dziewięćdziesiątych, gdy, powiedzmy sobie szczerze, trudno było uzyskać odpowiednią jakość kształcenia, kiedy na roku na jednym kierunku studiowało kilkaset osób przy ówczesnych brakach lokalowych i dojeżdżającej kadry.

Jaką widzi pan perspektywę dla publicznych uczelni zawodowych? Będziecie starali się wypracować własną misję i ją zachować czy też kolejne uczelnie będą odchodziły do grona szkół akademickich?

Misją państwowych uczelni zawodowych jest kształcenie praktyczne, uwzględniające potrzeby otoczenia społeczno-gospodarczego. Zgodnie z ustawą, naszym zadaniem nie jest prowadzenie działalności naukowej, świadczenie usług badawczych czy transfer wiedzy i technologii do gospodarki, to domena uczelni akademickich. My na tego typu działania nie otrzymujemy środków budżetowych. Obecnie uczelnia zawodowa może zostać uczelnią akademicką, jeżeli prowadzi działalność naukową i posiada kategorię naukową A+, A albo B+ w co najmniej jednej dyscyplinie naukowej. Nie są to specjalnie wygórowane kryteria, ale po ich spełnieniu dla uczelni priorytetem stają się osiągnięcia związane z ewaluacją jakości działalności naukowej. Dziś duże ośrodki akademickie wskazują na problemy w konkurencji pod względem osiągnięć naukowych z renomowanymi uczelniami z USA, Wielkiej Brytanii i Azji. Jak trudno zatem wejść do tego świata uczelniom kształcącym tysiąc, dwa tysiące studentów? Czy priorytetem dla naszych nauczycieli akademickich mają być badania naukowe, czy prowadzenie kształcenia praktycznego? Każda uczelnia ma autonomię i sama określa własne cele i plany rozwojowe. Sama też powinna odpowiedzieć na pytanie, czy zmiana priorytetów w jej działalności jest korzystna dla jej otoczenia społeczno-gospodarczego. Wydaje mi się, że zdecydowana większość naszego środowiska akademickiego zdaje sobie sprawę, że kształcenie i szkolenie zawodowe jest jednym z najważniejszych wyzwań współczesnego systemu edukacji. Jest to przecież jeden z celów strategicznych działań Unii Europejskiej, a rynek pracy przede wszystkim wykazuje deficyty w obszarze „zawodowców”. Przed nami szereg wyzwań związanych ze zmianą paradygmatu oczekiwanego systemu edukacji: wprowadzenia mikrouprawnień, internacjonalizacji praktyk zawodowych, nowoczesnych form nauczania zdalnego. Jako uczelnie zawodowe musimy przede wszystkim dbać o formę i jakość dydaktyki, i to jest podstawowe zadanie dla Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Gdzie naukowiec pracuje?

Jest prawdziwym nieszczęściem, że struktura szkół wyższych została oparta na strukturze instytucji administracyjnej. Dlaczego taka struktura szkoły wyższej miałaby być zła? Dlatego, że o co innego chodzi w administracji, a o co innego w nauce.

Szkoły wyższe w Polsce opierają swoje zarządzanie na strukturze „piramidy”, która wywodzi się z napoleońskiej struktury wojskowej. Jest to tradycyjny hierarchiczny wzorzec, w którym istnieje jeden lub kilka szczebli decyzyjnych, a zadania i władza są rozdzielone na poszczególnych poziomach. W takiej strukturze komunikacja i przepływ informacji odbywają się w sposób hierarchiczny, a zasoby są zarządzane centralnie.

Koncepcja piramidy została zastosowana w wielu dziedzinach życia społecznego i przetrwała do dzisiaj we wszystkich chyba krajach. Na przykład w administracji państwowej występuje taki podział: kilka referatów to wydział, kilka wydziałów to departament, kilka departamentów podlega jednemu wiceministrowi, a na czele stoi minister. Dokładną kalką tego wzorca jest u nas struktura szkoły wyższej: kilku nauczycieli akademickich to pracownia, kilka pracowników to zakład, kilka zakładów to instytut, kilka instytutów to wydział z dziekanem na czele itd., aż do wodza naczelnego, czyli rektora.

W administracji kluczowe jest podejmowanie decyzji, co wymaga jasnego określenia, kto ma prawo wydawać polecenia i kto jest zobowiązany do ich wykonania. Struktura administracyjna spełnia to wymaganie, ponieważ określa, kto jest przełożonym pracowników na różnych szczeblach hierarchii, kto jest ich zwierzchnikiem i kto jest postronnym. Pracownik ma obowiązek wykonywania poleceń od swojego przełożonego i nie ma takiego obowiązku w stosunku do osób z zewnątrz.

W nauce natomiast chodzi o rozwiązywanie problemów, czyli poszukiwanie odpowiedzi na pytania, na które dotychczas nie odpowiedziano (vide: poprzedni mój tekst *Kto jest naukowcem?*). Z tym że o trafności odpowiedzi nie przesądza przecież prawo do decydowania, lecz procedura dowodowa. Istnieje wprawdzie w szkolnictwie wyższym hierarchia pracowników od asystenta do profesora, ale nie jest ona oparta na kryterium władzy, lecz na kwalifikacjach. Zakłada się jednocześnie, że w sprawach do tej pory nieudowodnionych większe jest prawdopodobieństwo, iż rację ma profesor o wybitnych osiągnięciach niż rozpoczynający dopiero działalność naukową asystent. Kluczowe jest jednak przeprowadzenie dowodu, który może wskazać, że słuszność była po stronie asystenta. Profesor, który by mimo to narzucał asystentowi swój pogląd, dałby świadectwo, że nie rozumie, o co w nauce chodzi.

Struktura piramidy generuje patologie zarządzania w szkolnictwie wyższym, m.in. dwie odrębne hierarchie naraz: hierarchię zarządzania (np. dyrektor instytutu — kierownik zakładu

— kierownik pracowni) oraz hierarchię naukową (np. profesor — adiunkt — asystent). Hierarchie te rzadko są tożsame, co bywa źródłem konfliktów i stwarza sytuacje fałszywe, zwłaszcza gdy zwierzchnik zajmuje w hierarchii naukowej miejsce niższe od swego podwładnego lub nawet w ogóle nie jest naukowcem. W strukturze hierarchicznej zakres władzy wzrasta, a znajomość rzeczy maleje. W administracji państwowej nie ma takiej sprzeczności, ponieważ przy podejmowaniu decyzji minister dysponuje informacjami niekoniecznie dostępnymi dla dyrektora departamentu, np. otrzymuje specjalne raporty i biuletyny, bierze udział w posiedzeniach rządu itp. Z kolei dyrektor departamentu otrzymuje informacje, z których nie wszystkie są przeznaczone dla kierowników wydziałów itd.

U dołu piramidy

W szkole wyższej natomiast jest odwrotnie. Najlepiej poinformowany jest specjalista zajmujący się określoną problematyką, pracujący w niej od szeregu lat, znający wszystkie ważne publikacje z jej zakresu, orientujący się, co nowego się w niej ostatnio pojawiło itd. Ale to właśnie są pracownicy u dołu piramidy zarządzania i ci właśnie ludzie są najslabiej dostrzegani przez pryzmat administracyjny oraz najniżej wynagradzani. W sprawie zmian w instytucie nikt nie zasięga ich zdania, o zapadłych postanowieniach dowiadują się ostatni i nie o wszystkich, są zawsze obiektem cudzych decyzji, sami nie decydują prawie o niczym. Czy jest do pomyślenia większy absurd?

Wszystko to sprawia, że dyrektorowi instytutu łatwiej być autorytatywnym w sprawach administracyjnych, z którymi ma do czynienia na co dzień i które nie wymagają wiedzy specjalnej, niż w sprawach naukowych, na które brakuje mu czasu i które są dla niego zbyt rozległe, a z czasem stają się coraz bardziej odległe, toteż jego zainteresowania koncentrują się na administrowaniu. Nie ma się zatem co dziwić, że nawet u wartościowego naukowca po otrzymaniu nominacji np. na dyrektora instytutu pojawiają się bardzo często nawyki biurokratyczne. Wszakże łatwiej o to, żeby naukowiec zurzędniczał niż żeby urzędnik znaukował.

Szkoły wyższe są u nas zintegrowane administracyjnie, a zdeintegrowane naukowo. Im większa uczelnia, tym silniej to występuje. Zamiast tego powinno się zmniejszyć integrację administracyjną i zwiększyć integrację naukową. Głównym elementem instytutu powinny być pracownie naukowe, które skła-

dają się z naukowców o zbliżonych specjalizacjach, aby mogli ze sobą współpracować i wzajemnie zastępować się w przypadku choroby, urlopu lub odejścia z pracy. Pracownie powinny być prowadzone przez naukowca o najwyższych kwalifikacjach. Liczba pracowników w każdej pracowni powinna być odpowiednio ograniczona, aby kierownik miał pełną orientację w pracy każdego z nich, mógł zapewnić im odpowiednie konsultacje i nadzorować rozwój naukowy młodszych pracowników. Zamiast sztywnych zakładów, grupujących pokrewne pracownie, powinny być tworzone elastyczne zespoły robocze pracowników z różnych pracowni do rozwiązywania określonych zagadnień. Ponadto w instytucji powinna działać grupa naukowców metodologów, których zadaniem powinno być udoskonalanie metod badawczych oraz koordynowanie pracy wspomnianych zespołów roboczych. Metodolog o najwyższych kwalifikacjach naukowych powinien być przewodniczącym grupy metodologów, a zarazem dyrektorem instytutu. Kierownicy pracowni i metodologowie powinni stanowić aktywny naukowy, na którym powinna się opierać działalność instytutu. Do dyspozycji tego aktywu powinna istnieć sprawna administracja zabiegająca o wszystko, co jest do pracy naukowej potrzebne.

Dwie poważne wady

Realizacja powyższych postulatów wymaga również zmian w kształceniu naukowców w kierunku nowoczesnego ujęcia (zintegrowanego). Jest to kluczowy problem, który wymaga dopiero opracowania. Dotychczasowy „cechowy” sposób produkowania naukowców jest mało przydatny, ponieważ — na dzisiejsze potrzeby — ma dwie poważne wady. Po pierwsze, proces ten jest zbyt czasochłonny. Osiągnięcie statusu samodzielnego pracownika naukowego zajmuje średnio od 8 do 15 lat pracy, licząc rok do trzech lat na asystenturę przed rozpoczęciem pracy doktorskiej, 3-4 lata na doktorat, rok do 4 lat na adiunkturę przed podjęciem pracy habilitacyjnej i kolejne 3-4 lata na habilitację. Wskutek tego samodzielnosc naukowca jest osiągnięta dopiero w wieku około 40 lat, a często jeszcze później (lub wcale).

Po drugie, system „terminowania” sprawia, że młodzi pracownicy naukowi mają skłonność do naśladowania swojego „mistrza”, przyjmowania jego metod pracy i zgadzania się z jego poglądami, zwłaszcza że „mistrzowie” zwykle bywają apodyktyczni i nie znoszą sprzeciwów w ogóle, a ze strony swoich „terminatorów” w szczególności. Jest to szkodliwe, ponieważ ogranicza intelektualny horyzont młodego pracownika naukowego, skłania go do preferowania określonych metod bez rzetelnej oceny ich przydatności, osłabia krytycyzm i uczy konformizmu. Czy zatem o posłuszeństwo w myśleniu chodzi w nauce?

Nie ulega wątpliwości, że nowoczesne kształcenie naukowców powinno umożliwiać skrócenie okresu inkubacji samodzielnego naukowca np. do 6-8 lat. Zasadniczym celem tego kształcenia powinno być opanowanie pełnego repertuaru metod badawczych oraz wyrabianie krytycyzmu i pomysłowości. Natomiast mniej pewne jest to, na czym taki system powinien polegać. Jednym ze sposobów na rozwiązanie tego problemu może być organizowanie szkół doktorskich, które mają na celu rozwój samodzielności myślenia doktorantów. Niestety wiele z tych studiów jest przeładowanych wykładami, co, choć wzbogaca wiedzę doktorantów, opóźnia rozwój samodzielności myślenia i stwarza atmosferę „szkółki”, która w pro-

stej linii jest kontynuacją studiów uniwersyteckich. Aby temu przeciwdziałać, należy poszukać racjonalnego systemu kształcenia naukowców w instytutach, gdzie doktoranci będą mieli możliwość pracy nad zagadnieniami mającymi na celu zaspokojenie określonych potrzeb, a nie tylko szkoleniowych.

Dla młodych naukowców powyższa diagnoza to pouczający przedsmak dysproporcji między kreatywnością, innowacyjnością i pośpiechem, do jakiego później, w zawodzie naukowca, będzie się ich przynaglać w rozwiązywaniu takiego czy innego zagadnienia, a rzeczywistością administracyjną, w której będą funkcjonowali. Trzeba przyznać, że wprawdzie mamy ciągle za mało żołnierzy, mieszkań, samochodów elektrycznych i wielu innych cennych rzeczy, to jednak czasu mamy wystarczająco dużo.

Tekst opracowałem na podstawie pracy Mariana Mazura pt. *Historia naturalna polskiego naukowca*, Warszawa 1970, oraz własnej obserwacji uczestniczącej i eksperymentów uczestniczących.

Parte proxima res continuetur.

Dr Paweł Kawalerski, Wydział Bezpieczeństwa, Logistyki i Zarządzania Wojskowej Akademii Technicznej, sekretarz Rady Dyscypliny Naukowej „Nauki o Bezpieczeństwie”



Był Sławomir Makal

Rozmowa z prof. dr hab. Katarzyną Marciniak z Wydziału „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego, laureatką European Research Council Proof of Concept Grant, którego celem jest stworzenie międzynarodowego programu edukacyjnego dla młodzieży wykorzystującego mitologię grecką i rzymską

Antyczny klucz do współczesności

Efektom projektu będzie międzynarodowy program edukacyjny w zakresie mitologii rozumianej jako narzędzie umożliwiające prowadzenie dialogu na aktualne tematy, które będziemy filtrować właśnie przez pryzmat mitów. Historia tułaczki Eneasza pozwoli poruszyć kwestię migracji, przemiana Meduzy stanie się punktem wyjścia do dyskusji o potworności, a mit driad zainspiruje do rozmowy o ekologii. Weźmiemy pod uwagę również wybrane przekazy mitologiczne z kultur pozaeuropejskich. Tak zaprojektowany program będzie budował poczucie wspólnoty i szacunek dla różnych tradycji.

Niektórzy już dawno wieszcyli zmierzch antyku. Rozumiem, że na takie kategorię stwierdzenie jest jednak zbyt wcześnie?

Wystarczy przyjrzeć się nazwie państwa miesięcznika „Forum Akademickie”. Forum – publiczny plac w rzymskich miastach – to przestrzeń o ogromnym znaczeniu dla ich mieszkańców, zwłaszcza w czasach republiki. Prowadzono tam debaty, wymieniano się poglądami, dyskutowano nad sprawami ważnymi dla społeczeństwa. Tytuł przyjęty przez pismo, nawet jeśli na co dzień sobie tego nie uświadamiamy, czerpie ze starożytnej tradycji. I nie mam na myśli jedynie nazwy. Dużo ważniejszy jest cały zestaw inspirujących wartości, które zawierają się w pojęciu forum, by wymienić tylko wolność wypowiedzi i szacunek dla dyskutantów. Dążenie do realizacji tych wartości to też aktualizacja antycznego dziedzictwa w naszych czasach.

A co z młodymi ludźmi? Czy dla nich antyk może być atrakcyjny?

Antyk nigdy nie przestał być atrakcyjny dla młodych ludzi, a przyciąga ich to, co jest moim zdaniem kluczowe w relacjach między pokoleniami – szczerłość przekazu. Starożytni autorzy nie obiecują łatwych rozwiązań. Wprost przeciwnie, stawiają przed nami poważne pytania o sens i porządek świata. Pytania te, mimo intensywnego rozwoju nauki, zachowują aktualność i każda kolejna generacja mierzy się z nimi na nowo.

Czyli niezależnie od czasów człowiek nie może uniknąć konfrontacji z samym sobą?

„Gnothi seauton” – „poznaj samego siebie” – głosiło zalecenie Apollina umieszczone na jego świątyni w Delfach. To zadanie na całe życie i nie wiem nawet, czy możliwe do wykonania, ale pierwsze świadome próby zdefiniowania naszej tożsamości podejmujemy właśnie jako młodzi ludzie. Antyk może w tym

pomóc i nie są to puste słowa. Co roku widzę, jak studenci odkrywają moc starożytnego dziedzictwa. Ostatnio postawiłam ich przed wyzwaniem stworzenia książek obrazkowych inspirowanych mitologią i byłam pod wielkim wrażeniem empatii, którą wykazali się w trakcie pracy, i odpowiedzialności za przesłania, które postanowili przekazać, opierając się na kulturze antycznej. Warto natomiast wciąż przypominać o potencjale kryjącym się w tym dziedzictwie, bo antyk jest do tego stopnia integralną częścią naszego życia, że często się go nie zauważa. Krąży „podskórnie”, tymczasem najczęściej daje nam wtedy, gdy wykorzystujemy go świadomie do mierzenia się z wyzwaniami współczesności, co jest też jednym z celów mojego nowego projektu.

Mitologia tworzy kod kulturowy, wspólny i zrozumiały dla niemal całego świata. Czy właśnie ten fenomen sprawia, że mity mogą stanowić klucz do współczesności?

Tak, a wynika to z pewnej szczególnej, wręcz paradoksalnej właściwości tego kodu. Jest on zarazem stały, jak i podlega ciągłej transformacji w procesie recepcji, która polega na interpretowaniu mitologicznych postaci wciąż na nowo, w odpowiedzi na rodzące się potrzeby danych czasów. Jasno widać to na przykładzie Minotaura. Niemal każdy zna jego mit, budzący grozę przekaz o najsłynniejszym potworze starożytności. I nadal funkcjonuje on w takiej formie w kulturze. Wystarczy wspomnieć przerażający wątek Minotaura w wydanej niedawno powieści amerykańskiej pisarki Madeline Miller *Kirke* (2018). Jego recepcja jest jednak złożona i często każe nam się zastanowić nad koncepcją potworności, również w kontekście problemów istotnych dla współczesnych młodych ludzi. Niemiecki reżyser Florian Schnell w filmie *Mia i Minotaur* (2012) ukazał

losy chłopca o imieniu Levin, który po śmierci ojca popada w narkomanię. Jego młodsza siostra Mia, z którą uwielbiał spędzać czas na czytaniu mitologii, z początku nie rozumie, co się dzieje. Patrzy na przemianę brata właśnie przez pryzmat mitu Minotaura i ta starożytna opowieść pomaga jej stawić czoło rzeczywistości, ma w zamierzeniu twórcy służyć uświadamianiu dzieci i młodzieży w kwestii uzależnienia od narkotyków. Jednocześnie pokazuje nam starożytnego potwora, który sam jest ofiarą i budzi współczucie. W przeciwieństwie do Ariadny, która pomogła Tezeuszowi w zabicie Minotaura, swego przyrodniego brata, Mia robi wszystko, by Levina-Minotaura ocalić. Takie utwory dają wspaniałe pole do dialogu na ważne obecnie tematy, a uniwersalny kod mitologii sprawia, że w rozmowie mogą uczestniczyć różne pokolenia z różnych rejonów świata.

A czy sądzi pani, że jakiś mitologiczny bohater jest szczególnie atrakcyjny dla młodzieży?

Takich postaci jest bardzo wiele. Myślę jednak, że określenie „mitologiczny bohater” wywołuje natychmiast skojarzenie z Herkulesem, i słusznie, bo to jeden z najciekawszych, wielowymiarowych herosów w mitologii. Co więcej, dzięki starożytnym źródłom możemy obserwować, jak stopniowo dochodzi do bohaterstwa. Ważny w tym kontekście jest zwłaszcza mit o Heraklesie na rozdrożu. Jako nastoletni młodzieniec spotyka on dwie kobiety, które proponują mu wybór między dwiema drogami życia: łatwą – przyjemności oraz trudną – cnoty. Tylko ta druga droga pozwoli Heraklesowi w przyszłości sięgnąć gwiazd i zapisać się w pamięci kolejnych pokoleń jako dobroczyńca ludzkości. Cyceron przywołuje ten mit w traktacie *O powinnościach*, który zadedykował swemu synowi. Mówca zauważa, że właśnie w tym „Herkulesowym” wieku nastolatki podejmują swoje pierwsze istotne decyzje, które w dużym stopniu ważą

na ich przyszłość, a przecież brak im jeszcze wtedy życiowego doświadczenia, by dokonywać wyborów w sposób racjonalny. Obserwacje Cycerona – całkiem aktualne – warto przedyskutować z młodzieżą, bo choć doświadczenie i wynikająca z niego rozważa przychodzi z czasem, to jednak wiek „Herkulesowy” ma coś bardzo cennego: nieokiełznaną pasję wraz z odwagą, by ją realizować. Może więc wbrew pozorom jest to dobry moment na życiowe wybory. Recepta wzmacnia jeszcze potencjał mitów, bo możemy spojrzeć na nie z perspektywy istotnej dla naszych czasów. Na przykład w zbiorze opowiadań Vity Murrow *High-Five to the Hero* (2019) Herkules odrzuca wzorzec męskości oparty na sile fizycznej i postanawia zostać lekarzem, by w ten sposób pomagać ludziom. Dzięki temu młodzi czytelnicy mogą się zastanowić nad koncepcją bohaterstwa i umocnić się we własnych wyborach. Podobny potencjał można wydobyć niemal z każdej mitologicznej postaci. Atalanta zainspiruje zarówno do aktywności fizycznej, jak i do odwagi w realizowaniu marzeń, a Achilles skłoni do refleksji nad ceną sławy.

Wydobywaniu tego potencjału pomoże projekt, który będzie pani realizowała w ramach otrzymanego grantu ERC Proof of Concept, notabene pierwszego takiego grantu w polskiej humanistyce?

Jego efektem będzie międzynarodowy program edukacyjny w zakresie mitologii rozumianej jako narzędzie umożliwiające prowadzenie dialogu na aktualne tematy, które będziemy filtrować właśnie przez pryzmat mitów. Historia tułaczki Eneasza pozwoli poruszyć kwestię migracji, przemiana Meduzy stanie się punktem wyjścia do dyskusji o potworności, a mit driad zainspiruje do rozmowy o ekologii. Weźmiemy pod uwagę również wybrane przekazy mitologiczne z kultur pozaeuropejskich. Tak zaprojektowany program będzie budował poczucie wspólnoty i szacunek dla różnych tradycji. Mam nadzieję, że roz-



Fot. Mirosław Kaźmierczak

budzi też ciekawość uczniów i zachęci ich do samodzielnego poszukiwania wiedzy.

Ktoś będzie panią wspierał?

Lekcje przygotowuję wraz ze mną członkowie mojego zespołu z grantu ERC Consolidator oraz zaproszeni eksperci z Europy, Afryki, Azji, obu Ameryk, Australii i Nowej Zelandii. Podręcznikowi nadamy formę gry: jego użytkownicy wcielą się we „Współczesnych Argonautów” i wyruszą na wyprawę, by odkrywać wspólne mityczne dziedzictwo. Każda jednostka lekcyjna będzie zawierać kompletny zestaw gotowych do użycia materiałów. Szkoły będą mogły wdrożyć cały kurs lub skorzystać z wybranych lekcji na istotne dla nich tematy. Uczestnicy programu Erasmus+ Pupil Mobility będą mogli zrealizować lekcję dotyczącą mitu związanego z krajem, do którego planują wyjazd. Poszczególne jednostki lekcyjne będą też mogły zostać wykorzystywane przez działy edukacyjne muzeów, uniwersytety organizujące zajęcia dla młodzieży oraz ośrodki kształcenia nauczycieli. Ze względu na społeczny potencjał programu, pomoc w jego rozpowszechnianiu zadeklarowały już takie wiodące instytucje zajmujące się badaniami, popularyzacją i edukacją w zakresie antyku, jak Société Internationale des Amis de Cicéron i Cambridge School Classics Project.

Czy w jakiś szczególny sposób będą mogły z niego skorzystać dzieci z niepełnosprawnościami?

Ze względu na tematykę lekcji program kierujemy nie do dzieci, ale do młodzieży licealnej. Poza wydaniem drukowanym i plikiem PDF z książką do pobrania w wolnym dostępie planuję też wersję interaktywną. Umożliwi nam to szereg działań, które zwiększą dostępność programu dla osób ze szczególnymi potrzebami edukacyjnymi, na przykład zamierzamy przygotować nagrania materiałów dla osób niewidomych i niedowidzących. W projektowaniu lekcji będziemy się kierować ideami edukacji włączającej, stawiając na naukę pracy zespołowej oraz rozwijanie kompetencji miękkich i wzajemnej empatii. Chciałabym również podkreślić, że będziemy pracować w ścisłym kontakcie z nauczycielami, a każda lekcja, zanim wejdzie do programu, zostanie przetestowana w środowisku szkolnym. Pozwoli nam to dokonać odpowiednich modyfikacji, kierując się opiniami pedagogów i uczniów. W testowaniu lekcji wezmą udział szkoły w Polsce, Kamerunie, Niemczech, Wielkiej Brytanii i we Włoszech.

Podręcznik, o którym pani wcześniej wspomniała, ma mieć formę gry. Wybranie takiego modelu można potraktować jako pewien ukłon w stronę młodzieży?

Młodzi ludzie już od dawna wkraczają do antycznego świata poprzez zabawę. Antyk stanowi inspirację dla twórców kultury popularnej i towarzyszy nam od najwcześniejszego dzieciństwa. W poznawaniu starożytności – na różnych etapach rozwoju człowieka – pomagają książki obrazkowe, komiksy, powieści, kreskówki, filmy, seriale, gry komputerowe i parki tematyczne. Dzięki temu dzieci i młodzież mają szansę odkryć wiele wątków, czy to związanych z historią starożytną, czy mitologią, na omawianie których w szkole po prostu brakuje czasu. Taka paralelna do szkolnej ścieżka może być bardzo inspirująca, zresztą nie tylko w odniesieniu do antyku. Czasem jedna przeczytana w dzieciństwie książka czy obejrzany wtedy film mają ogromny wpływ na wybór drogi życiowej przez młodego człowieka. I tu dochodzimy do kluczowej roli szkoły, która stara się dostarczyć uczniom takich narzędzi, by potrafili myśleć samodzielnie i krytycznie korzystać z różnych tekstów kultury. To nie jest łatwe zadanie, ale też nie oznacza, że edukacja musi być doświadczeniem trudnym. Wprost przeciwnie.

Do tego potrzebni są zaangażowani wychowawcy.

W trakcie mojej wieloletniej współpracy ze szkołami spotkałam pełnych pasji nauczycieli, którzy przygotowują swoich podopiecznych na wyzwania współczesnego świata zgodnie z łacińską maksymą „docere, delectare, movere” – „uczyć, bawić, wzruszać”. Wskazówką w tym kierunku może być też czasownik „ludere” – „grać”, którego ślad znajdujemy zarówno w określeniu Johana Huizingi *Homo ludens*, jak w rzeczowniku „ludus”, czyli po łacinie „szkoła”. W programie „Współcześni Argonauci” chciałabym przetestować tę drogę i przygotować taki materiał, który pozwoli połączyć poważny namysł nad wielkimi problemami sformułowanymi przez starożytnych i wciąż aktualnymi dzisiaj z formą atrakcyjną dla młodzieży. W tym celu wykorzystamy na przykład elementy RPG (role-playing game) do tworzenia postaci, co pozwoli na zapoznanie uczniów ze specyfiką greckich imion mówiących, takich jak Perykles, czyli „otoczony chwałą”. Wybierając własne imiona, uczniowie zastanowią się i sami zdecydują, które wartości są dla nich najważniejsze. Przede wszystkim jednak, poprzez określone zadania, będziemy zachęcać użytkowników programu do kreatywności i pracy zespołowej. Moje doświadczenia z wcześniejszych projektów pokazują ogromny potencjał takiego podejścia. W trakcie samego tylko ERC Consolidator Grant miałam przyjemność współpracować z kilkoma szkołami, a w efekcie naszych działań, dzięki wsparciu zaangażowaniu nauczycieli i uczniów, odbyły się sesje szkolne, przedstawienie teatralne, prezentacje na konferencjach w ramach grantu, powstały wystawy prac plastycznych, reportaże, filmiki, a także dwie książki z pierwszymi pracami naukowymi uczniów dostępne w formie drukowanej oraz w trybie Open Access (<https://library.oapen.org/handle/20.500.12657/58941> i <https://library.oapen.org/handle/20.500.12657/58940>).

Czyli nie będzie przesadą powiedzieć, że od ERC Consolidator Grant wszystko się zaczęło?

Grant ERC Consolidator był kluczowym etapem międzynarodowego, zespołowego programu badawczego „Our Mythical Childhood”, który trwa, a którego budowanie rozpoczęłam ponad dziesięć lat temu na Wydziale „Artes Liberales” UW. Na początkowych etapach otrzymałam na niego wsparcie w postaci Loeb Classical Library Foundation Grant i Alexander von Humboldt-Foundation Alumni Award for Innovative Networking Initiatives. Grant ERC Consolidator umożliwił nam rozwinięcie badań na szeroką skalę.

Które elementy z tego grantu będą wykorzystywane w ERC Proof of Concept?

W grantie ERC Proof of Concept będziemy wykorzystywali społeczny potencjał naszych badań. Wynika on z dwóch głównych założeń, które towarzyszą nam od początku. Po pierwsze, traktujemy antyk nie jako skamielinę z przeszłości, ale jako żywe doświadczenie kulturowe w procesie ciągłych transformacji dokonywanych przez kolejne pokolenia na całym świecie. Po drugie, w naszych badaniach nad tym zjawiskiem wykorzystujemy, obok globalnej, perspektywy regionalne, co przyświecało też zawsze działaniom założonego w 1991 roku przez prof. Jerzego Axera Ośrodka Badań nad Tradycją Antyczną w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej, który obecnie jest jednostką stałą naszego wydziału. Wcześniej często pomijane jako peryferyjne, a więc nieistotne, perspektywy regionalne pozwoliły nam uznać recepcję antyku w dziełach dla dzieci i młodzieży za zwierciadło przemian społecznych, ideologicznych i kulturowych, zachodzących w różnych rejonach świata, także obecnie, co ujawniło jednocześnie kluczowe wyzwania współczesności, na które chcemy odpowiedzieć w nowym pro-

jekcie. Testując te założenia, grant ERC Consolidator zaowocował licznymi publikacjami, m.in. na temat wykorzystywania mitów antycznych w edukacji od Brazylii po Nową Zelandię, w pracy z dziećmi autystycznymi czy w literaturze dla młodych odbiorców. Wszystkie są w wolnym dostępie na stronie grantu, w repozytoriach Open Access, a seria „Our Mythical Childhood” także poprzez stronę Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego. Zanalizowany materiał, podobnie jak baza danych „Our Mythical Childhood Survey”, w której zgromadziliśmy ponad 1500 najciekawszych przypadków recepcji, posłużą nam też w grantie ERC Proof of Concept, w opracowywaniu konkretnych jednostek lekcyjnych.

Brzmi inspirująco.

Wykorzystamy także animacje waz greckich, przygotowane przez członków mojego zespołu: dr Sonyę Nevin i Steve’a K. Simonsa. Mają one ogromną wartość edukacyjną i popularyzatorską, przetestowaną już przez muzea na całym świecie, które czynią je częścią ekspozycji i używają w pracy z młodymi ludźmi. Animacje zachęcają odbiorców do dyskusji na takie tematy, jak heroizm, odpowiedzialność i poświęcenie.

W ramach grantu ERC Consolidator powstało pięć animacji na podstawie artefaktów z kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie, ponieważ zależało mi na popularyzowaniu zbiorów znajdujących się w Polsce. Teraz te filmy, wraz z towarzyszącymi im zadaniami, wejdą w skład programu „Współcześni Argonauci”.

Czerpanie z wcześniejszych doświadczeń okazało się więc przydatne?

Grant ERC Proof of Concept wynika w sposób naturalny z naszych wieloletnich działań polegających na łączeniu badań z edukacją. Wierzę, że młodzież, korzystając z dorobku starożytnych i rozumiejąc mechanizmy jego recepcji, będzie dbać o to, by antyczny kod kulturowy nadal oferował przestrzeń do rozmowy i rozwiązywania problemów, tych, które są, ale i tych, które dopiero się pojawiają. Mam też nadzieję, że młodzi ludzie, korzystając z naszego programu w czasie, w którym – jak Herakles – być może są na rozdrożu, znajdą w antyku źródło siły i nadziei na przyszłość dla nas wszystkich.

Rozmawiała Aneta Zawadzka



Grupa Laokoona, Museo Pio_Clementino w Watykanie

Doktorat prawie doskonały

Rzadko mam możliwość opisanie sprawy nierzetelnego doktoratu, który został tak szybko unieważniony przez instytucję.

Ta historia jest smutnym opisem „potknięcia się” kogoś, kto spotkanie z nauką (studia doktoranckie w dojrzałym wieku) przypłacił dotkliwą porażką. Mgr Marta Dziewańska (ur. 1981) jest znaną w Polsce i w Europie kuratorką sztuki współczesnej. Filozofka z wykształcenia (Uniwersytet Warszawski 2000-2003, Uniwersytet Paryski Sorbonne I oraz IV 2003-2008), znawczyni sztuki z pasji i zamiłowania, w latach 2007-2018 była kuratorką i dyrektorką działu badań Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Jako kurator „gościnnie” zaprojektowała wiele głośnych wystaw w Polsce i za granicą, w tym rzeźbiarki Aliny Szapocznikow i malarza Andrzeja Wróblewskiego. Zredagowała wiele katalogów wydanych przez znane wydawnictwa. Od paru lat jest także kuratorką w Kunstmuseum w Bernie, w Szwajcarii.

W latach 2018-2022 zdecydowała się także podjąć dzieńne studia doktoranckie w Instytucie Filozofii i Socjologii (IFiS) PAN w Warszawie. Ich plonem była praca doktorska pt. *Plastyczność, montaż i historia w ruchu*, napisana pod kierunkiem dr. hab. Andrzeja Ledera, prof. PAN, kierownika Zespołu Filozofii Kultury. Obie recenzentki: prof. Maria Poprzęcka (ur. 1942), emerytowana dyrektor Instytutu Historii Sztuki UW, oraz dr hab. Monika Murawska, prof. w Katedrze Teorii i Krytyki Sztuki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, wysoko oceniły dysertację, rekomendując ją do druku.

Jak napisała prof. Poprzęcka: „Rozprawa zbudowana jest z czterech dużych części, poświęconych kolejno Georgowi W.F. Heglowi, Walterowi Benjaminowi, Rebecce Howe Quaytman, wreszcie Aby'emu Warburgowi, a zatem dziewiętnastowiecznemu filozofowi, dwóm czynnym w pierwszej połowie minionego wieku reprezentantom »beziemiennej nauki« oraz współczesnej, żyjącej artystce amerykańskiej. Wobec tych czterech obszernych rozdziałów, rodzajem aneksów są zamykające rozprawę krótkie teksty poświęcone kilku ekspozycjom, w tym bardzo istotnej dla rozprawy wystawie inspirowanej *Atlasem Mnemosyne* Aby'ego Warburga oraz wystawom grupy artystek współczesnych i jednego artysty, Mirosława Bałki”.

Z kolei zdaniem prof. Murawskiej: „Struktura recenzowanej rozprawy wiąże się z jej językiem, który stanowi ważną część samej pracy. Można go określić mianem performatywnego: jest bowiem literacki, barwny, dynamiczny, operuje porównaniami i doskonale wizualizuje przedstawione dzieła sztuki i gesty artystyczne. Jest performatywny, bowiem stara się być plastyczny i nasuwa na myśl właśnie montaż i ruch. Nie liczy się tu tylko treść, ale również sposób, w jaki treść ta jest nam prezentowana. Tym samym, tekst podporządkowuje się celom *stricte* filozoficznym i można uznać, że zmusza

do reakcji, nie pozostawiając czytelnika obojętnym. Współgra tym samym z omawianymi w każdym z rozdziałów przez Autorkę zdaniem spekulatywnymi u Hegla”. W podsumowaniu doktorat został uznany „za pracę nad wyraz oryginalną, świadczącą o samodzielności intelektualnej, o zdolnościach analitycznych, kompetencji językowej, o erudycji ogólnofilozoficznej, a także o imponującej znajomości sztuki wraz z interdyscyplinarnymi kontekstami, w jakich funkcjonuje”. Obrona dysertacji miała miejsce 19 października 2022 r. i przebiegła bardzo dobrze.

Co było po obronie

Zgodnie z sugestią recenzentek, maszynopis doktoratu został zaproponowany do druku w serii wydawniczej „Nowa Humanistyka”, prowadzonej przez Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN. Tekst najpierw dostali do przejrzania członkowie Komitetu Redakcyjnego. Jako pierwszy maszynopis przeczytał dr hab. Andrzej Leśniak, prof. IBL, w którego polu zainteresowań naukowych jest współczesna kultura wizualna, jak również związki między architekturą i literaturą. Jak mi opowiadał, w miarę czytania widział, że poszczególne fragmenty dysertacji były nierówne: raz stylistycznie słabe, później dobre, i znów przeciętne, i ponownie błyskotliwe. Uczony wychwytywał nierówności stylu pisarskiego doktorantki. Nagle rozpoznał zdania przejęte przez autorkę rozprawy z jego własnej książki doktorskiej *Obraz płynny*, wydanej w 2008 r. Zaskoczyło go to bardzo, gdyż osobiście znał Martę Dziewańską i cenił ją za działalność kuratorską i wystawienniczą. Od tej chwili zaczął dokładnie googlować „podejrzane” zdania i akapity. W rezultacie odnalazł kilkanaście przepisanych fragmentów bez należytej bibliograficznej atrybucji autorskiej. Maszynopis przeczytało też kilka innych osób, które miały podobne refleksje. Podczas dyskusji członkowie Rady Redakcyjnej uznali, iż nie należy tekstu „poprawiać” i przemilczeć. Przewodniczący rady serii, prof. Ryszard Nycz, wybitny literaturoznawca i profesor UJ, w połowie listopada 2022 r. formalnie napisał o tym do prof. Józefa Niżnika, ówczesnego (w latach 2020-2022) przewodniczącego Rady Naukowej IFiS PAN. Poinformował, że dysertacja doktorska „wykazała tak radykalne odstępstwa od dobrychyczajów naukowych w zakresie sposobu wykorzystywania literatury przedmiotu, że nie tylko zdecydowaliśmy się odrzucić tę pracę, ale też powiadomić Pana Profesora”. W załączonym podsumowaniu widniało 11 nieoznaczonych przypisem fragmentów tekstu różnej objętości przejętych od siedmiorga autorów i autorek.

Wiadomość spowodowała konsternację. Pomimo tego, że kadencja rady kończyła się za 6 tygodni, zdecydowano się poprosić o wstępną opinię prof. Wojciecha Bałusa z UJ w Krakowie, przewodniczącego Komitetu Nauk o Sztuce PAN. 18 stycznia 2023 r. przysłał on siedmiostronicową opinię. Jej autor znalazł w doktoracie kolejne fragmenty tekstów innych autorów i napisał, że dr Marta Dziewańska „w różnych miejscach swojej dysertacji kopiuje lub parafrazuje stwierdzenia pochodzące z różnych opracowań nie wykazanych w przypisach i bibliografii”. W rezultacie uznał, że: „Rozprawa p. Marty Dziewańskiej w mojej opinii nie jest w pełni oryginalnym rozwiązaniem problemu naukowego, gdyż znajdują się w niej przywłaszczenia cudzego dorobku i nie dowodzi ona umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej poprzez poważne braki warsztatowe, takie jak wskazywanie na korzystanie z publikacji, które faktycznie są przywoływane za innymi autorami, co dotyczy nie tylko opracowań, ale i tekstów podstawowych dla całej rozprawy, np. Waltera Benjamina czy Aby'ęga Warburga”.

Dalsze kroki Rady Naukowej

Od stycznia 2023 r. przewodniczącym nowo wybranej Rady Naukowej IFiS był dr hab. Adam Lipszyc, prof. PAN. Już 22 lutego rada podjęła „Postanowienie o wszczęciu z urzędu postępowania prowadzącego do unieważnienia decyzji o nadaniu stopnia naukowego doktora”. W uzasadnieniu wspomniano o ustaleniach Rady Redakcyjnej „Nowej Humanistyki” i powołano się na opinię prof. Wojciecha Bałusa. Na tym samym posiedzeniu powołano dwóch recenzentów-opiniodawców. Pierwszy nadesłał recenzję dr hab. Filip Lipiński z Instytutu Historii Sztuki UAM w Poznaniu. W swojej „Opinii dla potrzeb stwierdzenia nieważności nadanego stopnia” skupił się na istotności i wadze naruszających prawo autorskie przejęć w dysertacji, opierając się głównie na plagiatach wykrytych przez prof. Bałusa oraz w IBL PAN. Sam też napotkał kolejne nieuprawnione zapożyczenia. Co ciekawe, prof. Lipiński w swoich wywodach bardzo przekonująco pokazał, że wszystkie fragmenty zaczerpnięte od innych autorów służyły p. M. Dziewańskiej do ukazania swojej erudycji, jakości dyskursu filozoficznego, jak również odczytania i orientacji w literaturze zagadnienia. Wszystkie te zabiegi przeprowadzono celowo i sprytnie. Prof. Lipiński uznał, że „popołniony plagiat – w wielu jego aspektach i permutacjach jest bez wątpienia przypadkiem przywłaszczenia przez p. Dziewańską istotnych fragmentów innych dzieł zarówno w aspekcie ilościowym jak i jakościowym (...). W konkluzji – bardzo smutnej, a także niepokojącej w świetle faktu, że praca ta pozytywnie przeszła weryfikację w procedurze nadania stopnia naukowego – z pełnym przekonaniem stwierdzam, że wykryty plagiat stanowi rażące naruszenie rzetelnej pracy akademickiej i jego ilościowa i jakościowa skala, a w dodatku oczywista intencjonalność, z nadatkami spełnia zapisany w art. 195 ustawy o szkolnictwie wyższym, warunek unieważnienia nadanego już stopnia naukowego”.

Drugą, dwunastostronicową recenzję napisał dr hab. Piotr Schollenberger z Zakładu Estetyki Instytutu Filozofii UW. Recenzent we wprowadzeniu podsumowuje „plagiatowe odkrycia” prof. Bałusa. Następnie komentuje, iż jego „własna lektura recenzowanego tekstu została zrealizowana w szczególnej postawie nieufności, mało komfortowej i rzadko spotykanej przy lekturze tekstów filozoficznych. O ile zajęcie postawy krytycznej jest w przypadku czytania tekstów naukowych warunkiem wstępnym rzetelnej analizy i sposobem na dokonanie sprawiedliwej oceny – pozwala skupić się na prezentowanej argumentacji – o tyle postawa nieufna zmusza do zmiany

tego stanowiska. Od tej pory nie przyglądamy się wyłącznie prezentowanej analizie i argumentacji, ale nastawieni na wyłapywanie fałszu i podstępów traktujemy tekst niczym pole minowe, w którym zastawiono pułapki na czytelników, wierzących w powszechne obowiązywanie i przestrzeganie zasad komunikacji. Sprawili to, że do przygotowanego zestawienia fragmentów rozprawy, które pokrywają się z fragmentami pracy innych autorek i autorów, zmuszony byłem dodać własne znaleziska”. Po opisie monografii doktorskiej następuje analiza kolejnych rozdziałów z pokazaniem przejęć oraz sposobu ich maskowania i wplatania przez autorkę w oryginalne części tekstu, a także analiza istotności danego zapożyczenia. Recenzent wykrył dalsze przejęcia, głównie z literatury anglosaskiej i francuskiej, które przetłumaczono na polski. Komentując pierwszy rozdział, dr Schollenberger napisał m.in.: „W erudycyjnym przypisie 73 na stronie 33 rozprawy pojawia się odniesienie do artykułu autorstwa Rory Jeffsa *The Future of the Future: Koyré i Kojève and Malabou Speculate on Hegelian Time* („Parrhesia”, nr 15, 2002, s. 35-53). Autorka zaznacza, że cytat, jaki pojawił się w tym przypisie, został zaczerpnięty właśnie z tego tekstu. Nie zaznacza jednak, że dalsze partie jej wywodu powielają dokładnie artykuł Jeffsa: strony 34-36 rozprawy w znacznej mierze są bardzo dobrym przekładem znacznych, wybranych fragmentów ze stron 37-42. Autor tego artykułu nie zostaje już jednak przywołany w jakimkolwiek przypisie. Porządek argumentacji, sposób, w jaki wypracowane zostało pojęcie przyszłości w odniesieniu do filozofii Hegla, zostały zaprezentowane w teście rozprawy bez zaznaczenia, że są one zapożyczone z opracowania innego badacza”. Podobne komentarze recenzenta dotyczą każdego rozdziału, podane są liczne przykłady przejęć z artykułów opublikowanych w internecie.

W zakończeniu tego przeglądu „doskonałego plagiatu” Piotr Schollenberger napisał: „W trakcie czytania rozprawy trafiłem niestety na dodatkowe miejsca w teście, które potwierdzają wstępne podejrzenia dotyczące możliwości popełnienia plagiatu. Muszę również zaznaczyć, że po to, by takie miejsca zlokalizować, trzeba się napracować. Odkryte przeze mnie fragmenty to w znacznej liczbie przekłady z angielskich i francuskich źródeł, zrobione bardzo dobrze pod względem językowym i umiejętnie wklejone do tekstu. W mojej ocenie można je znaleźć w momencie, gdy przestajemy czytać »krytycznie« a zaczynamy czytać »nieufnie«. Muszę również przyznać, że taka lektura jest żmudna i psychicznie wyczerpująca. Stoi w sprzeczności z zasadami – tymi niepisаныmi, habitualnymi, jak też sformalizowanymi, choć wiem, że w polskim prawie brak jest legalnej definicji pojęcia plagiatu. W mojej ocenie w przypadku rozprawy Pani mgr Marty Dziewańskiej mamy do czynienia z częściowym plagiatem ukrytym. Znacząca część wywodu zaprezentowanego w rozprawie została zbudowana z myśli, pracy interpretacyjnej innych autorek i autorów, i nie zostało zaznaczone to w przypisach czy w bibliografii. W ocenie całości rozprawy ten aspekt przeważa nad postawionymi w teście interesującymi badawczo pytaniami, nad ciekawym zestawieniem analizowanych koncepcji, nad inspirującym doбором materiału ilustracyjnego. Nie można jej w związku z tym uznać za tekst w pełni oryginalny, nie poświadcza ona również umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej”.

Unieważnienie przewodu doktorskiego

Po wpłynięciu obydwu recenzji, w środę 28 czerwca 2023 r. odbyło się posiedzenie Rady Naukowej IFiS PAN, na którym unieważniono doktorat. Niestety protokół posiedzenia, który dostawem w ramach dostępu prasy do informacji publicznej, nie spełnia podstawowych wymogów prawnych. Dokument nie zawiera



także nazwiska protokolanta i wymaganych podpisów, w tym przewodniczącego rady. W protokole brak choćby jednego zdania o przeprowadzonej dyskusji i wskazania powodów unieważnienia. Całość punktu 11. porządku obrad („Głosowanie w sprawie unieważnienia decyzji dotyczącej nadania Marcie Dziewańskiej stopnia doktora nauk humanistycznych”) jest skwitowana następująco: „Referował prof. Adam Lipszyc. Rada zdecydowała o unieważnieniu wyżej wymienionej decyzji w głosowaniu tajnym. Głosowało 29 osób: ważnych 29, TAK 23, NIE 1, wstrzymujących się: 5”. Jest to o tyle zaskakujące, że unieważnienie doktoratu nie zdarza się często i zawsze jest to bulwersująca sprawa, nad przyczynami której każda Rada Naukowa (RN) gorąco dyskutuje.

W protokole zabrakło podania treści dyskusji i jej uczestników, stąd dysfunkcyjność dokumentu, w którym niczego nie zaprotokołowano, mogłaby spowodować unieważnienie uchwały Rady Naukowej przez Wojewódzki Sąd Administracyjny, w przypadku, gdyby zrzeczny prawnik w imieniu byłej doktorantki się odwołał. Jednak już pisemne uzasadnienie decyzji Rady Naukowej jest profesjonalne i zawarto w nim wszystkie elementy wymagane przez sądy administracyjne, gdy w następstwie odwołania kontrolowana jest poprawność prawna przebiegu sprawy administracyjnej. Napisano w nim m.in.: „Powołani recenzenci szczegółowo i wyczerpująco ocenili rozprawę p. Marty Dziewańskiej *Plastyckość, montaż i historia w ruchu*, jednomyślnie stwierdzając, że w pracy stanowiącej podstawę nadania stopnia doktora kandydatka ubiegająca się o stopień przypisała sobie autorstwo istotnych fragmentów cudzych utworów. Obie recenzje potwierdziły popełnienie plagiatu przez p. Martę Dziewańską i stosowanie przez nią metod niedopuszczalnych w świetle metodologii pracy pracownika naukowego. Po przeanalizowaniu całego tekstu rozprawy doktorskiej recenzenci wskazali kilkanaście fragmentów przytoczonych bez oznaczenia faktu cytowania i bez podania źródła, przy czym – oprócz potwierdzenia ustaleń treści zgłoszenia Komitetu Redakcyjnego serii „Nowa Humanistyka” i opinii prof. dr. hab. Wojciecha Bałusa – zidentyfikowali nowe przykłady naruszenia praw autorskich. (...) W końcowej ocenie Rady Naukowej IFiS PAN wyniki obecnego postępowania dowodowego, oparte na wskazaniach opinii powołanych dwóch recenzentów, w sposób bezsporny potwierdziły, że p. Marta Dziewańska w rozprawie doktorskiej przywłaszczyła sobie w sposób świadomy cudze myśli i sformułowania, a następnie prezentowała je w sposób sugerujący, że są to jej własne koncepcje i przemyślenia. Treść opinii recenzentów stanowi także jednoznaczne potwierdzenie, że p. Marta Dziewańska przypisała sobie autorstwo istotnych fragmentów prac innych autorów. Niezależnie od podstawowej kwestii udowodnienia plagiatu, Rada Naukowa IFiS PAN uznała także, że w świetle ujawnionych w recenzjach okoliczności, badana rozprawa doktorska nie spełnia wymogów art. 187 ust. 1 i 2 PSzW, tj. nie spełnia wymogów stawianych rozprawom doktorskim, nie stanowi bowiem oryginalnego rozwiązania problemu naukowego i nie wykazuje umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej przez autorkę rozprawy”.

Uzasadnienie zamyka stwierdzenie, że „p. Marta Dziewańska prowadziła badania naukowe w sposób niesamodzielny, skutkujący powieleniem toku myślenia innych autorów. W związku ze stosowaniem praktyk plagiatowych tekst rozprawy doktorskiej nie może zostać uznany za w pełni oryginalny. Fakt nieujawnienia przez p. Martę Dziewańską korzystania ze źródeł autorstwa innych badaczy w stosownych wzmiankach wpływa na generalną ocenę o braku oryginalnego rozwiązania problemu naukowego, w dalszej konsekwencji wykazuje brak umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej”. Jak mnie poinformowano, odwołanie nie wpłynęło i decyzja jest prawomocna.

Komentarz

Z satysfakcją muszę napisać, że szybkość i sprawność w unieważnieniu plagiatowego doktoratu p. Marty Dziewańskiej przez Radę Naukową Instytutu Filozofii i Socjologii PAN wzbudziły moje uznanie, które przekazuję na ręce dr. hab. Adama Lipszyca, jej nowego przewodniczącego. „Zapalnikiem” tej sprawy był zespół redakcyjny „Nowej Humanistyki” pod kierownictwem Ryszarda Nycza, emerytowanego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i Instytutu Badań Literackich PAN. Ciekawostką jest, że aż trzech członków Rady Redakcyjnej zostało splagiatowanych w wykazanych zapożyczeniach. Tego typu sprawy muszą wychodzić na światło dzienne i być nagłaśniane, bo tylko publiczny wstyd może zatrzymać kolejnych naśladowców. A jest ich wielu i czekają na opisanie...

Z opisaney historii wynika, że zarówno promotor, jak i obie recenzentki nie znalazły dokładnie literatury tematu, którego dotyczyła praca doktorska, dlatego jej autorka tak dobrze wypadła w ich oczach. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Rzucają one cień na prestiż nie tylko konkretnych osób, ale i na instytucję. Rada Naukowa powinna zacząć zwracać uwagę na rzeczyciwistą i specjalistyczną wiedzę recenzentów i nie traktować ich wyznaczania jako przysługi koleżeńskiej dla promotora. Prof. Andrzej Leder nie odpowiedział na moją prośbę o komentarz, podobnie jak mgr Marta Dziewańska.

W obecnych przepisach ustawowych nie ma istniejącego w unieważnionej już Ustawie o stopniach naukowych i tytułach naukowych artykułu o obowiązku informowania Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułu (dziś obowiązki centralnego organu przejęła Rada Doskonałości Naukowej) przez podmiot nadający stopień o fakcie wznowienia postępowania/unieważnienia doktoratu czy habilitacji. Dlatego w opisywanym powyżej przypadku RDN nie została poinformowana o takim fakcie, a uważam, że powinna być informowana. Co więcej, sam sprawdziłem 4 X 2023 r., że zarówno nadanie, jak i unieważnienie uprzednio nadanego doktoratu Marty Dziewańskiej nie zostały wpisane do wykazu postępowań awansowych w systemie POL-on/RAD-on, co jest wymagane prawem w ciągu 30 dni od decyzji.

Więści dyplomatyczne

We wrześniowym numerze FA (*Ambadorski plagiat*, FA 9/2023) opisałem jaskrawe naruszenia dobrych praktyk akademickich przez dr. Jędrzeja Kotarskiego, doktoranta Uniwersytetu Łódzkiego. Jego kandydatura na ambasadora w Panamie przeszła przez głosowanie Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych 18 sierpnia br. Zaprotestowałem przeciwko tej nominacji, pisząc list do Kancelarii Prezydenta RP i załączając dokumenty potwierdzające kompromitujące dla kandydata fakty. Trzeciego października br. otrzymałem informację z Biura Prasowego Prezydenta RP, że „25 września 2023 r. do Kancelarii Prezydenta RP wpłynął wniosek Ministra Spraw Zagranicznych Pana Zbigniewa Raua w sprawie anulowania procedury mianowania Pana Jędrzeja Kotarskiego na stanowisko Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Rzeczypospolitej Polskiej w Republice Panamy oraz w krajach dodatkowych akredytacji (...)”.

Także tego samego dnia prof. Maciej Kokoszko, dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego, w odpowiedzi na zapytanie prasowe poinformował mnie, że „Pan dr Jędrzej Kotarski złożył (28 września br. – MW) rezygnację ze studiów doktoranckich oraz podanie o zamknięcie przewodu doktorskiego. Obecnie trwa procedura skreślenia”.

Marekwro@gmail.com

Marek Wroński jest dr. hab. n. med., emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od 25 lat.

Korygowanie Humboldta

Poza dyskusją jest to, że humboldtowska idea uniwersytetu za swój punkt odniesienia miała stosunkowo nieduże uczelnie, posiadające nieliczną kadre i kształtujące niewielką liczbę studentów.

Wniosłe idee zwykle z trudem dają się przełożyć na realia istniejącego świata. A gdy to się w jakiejś mierze udaje, wprowadzane są do nich różnego rodzaju korekty. Nie inaczej jest z humboldtowską ideą uniwersytetu. Dzisiaj jest ona przywoływana przy różnych akademickich okazjach. Jeśli nawet nie jest to jedynie retorycznym ozdobnikiem, to w niejednym punkcie rozmija się z realiami uniwersyteckiego życia.

Humboldtowski uniwersytet

Obecnie bracia Wilhelm i Aleksander Humboldtowie są patronami uniwersytetu założonego w 1810 r. w Berlinie przez króla Prus Fryderyka Wilhelma III. W międzyczasie zmieniał on nie tylko patrona (do 1949 r. był nim Fryderyk Wilhelm), ale także przechodził lepsze i gorsze lata kształcenia studentów i prowadzenia badań. W gronie jego absolwentów znajdują się m.in. tacy wpływowi politycy jak Otto von Bismarck. Natomiast do jego wykładowców należeli m.in. laureaci Nagrody Nobla Albert Einstein i Max Planck. W okresie hitlerowskiego nazizmu „kurację” ideową przechodziła nie tylko jego kadra badawcza i dydaktyczna, ale także kształceni w nim studenci. Podobnie było po znalezieniu się w radzieckiej strefie okupacyjnej. Wprawdzie władze NRD zaakceptowały obecnych patronów, jednak jego profil ideologiczny w istotnym stopniu odbiegał od idei uniwersytetu, którą sformułował i starał się wprowadzać w życie – jako dyrektor Sekcji Sztuki i Edukacji Publicznej – Wilhelm Humboldt. Tę urzędową funkcję pełnił on zaledwie przez 16 miesięcy. Jego rezygnacja stanowiła wyraz protestu przeciwko ingerencji władz politycznych w życie akademickie. Jeśli nawet była ona swoistą walką z wiatrakami, to jednak warto ją odnotować, a być może nawet poddać pod rozwagę tym ministrom edukacji publicznej i nauki, którzy uważają, iż ze swoich poczynań na tym urzędzie rozliczają się przede wszystkim przed politycznymi mocodawcami.

W dzisiejszych przywołaniach idei Humboldta niejednokrotnie sprowadza się ją do łączenia w uniwersyteckim życiu kształcenia studentów z prowadzeniem badań naukowych. Temu reformatorowi pruskich uczelni chodziło jednak o coś dużo więcej. Wskazywał na to m.in. Karol Saureland w swoim wykładzie zatytułowanym *Idea uniwersytetu: aktualność tradycji Humboldta?*, wygłoszonym w 2006 r. na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Zdaniem tego znawcy niemieckiej tradycji akademickiej: „Najważniejszą zasadą było dla Humboldta kształcenie młodego człowieka w szkole i na uczelni oraz wyrobienie specyficznych umiejętności, a nie jedynie przekazywanie wiedzy. Każdy powinien był stać się kimś, zyskać

osobowość, i to niezależnie od pochodzenia. Daje się to osiągnąć tylko wtedy, kiedy nauczający ucząc traktuje ucznia – a przede wszystkim studenta – jako równorzędnego partnera. Jest to możliwe tylko wówczas, gdy istnieje coś, co łączy nauczającego z uczącym się. Tym elementem łączącym jest nauka! (...) Hasłowo mówi się o jedności nauki i nauczania (*Einheit von Lehre und Wissenschaft*). To założenie pociąga za sobą myśl, że badania nie mogą odbywać się w Akademii Nauk, gdzie uprawia się tylko naukę, lecz muszą być przeniesione na uczelnie i tam powinny być prowadzone. Ma to, zdaniem Humboldta, też ten dobry skutek, że nauka staje się bardziej niezależna od państwa, które lubi popierać doraźne potrzeby, nie interesując się zbytnio podstawami nauk, a tym samym ich rozwojem w odległej przyszłości”. W takiej wizji uniwersytetu „student właściwie nie potrzebuje wykładów, ich wybór z oferowanych możliwości jest raczej rzeczą przypadkową”. Natomiast podstawą życia naukowego uczonego jest „samotność, wolność i współdziałanie bez wyraźnego celu i przymusu. Nauka ma po prostu swój rytm, każdy zaś, kto ją uprawia, ma inne zdolności, a tych nie można rozwijać pod dyktando...”

Wielkie uniwersytety

Poza dyskusją jest to, że humboldtowska idea uniwersytetu za swój punkt odniesienia miała stosunkowo nieduże uczelnie, posiadające nieliczną kadre i kształtujące niewielką liczbę studentów. W końcu XVIII w. we wszystkich krajach niemieckich było ok. 30 uniwersytetów kształcących w jednym roku akademickim ok. 8 tys. studentów. W pierwszych dziesięcioleciach następnego stulecia było ich jeszcze mniej, bowiem niektóre uczelnie albo uległy likwidacji, albo też się połączyły. Dzisiaj na świecie istnieje ponad 20 tys. uczelni. W krajach niemieckich jest ich ok. 350. Kształci się na nich ponad 2 mln studentów. Rzecz jasna, liczba studentów nie może być i nie jest jedynym wskaźnikiem wielkości uniwersytetów. W środowisku akademickim sporym prestiżem cieszy się ranking szanghajski. Oparty jest on m.in. na takich wskaźnikach jakościowych jak uzyskanie przez absolwentów ocenianego uniwersytetu oraz jego pracowników znaczących wyróżnień, jak Nagroda Nobla czy Medal Fieldsa (nadawany za wybitne osiągnięcia w matematyce). Uwzględnianych jest w tym rankingu 1000 najlepszych uczelni. Od lat na pierwszych miejscach sytuują się w nim uczelnie amerykańskie. W pierwszej dziesiątce jest ich 8, a dwa pozostałe miejsca zajmują najstarsze uniwersytety angielskie, tj. Cambridge (w najnowszym rankingu znalazł się na 4 miejscu) oraz Oksford (zajął w nim 7 miejsce). W Wielkiej Bryta-

nii jest dzisiaj ponad 160 uczelni, w tym są takie, które – jak np. stanowiący federację Uniwersytet Londyński – imponują nie tylko liczbą studentów (w jednym roku akademickim kształci się na nim grubo ponad 100 tys.), ale także liczbą kadry akademickiej i uzyskiwanymi przez niektóre jego jednostki wynikami badawczymi (wchodzący w jego skład University College London w najnowszym rankingu szanghajskim znalazł się na 17 miejscu). Generalnie jednak uczelnie w tym kraju są różnicowane zarówno pod względem profilu kształcenia, jak i kierunków prowadzonych badań oraz sposobu ich organizowania i zarządzania akademickim życiem. Jedną z istotniejszych linii podziału przebiega między kultywującymi długie tradycje starymi uniwersytetami oraz nowymi, w większym stopniu skłonny do przyjmowania innowacyjnych rozwiązań.

Do tych pierwszych należy m.in. Uniwersytet Oksfordzki. Obecnie w jego skład wchodzi 39 kolegiów, z których 38 prowadzi kształcenie studentów na różnych poziomach, przy czym w jednym z nich jest to kształcenie jedynie na poziomie licencjatu, natomiast w innych na poziomie magisterskim lub doktorskim. Wyjątkiem jest All Souls College, którego kadra akademicka w zakresie swoich obowiązków ma jedynie prowadzenie badań. W latach 1966–1967 oraz w 1973 r. zatrudniony był w nim Andrzej Walicki. We wspomnieniach z tego pobytu napisał, że obowiązywał tam „ideał gentelmana, tj. człowieka niespieszającego się, mającego na wszystko czas, pewnego własnej wartości, a więc gardzącego tytułomanią i niepopisującego się erudycją w przypisach do swych prac”. Natomiast o kształceniu w innych kolegiach napisał, że realizowany w nich „model nauczania (...) nie mógł polegać na formalnych wykładach w przepelnionych salach, o treści uzgodnionej z ogólnouniwersytecką administracją. Nauczanie odbywało się w kolegiach, często w pokojach przylegających do mieszkania akademickiego opiekuna studenckiej grupy, polegało zaś przede wszystkim na pisaniu esejów na tematy indywidualnie wybrane i omawiane z nauczycielem akademickim. Napisanie wyróżniającego się eseju było wydarzeniem, które obie strony – zarówno student, jak i kierujący pracą naukowiec – traktowały jako coś godnego zapamiętania i przypomnienia w odpowiednim czasie” („Prze-

gląd Filozoficzny” nr 1/2014). Można w tym znaleźć zarówno kontynuację modelu humboldtowskiego, jak i wprowadzone do niego korekty, które miały je dostosować do współczesnych potrzeb i oczekiwań studentów.

Unijna polityka

Jeśli nawet opór stawiany przez stare uczelnie angielskie i szkockie brukselskim innowatorom miał jakiś wpływ na wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, to zapewne nie był on decydujący. Jakkolwiek to jednak oceniać, poza dyskusją jest to, że unijni programiści i planiści ds. kształcenia na różnych poziomach, w tym uniwersyteckim, nie tylko formułują różne programy i dyrektywy, ale także oczekują, że będą one realizowane w krajach członkowskich UE. Od początku naszego stulecia są one realizowane pod hasłem Europejskiej przestrzeni szkolnictwa wyższego lub też – co w gruncie rzeczy na to samo wychodzi – procesu bolońskiego. Chodzi w nim o maksymalne ujednolicenie tego, co na uczelniach państw członkowskich różnicuje zarówno kształcenie studentów, jak i ocenianie uzyskiwanych przez nich wyników. Sygnatariusze podpisanej 19 czerwca 1999 r. *Deklaracji Bolońskiej* stwierdzają, że wymaga to: 1) „przyjęcia systemu łatwo czytelnych i porównywalnych systemów oceniania”. 2) „systemu uznawania wyników z innych uczelni, takiego jak ECTS” oraz 3) „współpracy europejskiej w zakresie zapewnienia jakości” kształcenia. Za tym idą zarówno głosy poparcia, jak i sprzeciwu uczonych. W tych pierwszych wskazuje się m.in. na poszerzenie zakresu wolności poprzez przekraczanie granic jednego kraju i realizowanie części programu edukacyjnego w innym kraju unijnym. Realizowane to jest w ramach unijnego międzynarodowego programu wymiany studentów Erasmus+ (wcześniej występującego pod nazwą Erasmus). W projekcie Epikur głównym celem jest integrowanie uczelni we wspólnym prowadzeniu studiów oraz badań naukowych, z wykorzystaniem m.in. platform e-learningowych. Natomiast celem Międzynarodowego Programu Oceny Umiejętności (Programme for International Student Assessment) jest nie tylko zebranie informacji o efektach kształcenia na różnych szczeblach w różnych krajach



unijnych, ale także wypracowanie wspólnych dla tych krajów kryteriów oceny efektów.

Zwolennicy i propagatorzy unijnych programów edukacyjnych jak Torsten Husén (nazywani merytokratami) są przekonani, że ich realizacja przyczyni się nie tylko do podniesienia poziomu wykształcenia różnych grup społecznych, ale także do stopniowego ograniczenia nierówności społecznych w zakresie dostępu do edukacji, a co za tym idzie również stanowisk pracy i wynagrodzeń. Ich krytycy, nazywani kredencjalistami, uważają, że realizacja tych programów nie tylko nie doprowadzi do zniesienia nierówności społecznych, ale wręcz przyczyni się do pogłębienia już istniejących, bowiem dyplomy edukacyjne (tzw. kredencjały) będą wykorzystywane jako instrument selekcji społecznej, a same dyplomy (również uniwersyteckie) staną się tak powszechne, że ich wartość rynkowa ulegnie inflacji. Na te i inne jeszcze negatywne następstwa prowadzonej przez UE polityki edukacyjnej wskazują również polscy uczeni (tacy m.in. jak Zbyszko Melosik). Zarówno merytokraci, jak i kredencjonałści wprowadzają istotne korekty do humboldtowskiego modelu uniwersytetu. Różnica między nimi polega na tym, że ci pierwsi ani nie obawiają się wpływu polityków na jego przystosowywanie do wymagań gospodarki rynkowej, ani też nie mają nic przeciwko temu, aby uniwersytety w UE upodobniły się do siebie w takim stopniu, że będą przypominały w swoim funkcjonowaniu przedsiębiorstwa produkcyjne lub firmy handlowe. Natomiast kredencjonałści przynajmniej ostrzegają przed taką inflacją nie tylko uniwersyteckiego kształcenia, ale także mierzenia jego efektów.

Krajowe realia

W sytuacji gdy w polityce głośno mówi się o rozbieżności interesów Polski i Niemiec, już samo przywołanie humboldtowskiej idei uniwersytetu może stanowić swoisty dysonans. Wyraźnie słyszalny jest również głos tych, którzy uważają, że jeśli nawet wejście Polski do UE w 2004 r. nie było totalnym

błędem, to przynajmniej przyniosło ze sobą niejedno realne zagrożenie dla tego, co polskie. Narracje polityczne mają to do siebie, że jednak zmieniają się razem ze zmianą sytuacji na różnych szczeblach politycznej władzy, a uczelnie, które są nimi nie tylko z nazwy, ale także ze względu na poziom kształcenia oraz prowadzonych w nich badań naukowych, są w stanie przetrwać niejedną z nich. Problem w tym, że w naszym kraju mamy wprowadzić wiele uczelni, ale żadna z nich nie może się równać swoim poziomem już nie tylko z pierwszą, ale także z drugą czy nawet trzecią setką uczelni w rankingu szanghajskim. Rzecz jasna, można znaleźć krajowe rankingi, w których te uczelnie wypadają znakomicie. Być może poprawiają one samopoczucie ich władzom i niektórym pracownikom. Jednak mogą dawać złudne przekonanie, że jeśli nawet nie zbliżają się do światowej czołówki akademickiej, to przynajmniej do europejskiej. Warto zapoznać się z tym, co mają do powiedzenia na temat rankingów Jerzy Brzeziński („Humaniora” nr 2/2023) i Leszek Pacholski („Wszystko co Najważniejsze”, sierpień 2023). Nie pozostawiają oni wątpliwości, że polskich uczonych czeka jeszcze sporo pracy, aby zbliżyć się do najlepszych w kształceniu studentów i prowadzeniu badań naukowych.

Jeśli miałbym na koniec sformułować generalizującą sugestię, to powiedziałbym, że jeśli nie będziemy wytrwale podnosić swoich akademickich kwalifikacji, to nie pomoże nam żaden zagraniczny ani też krajowy polityk. Sugerowałbym raczej zachowanie wobec takiej „pomocnej dłoni” sporego krytycyzmu, nawet jeśli towarzyszą jej tzw. wzniosłe deklaracje, dobre chęci czy obietnice stania się w stosunkowo niedługim czasie pełnoprawnym Europejczykiem. Czy ma to coś wspólnego z korygowaniem Humboldta? W moim przekonaniu tak. Mimo wszystko warto jego wizję uniwersytetu przypominać, bowiem można w niej znaleźć niejedną ważną wskazówkę. Jednak do niej również należałoby podchodzić krytycznie, a przynajmniej nie traktować jej jako „klucza”, który pasuje do każdego akademickich drzwi.



Źródło: Wikipedia / zasobów Bibliotek Kongresu Stanów Zjednoczonych

Adam Proń i Halina Szatyłowicz

Rankingowe podniety

Rozpoczyna się nowy rok akademicki, przez chwilę uniwersytety i inne szkoły wyższe staną się przedmiotem zainteresowania zarówno publicystów czasopism tradycyjnych, jak i portali internetowych.

My, pracownicy naukowcy z prawie 50-letnim stażem i w wieku emerytalnym, choć nadal czynni zawodowo, również poczuliśmy nieodparte pragnienie, aby włączyć się do dyskusji na temat kondycji polskich uczelni, a szczególnie lamentów rankingowych. Musimy podkreślić, że jesteśmy zajadłymi przeciwnikami takich klasyfikacji. Starszy z autorów ponad 11 lat temu opublikował w „Forum Akademickim” artykuł pt. *Nie stosować, szkodzi!* (FA 10/2011), będący zjadliwą krytyką rankingu polskich uczelni, tzw. rankingu „Perspektyw”, ale ten jego głos pozostał głosem, a raczej cichutkim piskiem, wołającego na puszczy. Znaczenie propagandowe, a nawet sprawcze rankingów nieustannie (niestety!) rośnie, pojawienie się rankingów spowodowało bowiem w niektórych krajach znaczące zmiany organizacyjne w szkolnictwie wyższym, których jedynym celem było poprawienie wizerunku rankingowego miejscowych uczelni.

Rankingów ci u nas dostatek, postanowiliśmy więc ograniczyć się do czterech, w naszym przekonaniu znajdujących największy oddźwięk w środowiskach uniwersyteckich i gremiach decydujących o rozwoju szkolnictwa wyższego i nauki, są to: Academic Ranking of World Universities (ARWU World), powszechnie nazywany Rankiנגiem Szanghajskim; US News & World Report Global University Ranking (USNWR Global) – najstarszy ranking stworzony w latach 80. ubiegłego stulecia przez czasopismo, które w owym czasie było trzecim najbardziej znaczącym tygodnikiem w Stanach Zjednoczonych, wyprzedzały go jedynie „Time” i „Newsweek”; QS World University Ranking (QS World) jest rankingiem rocznie opracowywanym przez brytyjską firmę Quacquarelli Symonds specjalizującą się w analizie rozwoju szkolnictwa wyższego na całym świecie; Times Higher Education World University Rankings (THE World) jest brytyjskim rankingiem corocznie ogłaszanym przez „Times Higher Education” – brytyjskie czasopismo poświęcone uniwersytetom i studiowaniu.

Twórcy rankingów, przynajmniej w części, stosują różne kryteria oceny, a w przypadku tych samych kryteriów często przypisują im inne wagi. W efekcie zbliżone wyniki znaleźć można tylko dla pierwszej dwudziestki najlepiej ocenianych uczelni (Tabela 1). W przypadku uniwersytetów niżej ocenianych rozrzut w ocenie sięga nawet kilkuset miejsc. Niezależnie od rozpatrywanego ranking, pierwsza dwudziestka jest zdominowana przez uniwersytety wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych (MIT i Johns Hopkins oraz uniwersytety z tzw. ligi bluszczowej: Harvard, Princeton, Yale, Columbia, University of Pennsylvania i Cornell), uniwersytety kalifornijskie, zarówno publiczne (UC Berkeley, UC Los Angeles), jak i prywatne (Stanford, Caltech). Jedyną uczelnią spoza Kalifornii

i wschodniego wybrzeża jest University of Chicago. Do uniwersytetów amerykańskich należy jeszcze doliczyć cztery uniwersytety angielskie (Oxford, Cambridge, Imperial College i University College). Pierwszą dwudziestkę uzupełniają trzy uczelnie nieamerykańskie i nieangielskie: słynna szwajcarska politechnika ETH Zurich, University of Toronto z Kanady oraz chiński uniwersytet Tsinghua. Uniwersytety innych krajów, nawet tych bardzo rozwiniętych gospodarczo i cywilizacyjnie, są dosyć daleko w rankingach. Np. najwyższej oceniany uniwersytet australijski University of Melbourne w czterech rankingach zajmuje średnio 27,5 pozycję, singapurski National University of Singapore 31 pozycję, japoński University of Tokyo 43,75 pozycję, a koreański Seoul National University 80 pozycję.

Co z czym się porównuje

Amerykańskie uniwersytety z „ligi bluszczowej” oraz dwa instytuty technologiczne (MIT i Caltech), a także Stanford, Johns Hopkins i University of Chicago mają kilka wspólnych cech. Przede wszystkim są to uniwersytety niewielkie lub co najwyżej średniej wielkości. Najmniejszy z nich (Caltech) ma jedynie ok. 900 studentów pierwszego stopnia (undergraduates), liczba studentów pierwszego stopnia w największych z nich (Harvard i Cornell) nie przekracza 15 tys. (Tabela 2). Najbardziej wybredny w wyborze studentów jest uniwersytet Stanforda, który na studia przyjmuje zaledwie 4,3% kandydatów. Z kolei najlepsze wyniki testu SAT osiągają kandydaci przyjęci na studia w Caltechu (średnia 1545 punktów). Publiczne uniwersytety kalifornijskie (UC Berkeley, UCLA) są znacznie większe i stawiają kandydatom na studia znacząco niższe wymagania, co wynika m.in. z ich uzależnienia finansowego od władz stanowych. Inną cechą omawianych elitarnych uniwersytetów amerykańskich, z wyjątkiem uniwersytetów Cornell i Princeton, a także dwóch wymienionych publicznych uniwersytetów kalifornijskich, jest znacząca przewaga liczby studentów drugiego stopnia i doktorantów (graduates) nad studentami pierwszego stopnia. Pozwala to na bardzo indywidualne traktowanie każdego studenta rozpoczynającego naukę. Może on na zasadzie wolontariatu rozpocząć pracę badawczą bardzo wcześnie pod opieką starszych kolegów magistrantów lub doktorantów, a także postdoków, których na takich uczelniach nie brakuje. Ma to niezwykle pozytywny wpływ nie tylko na rozwój intelektualny tych młodych ludzi, ale również pozwala na nabycie wielu czasem unikalnych kompetencji w pracach laboratoryjnych i obliczeniowych już na wczesnym etapie studiów. Studia pierwszego stopnia, np. w niewielkim Caltechu, mogą więc być dla ambitnych studentów prawdziwą rozkoszą.

Tabela 1. Dwadzieścia najwyżej ocenianych uniwersytetów wg. rankingów ARWU World, USNWR Global, QS World i THE World. W ostatniej kolumnie przedstawiono średnią pozycję danego uniwersytetu obliczaną jako suma pozycji w poszczególnych rankingach podzielona przez 4.

		ARWU	USNWR	QS	THE	Średnia pozycja
1	Harvard	1	1	4	2	2
2	Stanford	2	3	3	3	2,75
3	MIT	3	2	1	5	2,75
4	Oxford	7	5	3	1	4
5	Cambridge	4	8	2	3	4,25
6	Berkeley	5	4	10	8	6,75
7	CalTech	9	9	15	6	9,75
8	Princeton	6	16	17	7	11,5
9	Yale	11	11	16	9	11,75
10	Columbia	8	7	23	11	12,25
11	Imperial Coll.	23	13	6	10	13
12	U. Penn	14	15	12	14	13,75
13	U. Chicago	10	22	11	13	14
14	U. Coll. London	17	12	9	22	15
15	Cornell	12	21	13	20	16,5
16	ETH Zurich	20	29	7	11	16,75
17	Johns Hopkins	16	10	28	15	17,25
18	UC Los Angeles	13	14	29	21	19,25
19	U. Toronto	24	18	21	18	20,25
20	Tsinghua	22	23	25	16	21,5

Z kolei największe uniwersytety amerykańskie rekrutują znacznie gorszych studentów, a słuchacze studiów pierwszego stopnia w tych uczelniach wyraźnie dominują liczbowo nad studentami drugiego stopnia i doktorantami (Tabela 3). Jeśli wykluczyć najbardziej prestiżowe uniwersytety, oferta edukacyjna Stanów Zjednoczonych nie jest nadzwyczajna. Zaledwie 187 uniwersytetów amerykańskich jest klasyfikowanych w rankingu ARWU („szanghajskim”), co stanowi niewielki ułamek wszystkich uczelni amerykańskich. Jeśli znormalizować tę liczbę na liczbę ludności, to można stwierdzić, że Stanom Zjednoczonym daleko nie tylko do poziomu Wielkiej Brytanii (64 uniwersytety w rankingu ARWU), ale także Niemiec (42 uniwersytety), a szczególnie niewielkich ludnościowo państw Europy Zachodniej, takich jak Szwajcaria, Dania czy Szwecja, gdzie praktycznie wszystkie uczelnie są klasyfikowane, a te będące poza pierwszą piątą są rzadkością.

Academic Ranking of World Universities (ARWU World), tzw. lista szanghajska 1000 uczelni

ARWU World jest rankingiem opartym na sześciu kryteriach. Dwa z nich związane są z nagrodami naukowymi powszechnie uznawanymi za najważniejsze w skali światowej.

Tabela 2. Liczba studentów pierwszego i drugiego stopnia, procent kandydatów przyjętych na studia i wyniki testu SAT w najwyżej klasyfikowanych uczelniach amerykańskich

Uniwersytet	Średni wynik testu SAT*	%kandydatów przyjętych na studia	Liczba studentów I-st.	Liczba studentów II-st. + doktoranci
CalTech	1545	6,4	900	1340
MIT	1535	6,7	4300	6800
Harvard	1520	4,7	14500	27500
U.Chicago	1520	7,3	6800	9200
Yale	1515	6,1	6700	7600
Stanford	1505	4,3	7000	9000
Princeton	1505	5,5	5300	2800
Columbia	1505	5,9	8600	24600
Johns Hopkins	1505	11,5	8100	25300
U. Penn	1500	8,4	9700	11600
Cornell	1480	10,9	15000	8800
Berkeley	1415	14,8	29000	10600
UC Los Angeles	1405	12,3	31600	12200

*SAT jest ujednoliconym w skali kraju testem dla uczniów amerykańskich szkół średnich sprawdzającym ich wiedzę językową (reading and writing, RW, maksymalnie 800 pkt) oraz wiedzę matematyczną (math., maksymalnie 800 punktów)

Są to Nagroda Nobla i mniej znany Medal Fieldsa przyznawany raz na cztery lata czterem, na ogół, matematykom, którzy w momencie nominacji nie przekroczyli 40 roku życia. W rankingu brani są pod uwagę absolwenci danej uczelni, którzy te nagrody otrzymali oraz wykładowcy, którzy na danej uczelni pracowali w momencie otrzymania w/w nagród. Pewne nasze zdziwienie budzi fakt, że w obliczeniach tych bierze się pod uwagę absolwentów sprzed ponad stu lat i noblistów sprzed ponad 90 lat, choć ze stosunkowo małą wagą. Jest to więc zarówno kryterium sławy, jak i tradycji uniwersytetu.

Kryterium trzecie i czwarte dotyczy popularności i prestiżu publikacji pracowników danego uniwersytetu wyrażonych poprzez ich przynależność do zbioru ok. 7000 najczęściej cytowanych naukowców, którzy stanowią 1 promil całej światowej populacji badaczy oraz do zbioru autorów publikacji w dwóch periodykach naukowych uchodzących za najbardziej prestiżowe, tzn. „Nature” i „Science”. W kryterium trzecim bierze się pod uwagę tylko publikacje, które ukazały się w ostatniej dekadzie, w czwartym – prace opublikowane w latach 2018–2022. Jest to więc kryterium popularnościowo-celebryckie.

Kryterium piąte dotyczy liczby artykułów naukowych opublikowanych w roku poprzedzającym ogłoszenie rankingu (2022) i jest czynnikiem zachęcającym do zamieszczania jak największej liczby artykułów w czasopiśmie indeksowanych w bazach Science Citation Index i Social Science Citation Index, czyli do „publikacyjnej proliferacji”, podczas gdy roz-

Tabela 3. Liczba studentów pierwszego i drugiego stopnia, procent kandydatów przyjętych na studia i wyniki testu SAT w trzech największych uczelniach amerykańskich

Uniwersytet	Średni wynik testu SAT	%kandydatów przyjętych na studia	Liczba studentów I-st.	Liczba studentów II-st. + doktoranci	Miejsce na liście ARWU („szanghajskej”)
Ohio State U	1355	53	50000	11000	101-150
TexasA&M U	1275	57	56500	16000	151-200
U. Central Florida	1259	44	52000	5000	301-400

Tabela 4. Kraje, których uniwersytety znalazły się w pierwszej setce rankingu ARWU wraz z liczbą uniwersytetów danego kraju, liczbą ludności, która przypada na jeden uniwersytet oraz PKB per capita.

	Państwo	Liczba ludności /mln	Liczba uniwersytetów w 1 setce	PKB per capita/tys. \$	L.I. /L.u.
1	Szwajcaria	8,87	5	83,598	1,8
2	Singapur	5,45	2	127,565	2,7
3	Dania	5,94	2	74,00	3,0
4	Izrael	9,76	3	49,51	3,3
5	Szwecja	10,55	3	64,58	3,5
6	Australia	26,71	6	62,63	4,5
7	Norwegia	5,51	1	114,90	5,5
8	Belgia	11,77	2	65,03	5,9
9	Niderlandy	17,91	3	69,58	6,0
10	Hong Kong	7,33	1	69,05	7,3
11	Kanada	40,29	5	58,40	8,0
12	Wielka Brytania	67,03	8	54,60	8,4
13	USA	335,33	38	76,40	8,8
14	Francja	68,13	4	55,49	17,0
15	Niemcy	84,43	4	63,15	21,1
16	Japonia	124,56	2	45,57	62,3
17	Chiny	1411,75	10	21,48	141,2

sądni i doświadczeni naukowcy powinni raczej być powściągliwi w publikowaniu wyników swoich badań i zamieszczać tylko artykuły donoszące o odkryciach znaczących.

Ostatnie, szóste kryterium zawiera średnie ważone omówionych powyżej pięciu wskaźników podzielone przez liczbę pracowników naukowo-dydaktycznych (academic staff) danej uczelni.

Medycyna górą

Tak dobre kryteria faworyzują klasyczne uniwersytety brytyjskie i amerykańskie, w których w jednej uczelni działają silne wydziały matematyki, fizyki, chemii, biologii i medycyny, a także ekonomii, gdyż tylko one mogą zapewnić dużą liczbę noblistów i laureatów medalu Fieldsa. Podobnie jest z czasopismami „Nature” i „Science”, w dużej mierze zdominowanymi przez nauki medyczne i biomedyczne. Kryterium cytawalności również nagradza głównie przedstawicieli nauk medycznych i biomedycznych. Z tych powodów uniwersytety mające bardzo silne wydziały medyczne dominują w rankingu. MIT i Caltech są tu wyjątkami, brak medycyny rekompensują bardzo wysokim poziomem badań w naukach biomedycznych. Zresztą MIT wraz z Uniwersytetem Harvarda prowadzi wspólny program w dziedzinie nauk o zdrowiu i technologii medycznych (Harvard – MIT Health Science and Technology).

Kryterium szóste, w którym normalizuje się kryteria 1-5 biorąc pod uwagę liczbę pracowników naukowo-dydaktycznych, jest niekorzystne dla wielu uczelni europejskich, w tym francuskich i polskich. W uczelniach amerykańskich profesorowie prowadzą jedynie wykłady, natomiast ćwiczenia i laboratoria – doktoranci pod opieką nielicznych koordynatorów. We Francji wszystkie zajęcia prowadzą pracownicy naukowo-dydaktyczni w randze adiunktów (maitres de conference) lub profesorów. W efekcie, w przypadku wydziałów o tej samej wielkości, na uniwersytetach francuskich jest ponad dwa razy więcej pracowników naukowo-dydaktycznych niż na amerykańskich. Ten sam

Tabela 5. Kraje, których uniwersytety znalazły się w przedziale od 101 do 500 rankingu ARWU wraz z liczbą uniwersytetów danego kraju, liczbą ludności, która przypada na jeden uniwersytet oraz PKB per capita.

	Państwo	Liczba ludności /mln	Liczba uniwersytetów w 2-5 setkach	PKB per capita/tys. dol.	L.I. /L.u.
1	Nowa Zelandia	5,22	4	51,97	1,3
2	Irlandia	5,15	3	126,91	1,7
3	Austria	9,13	5	67,93	1,8
4	Portugalia	10,47	5	41,45	2,1
5	Finlandia	5,55	2	59,03	2,8
6	Włochy	58,78	17	51,87	3,5
7	Chorwacja	3,89	1	40,38	3,9
8	Korea Płd.	51,44	13	50,07	4,0
9	Arabia Saudyjska	32,18	7	59,07	4,6
10	Hiszpania	48,35	9	45,83	5,4
11	Czechy	10,83	2	49,95	5,4
12	Serbia	6,65	1	23,91	6,7
13	Grecja	10,48	1	36,84	10,5
14	RPA	60,60	4	15,91	15,2
15	Polska	37,71	2	43,27	18,9
16	Chile	19,96	1	30,21	20,0
17	Malezja	33,20	1	33,43	33,2
18	Brazylia	203,06	5	17,82	40,6
19	Argentyna	46,04	1	26,51	46,0
20	Rosja	146,42	2	36,49	73,2
21	Iran	85,24	1	18,08	85,2
22	Turcja	85,28	1	37,27	85,3
23	Egipt	105,24	1	15,09	105,2
24	Meksyk	129,04	1	21,51	129,0
25	Indie	1392,33	1	8,38	1392,3

problem dotyczy również Polski, gdzie doktoranci uczestniczą w prowadzeniu niektórych zajęć laboratoryjnych, ale w bardzo ograniczonym zakresie godzinowym. W efekcie współczynniki wynikające z kryterium szóstego są zaniżone dla uczelni francuskich i polskich w stosunku do amerykańskich.

W pierwszych rankingach ARWU nie tylko polskie uczelnie wypadają bardzo źle, ale również francuskie. W tym drugim przypadku wynikało to z odmiennej struktury szkół wyższych i uniwersytetów w stosunku do czołowych uczelni rankingu. Reforma z 1970 r. podzieliła duże uniwersytety francuskie na szereg mniejszych, bardziej specjalistycznych, co praktycznie uniemożliwiło im 30 lat później uplasowanie się na dobrych miejscach w rankingu ARWU. Co więcej, w kraju tym niezwykle wysoki poziom naukowy reprezentują tzw. grandes écoles, do niedawna funkcjonujące niezależnie od uniwersytetów. Uczelnie te są „wielkie” (grandes) tylko w sensie poziomu naukowego, bo w rzeczywistości są małymi, bardzo wyspecjalizowanymi jednostkami, bez wielkich szans w rankingu ARWU. Np. w rankingu ogłoszonym w 2003 r. dwie najwyżej klasyfikowane francuskie uczelnie znalazły się na 65 i 72 miejscu. W ogłoszonej liście 500 uniwersytetów było jeszcze 18 innych francuskich uczelni, ale raczej bliżej końca niż początku listy.

Tabela 6. Kraje, których uniwersytety znalazły się w przedziale od 501 do 1000 rankingu ARWU wraz z liczbą uniwersytetów danego kraju, liczbą ludności, która przypada na jeden uniwersytet oraz PKB per capita.

	Państwo	Liczba ludności/ mln	Liczba uniwersyte- tów w 6-10 setkach	PKB per kapita/tys. dol.	L.I. /L.u.
1	Islandia	0,39	1	69,08	0,39
2	Luksemburg	0,66	1	142,21	0,66
3	Cypr	0,92	1	49,93	0,92
4	Estonia	1,37	1	46,70	1,37
5	Słowenia	2,12	1	50,03	2,12
6	Węgry	9,60	4	41,91	2,40
7	Litwa	2,87	1	48,38	2,87
8	Katar	3,01	1	114,65	3,01
9	Zjedn. Emiraty Arabskie	9,28	3	87,73	3,09
10	Słowacja	5,43	1	37,46	5,43
11	Liban	5,49	1	23,38	5,49
12	Jordania	11,46	1	11,00	11,46
13	Tunezja	11,80	1	12,49	11,80
14	Tajlandia	68,26	5	20,67	13,65
15	Ghana	30,83	1	6,50	30,83
16	Pakistan	241,50	6	6,44	40,25
17	Kolumbia	52,22	1	20,29	52,22
18	Etiopia	105,16	1	2,8	105,16

Francuskie usiłowania

Ku naszemu zdumieniu, prawie od początku istnienia ranking ARWU stał się czynnikiem wpływającym na decyzje władz wielu krajów dotyczące organizacji nauki. Jego siła sprawcza spowodowała, że w 2019 r. dokonano takiej reorganizacji uczelni francuskich, aby znalazły się one na jak najwyższych miejscach na liście ARWU. Stworzono związki autonomicznych de facto jednostek uczelnianych i badawczych, występujących pod nazwą jednego uniwersytetu. Tak powstały uniwersytety: Paris Saclay, Paris Sciences et Lettres (Paris SL), Paris Cité, nowa Sorbona czy Grenoble-Alpes. Reorganizacja ta w żadnej mierze nie podniosła poziomu naukowego francuskich uniwersytetów i placówek badawczych, ale wzmocniła je propagandowo, bo począwszy od 2020 r. Uniwersytet Paris Saclay zaczął zajmować miejsca od 13 do 15, najlepsze wśród uniwersytetów nieamerykańskich i nieangielskich, a w pierwszej pięćdziesiątce regularnie zaczęły pojawiać się 3 uniwersytety francuskie.

Nie jest łatwo zdobyć miejsce w pierwszej setce rankingu ARWU. Znajdują się tu uczelnie z zaledwie 17 krajów. Stosując nomenklaturę piłki nożnej, zbiór tych państw nazwiemy „ekstraklasą” (Tabela 4). Uniwersytety „ekstraklasowe” to uczelnie prawie wyłącznie z bogatych państw o PKB per capita przekraczającym 45 tys. dolarów. Wyjątek stanowią tu Chiny o ponad dwukrotnie niższym PKB. Najbliżej do elitarnych uniwersytetów mają studenci szwajcarscy, gdyż jedna taka uczelnia przypada na 1,8 mln mieszkańców. Jak należało się spodziewać, najdalej mają studenci chińscy, tam jeden uniwersytet z pierwszej setki przypada na ponad 140 mln. mieszkańców.

W przedziale od 101 do 500 znaleźć można uniwersytety z 25 krajów (Tabela 5). Nazwiemy je „pierwszoligowymi”, znowu przez analogię do piłki nożnej. Polska na 38 mln. mieszkańców ma zale-

dwie takie uczelnie, co plasuje ją bliżej końca listy. Uboga Serbia z PKB prawie dwukrotnie niższym plasuje się wyżej od Polski. W czterech krajach z tej listy (Egipt, RPA, Brazylia, Iran) PKB jest niższy od 20 tys. dol., w jednym (Indie) – od 10 tys. dol.

Uniwersytety z 18 dalszych krajów znalazły się w drugiej połowie listy rankingowej ARWU, tzn. na miejscach od 501 do 1000. Znajdujemy tu bardzo bogate, małe państwa (Luksemburg, Islandia), ale także państwa bardzo ubogie, w tym najuboższą Etiopię (PKB <3 tys. dol.). Zastanawiające jest, że na liście ARWU wśród 1000 klasyfikowanych uniwersytetów nie ma uczelni z takich krajów Unii Europejskiej jak Łotwa, Bułgaria czy Rumunia o PKB wielokrotnie przekraczającym PKB Etiopii, Ghany czy Pakistanu.

US News & World Report Global University Ranking (USNWR Global), lista 2000 uczelni

Twórcy tego najstarszego rankingu biorą pod uwagę 13 kryteriów, z których część dotycząca cytawalności jest zbliżona do kryteriów przyjętych w ARWU. W rankingu tym nie premiuje się jednak uczelnie za Nagrody Nobla i publikacje w „Science” i „Nature”. Wprowadza się jednak nieostre kryterium „reputacji lokalnej” oraz „reputacji ogólnoświatowej” z dosyć znaczącą wagą. Mimo zmian w dużej części zastosowanych kryteriów listy ARWU i USNWR Global wyniki klasyfikacji pierwszej setki uniwersytetów pokrywają się w 80% z dokładnością do kilku, co najwyżej kilkunastu miejsc. Istnieją jednak przypadki spektakularnych różnic, np. w przypadku trzech uczelni izraelskich i jednej japońskiej (Kyoto University), znacznie niżej ocenianych w USNWR Global niż w ARWU. Znakomita izraelska uczelnia Technion, 79 w ARWU, jest dopiero 317 w USNWR Global. Wynika to z faktu, iż w wysokiej pozycji tej uczelni w rankingu szanghajskim największy udział miały premie za noblistów i laureatów medalu Fieldsa, czyli za osiągnięcia nieuwzględniane bezpośrednio w USNWR Global. Odwrotny efekt zaobserwować można w przypadku Uniwersytetu Browna. Uczelnia ta, również należąca do „ligi bluszczowej”, w rankingu szanghajskim była dopiero 98 ze względu na małą wartość premii za noblistów. W rankingu USNWR Global, w którym to kryterium nie jest brane pod uwagę, awansowała na 29 pozycję. W rankingu tym statystycznie lepiej niż w ARWU wypadają uczelnie europejskie, w tym polskie. Kryteria tam stosowane mniej faworyzują uczelnie amerykańskie, w pierwszej pięćdziesiątce znaleźć można 24 uczelnie ze Stanów Zjednoczonych, podczas gdy w przypadku rankingu szanghajskiego takich uczelni jest 31.

QS World University Ranking (QS World), lista 1500 uczelni

W rankingu tym, podobnie jak w przypadku USNWR Global, wprowadzono nieostre kryterium reputacji naukowej, a ponadto inne nieostre kryterium reputacji wśród pracodawców. Wskaźniki dotyczące publikowalności i cytawalności mają w tym rankingu mniejszą wagę niż w Rankingu Szanghajskim i USNWR Global. Ranking ten chyba przeszacowuje znaczenie uczelni brytyjskich, gdyż wśród 1000 najlepiej klasyfikowanych uniwersytetów, aż 80 to uczelnie brytyjskie. Trudno sobie wyobrazić, że na świecie, gdzie liczba ludności przekroczyła 8,1 miliarda, co dwunasty uniwersytet z 1000 najlepszych jest zlokalizowany w Wielkiej Brytanii, której liczba mieszkańców wynosi 61 mln, czyli mniej niż 1% całej światowej populacji.

Times Higher Education World University Rankings (THE World), lista 1800 uczelni

Ranking ten należy traktować z wielką ostrożnością, jest bowiem oparty głównie na kryteriach uznaniowych (repu-

Tabela 7. Polskie, czeskie, węgierskie, estońskie, litewskie, słowackie, chorwackie, słoweńskie i serbskie uczelnie w rankingach ARWU, USNWR Global, QS World i THE World

	ARWU	USNWR	QS	THE
Polska				
UJ	401-500	339	304	601-800
UW	401-500	345	262	801-1000
AGH	801-900	782	901-950	1201-1500
UMWr	801-900	835	x	351-400
PW	901-1000	732	571	1201-1500
UAM	901-1000	875	731-740	1001-1200
UMK	901-1000	1082	901-950	1201-1500
PG	901-1000	1218	851-900	1201-1500
WUM	901-1000	1106	x	x
Czechy				
Uniw. Karola w Pradze	301-400	226	248	501-600
Uniw. Masaryka w Brnie	401-500	605	400	801-1000
Czeski Uniw. Przyrod.	601-700	930	701-710	1001-1200
Uniw. Palackiego w Ołomuńcu	601-700	611	631-640	1001-1200
Polit. w Brnie	701-800	1060	611-620	1201-1500
Polit. w Pradze	801-900	698	454	1201-1500
Węgry				
Uniw. Loránda Eötvösa	501-600	368	701-710	601-800
Uniw. Semmelweisa	601-700	653	x	201-250
Uniw. w Szegedzie	701-800	662	601-610	1001-1200
Polit. w Budapeszcie	901-1000	1151	741-750	1201-1500
Estonia				
Uniw. w Tartu	701-800	256	358	201-250
Litwa				
Uniw. w Wilnie	501-600	801	473	801-1000
Słowacja				
Uniw. Komeńskiego w Bratysławie	901-1000	639	771-780	851-900
Słowenia				
Uniw. w Lublanie	601-700	450	621-630	801-1000
Chorwacja				
Uniw. w Zagrzebiu	401-500	517	751-760	1201-1500
Serbia				
Uniw. w Belgradzie	301-400	459	721-730	801-1000

x oznacza nieobecność na liście

tacyjnych) i to zarówno w odniesieniu do pracy badawczej, jak i dydaktyki oraz opinii pracodawców. Kryteria bibliometryczne mają w tym przypadku mniejsze znaczenie. Poza pierwszą pięćdziesiątką, dla której znajdujemy satysfakcjonującą zgodność z pozostałymi trzema rankingami, pozycje wielu niżej sklasyfikowanych uczelni znacząco się różnią od tych przypisanych w innych rankingach. Są na ogół niższe, a na liście pojawiają się wiele uczelni nieklasyfikowanych w pozostałych rankingach. Inną cechą specyficzną tego ran-

kingu jest znacząco wyższa niż w innych rankingach pozycja uczelni medycznych.

Polska i kraje sąsiadujące w rankingach ARWU, USNWR Global, QS World i THE World

Polskie uczelnie w w/w rankingach wypadają niezbyt dobrze, biorąc pod uwagę PKB per capita i potencjał ludnościowy naszego kraju. Przyczynia się do tego mizerne finansowanie nauki i, w wielu przypadkach, niewłaściwa polityka naukowa, w tym publikacyjna. Tabela 7. przedstawia pozycję rankingową we wszystkich czterech rankingach tych uczelni polskich, które znalazły się na liście szanghajskiej (ARWU), a także uczelnie z dawnych tzw. demoludów oraz krajów powstałych z rozpadu Związku Radzieckiego, Jugosławii i Czechosłowacji. Dziewięć polskich uczelni znajduje się na liście szanghajskiej, ale średnio na miejscach nieco gorszych niż sześć uczelni czeskich. W sumie, w porównaniu z innymi krajami z najbliższego otoczenia, nie wypadamy źle, ale należy pamiętać, że nasz potencjał ludnościowy jest ponad dwupółkrotnie większy niż Czech i Węgier, więc nasza przewaga w liczbie sklasyfikowanych uczelni powinna być większa.

Dalekie miejsca polskich uczelni w rankingu ARWU wynikają z faktu, iż wskaźniki „noblowsko-fiedlowskie” na naszych uniwersytetach są albo zerowe, albo bardzo małe. Wskaźnik award dla wszystkich polskich uczelni wynosi zero. Wskaźnik alumni jest niezerowy tylko dla Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podobnie jest ze wskaźnikiem HiCi, który jest niezerowy tylko dla Wrocławskiego Uniwersytetu Medycznego, dzięki dużej cytawalności prof. Piotra Ponikowskiego, oraz dla Politechniki Gdańskiej, do czego przyczynił się nieżyjący już prof. Jacek Namieśnik. Szansa poprawy w/w wskaźników jest w przypadku polskich uczelni znikoma. Mała jest również szansa polepszenia pozycji naszych uczelni poprzez zwiększenie liczby prac zamieszczonych w „Nature” i „Science” (wskaźnik N&S), gdyż udział artykułów z polską afiliacją opublikowanych w tych periodykach był, jest i prawdopodobnie będzie bardzo mały. Jedyną drogą w znaczącym podwyższeniu pozycji polskich uczelni w rankingu ARWU (i równocześnie w USNWR Global) widzimy w poprawie wskaźnika efektywności publikowania (PUB). Wymagałoby to zamieszczania artykułów przedstawiających znaczące osiągnięcia badawcze w prestiżowych periodykach naukowych. Tymczasem w ostatnich latach obserwuje się lawinowy wręcz wzrost publikacji zamieszczanych w periodykach o niewielkim prestiżu i jeszcze mniejszej wartości, wydawanych przez oficynę MDPI. Polska, Rumunia oraz Litwa stały się w ostatnich latach światowymi czempionami publikowania w płatnych czasopiśmie MDPI, szczerze zasilając tę chińską oficynę wydawniczą pieniędzmi z polskich subwencji badawczych. Jest to wynik pragmatyzmu polskich pracowników naukowych, gdyż Ministerstwo Nauki tak szczerze przydzieliło punkty ministerialne periodykom tej oficyny, że publikowanie tam daje maksymalny zysk punktowy przy najmniejszym wysiłku, bez konieczności prowadzenia trudnych dysput z surowymi recenzentami. Publikowanie w czasopiśmie MDPI, ułatwiając rozliczenie osiągnięć naukowych w Polsce, bardzo szybko doprowadzi do zniknięcia wielu polskich uczelni z rankingów ARWU i USNWR Global, a prawdopodobnie i z pozostałych dwóch.

Prof. dr hab. inż. Adam Proń, chemia i inżynieria materiałów oraz chemia polimerów, pracownik Katedry Chemii i Technologii Polimerów Politechniki Warszawskiej

Prof. dr hab. inż. Halina Szatyłowicz, chemia fizyczna, pracownik Zakładu Chemii Fizycznej Politechniki Warszawskiej

Rozmowa z prof. Jackiem Gramatyką
z Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu

Tradycje i mody

Podstawowym problemem jest zawsze nasza uczciwość. Czy to będzie malowanie obrazów, czy to będą instalacje, happeningi, czy cokolwiek innego, jeżeli tylko mamy do tego wewnętrzne przekonanie, to jesteśmy na słusznej drodze.

W Toruniu prowadzi pan zajęcia z przyszłymi konserwatorami dzieł sztuki. Przez wiele lat kierował pan także Pracownią Technik Malarskich i Rysunkowych w poznańskiej uczelni. Czym różnią się zajęcia z konserwatorami od edukacji artystów-malarzy, którzy później skupią się na własnej twórczości?

W UMK na Wydziale Sztuk Pięknych prowadzę pracownię malarstwa współczesnego i pracownię malarstwa na podłożach papierowych dla studentów specjalności konserwacja-restauracja papieru i skóry. Jest to jedna z trzech specjalności konserwatorskich, pozostałe to: konserwacja-restauracja malarstwa i rzeźby polichromowanej oraz konserwacja-restauracja kamienia i detalu architektonicznego. Gdy ukończyłem malarstwo w UMK i podjąłem pracę w uczelni, ówczesny kierownik Zakładu prof. Zbigniew Brochwicz uważał, że zatrudnieni u niego artyści powinni posiadać różnorodne umiejętności. Przez pierwsze cztery lata musiałem więc uczestniczyć w zajęciach wszystkich pracowni artystycznych, które miały najrozmaitszy charakter. Po przewodzie I stopnia z malarstwa rozpocząłem indywidualne studia konserwatorskie. Chciałem wiedzieć, jak wygląda praca konserwatorów „od kuchni”, aby uzyskać lepsze kompetencje do prowadzenia zajęć ze studentami. W 1997 roku otrzymałem propozycję dodatkowej pracy w Poznaniu, gdy ówczesny rektor ASP prof. Włodzimierz Dreszer zaprosił do współpracy prof. Iwonę Szmelter z warszawskiej ASP, która stworzyła autorską pracownię Propedeutyki Konserwacji Malarstwa i Obiektów Sztuki Współczesnej. Początkowo byłem asystentem w tej pracowni, a od roku 2004 prowadziłem Pracownię Technik Malarskich i Rysunkowych, pozostając w ścisłej współpracy z prof. Szmelter.

Podstawowym założeniem pracowni jest rozwój umiejętności technicznych związanych z warsztatem plastycznym oraz uświadomienie studentom zależności pomiędzy obroną techniką realizacyjną a rezultatem wizualnym, czyli potencjalnych możliwości kreacyjnych. Służy to podniesieniu świadomości studenta zarówno jako twórcy, jak i odbiorcy dzieła sztuki. Natomiast na Konserwacji w Toruniu, gdzie bardzo rozbudowana jest część technologiczno-naukowa, prowadzę zajęcia plastyczne, skupiając się na problemach artystycznych, które są ważnym składnikiem kształcenia odpowiedzialnych konserwatorów. Koncepcja kształcenia konserwatorów dzieł sztuki w Toruniu została wypracowana jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku przez prof. Zbigniewa Brochwicza, chemika, ale jednocześnie wielkiego miłośnika sztuki, który rozumiał znaczenie kształcenia artystycznego w procesie dydaktycznym. Pro-

fesor Brochwicz zatrudniał u siebie artystów specjalizujących się w różnych technikach realizacyjnych. Prowadził z nami seminaria, na których omawiane były aspekty dawnej i współczesnej sztuki malarskiej. Byliśmy zobligowani do prowadzenia we własnym zakresie różnych prac technologiczno-malarskich i przygotowania wykładu prezentującego osiągnięte rezultaty. A wszystko w tym celu, abyśmy mogli się dzielić swoimi doświadczeniami ze studentami – jako twórcy, którzy działają w konkretnych technikach, a nie znają je tylko z teorii.

Studia konserwatorskie są skomplikowane, łączą wiedzę z różnych dziedzin i wymagają oparcia w specjalistycznych pracowniach i warsztatach.

Tak, a jeśli mam porównać poziom artystyczny na konserwacji i na malarstwie: dopóki studenci pracują na pierwszym roku, nie widzę różnicy. Natomiast w Toruniu po drugim roku studenci bardziej koncentrują się na sprawach związanych z ich przyszłym zawodem i na praktykach konserwatorskich, które dadzą im możliwość obcowania z zagadnieniami, jakie będą rozwiązywali w swojej przyszłej pracy zawodowej. To powoduje, że osoby nadzwyczaj zdolne często rezygnują z rozwoju artystycznego. Nie jest to jednak regułą, wśród absolwentów konserwacji są i tacy, którzy działają jako czynni artyści.

Jak wiem, pojawiają się czasami wątpliwości dotyczące doktoratów czy przewodów habilitacyjnych, w przypadku gdy konserwator wykazuje się dobrymi realizacjami w swojej dyscyplinie, ale jego własna twórczość jest oceniana niżej.

Konserwacja wywalczyła sobie to, że jest obecnie traktowana jako dyscyplina sztuki, a wynik pracy konserwatora uważa się za dzieło sztuki. Dawniej zdarzały się przypadki poważnych problemów z uznaniem niektórych prac habilitacyjnych. Pojawiały się zarzuty, że to nie są prace naukowe tylko adaptacyjne, wykorzystujące na potrzeby konserwacji rozwiązania stosowane np. w medycynie czy kryminalistyce. Tymczasem konserwacja to dziedzina multidyscyplinarna i trudno oddzielać poszczególne kompetencje jej przedstawicieli.

Jakie jest miejsce takich przedmiotów jak malarstwo, rysunek i związane z nimi technologie we współczesnym kształceniu artystycznym?

W moim przekonaniu sprawy techniki i warsztatu należą do najważniejszych w edukacji artystycznej. Student powinien poznać pewne zasady: jakie dany materiał daje możliwości wyra-

zowe, jak zachowuje się w różnych sytuacjach. Później jako artysta będzie mógł tę wiedzę wykorzystać lub nie, ale co innego świadomie ograniczyć środki wypowiedzi, a co innego być ograniczonym przez swoje braki warsztatowe. Świadomość jest bardzo istotna – widziałem kiedyś w Międzyzdrojach, jak absolwenci szkół plastycznych wystawiali swoje prace na sprzedaż. Były tam bardzo złe obrazy: amatorskie widoczki, kwiatki, nieudolne kopie itp. Wiadomo, że każdy robi czasem prace lepsze, czasami gorsze, ale tu mamy dwa negatywne aspekty: po pierwsze – tworzenie takich prac dla turystów, po drugie – wywieszanie w miejscu sprzedaży swoich dyplomów akademickich z bardzo dobrymi i celującymi ocenami jako gwarantów wartości tych prac.

Ciekawe, czy studenci tak bezkrytycznie ocenili własną twórczość, czy świadomie eksponowali kicze, z nadzieją, że sprzedadzą się lepiej niż ambitne prace...

Uważam, że świadczy to i o nieuczuciowości, i o kompletnym braku świadomości. Wracając jednak do technik artystycznych – jeśli mówimy o sensie takich zajęć, chciałbym się odnieść do pewnej sytuacji. Mój kolega z Torunia prof. Michał Träger, artysta malarz, w czasie pobytu w USA odwiedził znaną filadelfijską szkołę sztuk pięknych Pennsylvania Academy of the Fine Arts. Miał tam możliwość zapoznania się z programem nauczania i z samą pracą studentów. Okazało się, że w pracowniach rysunku korzystają oni z kopii rzeźb antycznych i renesansowych, a na malarstwie studiują klasyczne martwe natury i akty.

Podobne zajęcia prowadzone są za naszą wschodnią granicą.

Tak. Wykładowcy z Filadelfii uznali, że taki sposób studiowania daje najlepsze wycucie formy przydatne zarówno w kreacjach tradycyjnych, jak i nowych. W uczelni znajdowała się nawet pełnowymiarowa rzeźba Dawida, którego trzeba było rozłożyć na dwie części, aby mógł być przetransportowany z jednej sali do drugiej. Z kolei ja sam będąc we Florencji na plenerze ze studentami, spotkałem w Galerii Uffizi młodych ludzi, którzy zapamiętali coś szkicowali. Okazało się, że to są studenci historii sztuki, którzy przylecieli z Nowego Jorku, a szkicowanie obrazów było niezbędnym elementem pomocniczym w ich edukacji.

Jak wspominałem, zadaniem mojej pracowni jest rozwijanie świadomości. Program łączy wykłady na temat historycznego rozwoju malarstwa, technik i technologii z praktycznymi pracami, poczynając od prozaicznego naciągania płótna. Na początku zajęć ze studentami pierwszego roku omawiam technikę akwareli. Jej zrozumienie jest pomostem do zrozumienia techniki warstwowej malarstwa olejnego, którą zajmujemy się w drugim semestrze. Ważne jest, że gdy mówimy o akwareli albo temperze, to studenci na bieżąco wykonują prace w tej technice. Utrwalają sobie wówczas wiedzę i przekonują się, czy dana technika im odpowiada i czy będą chcieli do niej wrócić w swojej twórczości. Na przykład enkaustyka jako technika dawna, w której wykonywano ikony, daje niesamowite możliwości kształtowania formy plastycznej. Informuję studentów, że czasami warto wykonywać farbę samemu. Trudno jest kupić dobre farby temperowe, a bardzo łatwo można je sporządzić z żółtka jajka i pigmentu. Wspomnę, że w przypadku tempery mamy podobną sytuację jak z freskiem. Potocznie mówimy, że malarstwo na ścianie to fresk, tymczasem fresk jest to technika malowania na mokrym tynku samym pigmentem, bez spoiwa. Natomiast tempera to technika, w której używamy emulsji jako spoiwa. Emulsja jajowa była niegdyś najbardziej popularna.

A co pan powie o farbach olejnych?

Zwracam uwagę, że jeżeli ktoś zużywa dużo farby, to bardzo łatwo może przygotować sobie np. białą farbę, mieszając olej z bielą cynkową lub tytanową.

Nieporozumieniem jest uznanie, że np. technika warstwowa jest lepsza niż technika impastowa. Jest po prostu inna, daje inne możliwości kształtowania formy malarskiej. Dla mnie najważniejsze jest zwrócenie uwagi na różnice i możliwość swobodnego posługiwania się tymi technikami. Podam przykład. Jeśli mamy cebulę o kolorze powiedzmy ugrowo-czerwonym, to chcąc ją namalować w technice alla prima (często też nazywanej techniką impastową, chociaż nie jest to jednoznaczne), mieszamy na palecie farby, a następnie przenosimy na płótno. Natomiast w technice warstwowej ostateczny efekt uzyskujemy nie poprzez zmieszanie farb na palecie, lecz poprzez ich nawarstwianie na płótnie. Staramy się zimitować efekt barwny, jaki powstaje na skutek częściowego przenikania i odbicia promieni światła na powierzchni przedmiotu. Jeśli oberzemy cebulę, to zobaczymy, że pod łupinami jest ona zielonkawo-biała, natomiast same łupiny są półprzezroczyste. Malując obraz w technice warstwowej, najpierw więc podmalowujemy cebulę kolorem zielonkawo-białym, a następnie nakładamy warstwy koloru łupin, by uzyskać zamierzony efekt. To oczywiście wielkie uproszczenie, ale daje ono jakiś pogląd na istotę samej techniki.

Malarstwo olejne powstało w okresie renesansu, a popularnie przypisywane jest van Eyckom. Od chwili pojawienia się aż do momentu zastosowania w malarstwie żywicy akrylowych stanowiło dominującą technikę wypowiedzi malarskiej, zapewniającą możliwie najwierniejsze zbliżenie się do efektów wizualnych widzianego świata. Technika olejna niezmiernie upraszczała sam proces malowania. Niepotrzebne było już żmudne szrafowanie czy też przygotowywanie wielu stopni walorowych danego koloru. Zastosowanie dwóch pędzli dało możliwość niezwykle plastycznego prowadzenia farby. Nigdy





Plener UMK w Kalwarii

wcześniej malarze nie mogli osiągnąć takiego nasycenia kolorystycznego oraz takiej klarowności i głębi barw. W technice olejnej farba nie zasycha tak szybko jak w technikach wodnych. Malarz ma odpowiednio dużo czasu na prowadzenie swojej pracy, barwy są przez to lepiej zharmonizowane i zespolone. Jednocześnie malarz może samemu wpływać na czas zasychania powłoki malarskiej poprzez stosowanie różnych dodatków opóźniających bądź przyspieszających schnięcie farby. Rozkwit tej techniki nastąpił w XVII wieku, czego przykładem jest marta natura holenderska, w której doskonale oddawano charakter różnych materii – szkła, aksamitu, metalu, kwiatów, owoców. Natomiast jako twórcę malarstwa olejnego wymienia się Jana van Eycka, który był też jednym z pierwszych artystów podpisujących swoje prace.

Podobno olej wykorzystywano w malarstwie już wcześniej.

W wielu książkach możemy znaleźć informację o tym, że malarstwo olejne zostało wynalezione w XV wieku w Europie. Tymczasem najnowsze badania pokazały, że farby olejne z Bamiyanu pochodzą z połowy VII wieku, nie było to jednak malarstwo olejne w obecnym rozumieniu. Van Eyck był artystą, który wyniósł tę technikę na najwyższy poziom.

Obecnie na rynku jest dużo mediów, których możemy użyć do farby olejnej, ale zwracam studentom uwagę na media klasyczne, które często są najtańsze. Niedroga, popularna żywica damarowa dodana do farby zwiększa nasycenie i głębię barwy, umożliwia wykonanie „gęstego” laserunku itd. Pisząc moją pracę habilitacyjną pt. *Obraz jako tradycyjna forma wypowiedzi plastycznej – sens kontynuacji*, koncentrowałem się na problemie rozwoju malarstwa. Nie zawsze był to rozwój liniowy. Dotyczy to zresztą różnych dziedzin: samochody dziś są zupełnie inne niż przed stu laty, ale np. skrzypce wykonane przez Antonia Stradivarię, pomimo osiągnięć współczesnej technologii, nadal uznawane są za arcydzieła sztuki lutniczej wszech czasów. Podobnie jest w przypadku olejowo-żywicznego malarstwa van

Eycka. Niezwykle jest to, że twórca wprowadza na scenę malarstwa nową technikę i osiąga w niej jednocześnie takie mistrzostwo. Później mamy wielu wybitnych przedstawicieli malarstwa, jak choćby Antonello da Masina, Leonardo da Vinci, Giorgione, Tycjan czy Velázquez, który znany był z tego, że w wielu przypadkach stosował rozwiązania zbliżone do techniki alla prima. Potrafił mistrzowsko nałożyć warstwy farby, a następnie błyskawicznie prześlizgnąć się po mokrej powierzchni, miękkim pędzlem nanosząc laserunek.

Wracając jednak do technik malarskich – studenci zapoznają się z celowością pewnych rozwiązań technicznych. Jednym z zadań jest przygotowanie podobrazia twardego. Wykorzystujemy płytę wiórową, która dobrze nadaje się do tego celu. Studenci nanoszą na nią kilka warstw gruntu kredowo-klejowego, który następnie szlifują papierem ściernym, aby uzyskać całkowicie gładką powierzchnię. Tak przygotowane podobrazie umożliwia prowadzenie ćwiczeń między innymi z technik laserunkowych. Grunty klejowo-kredowe dają także wiele możliwości eksperymentowania, tworzenia ciekawych faktur, osadzania różnych materiałów czy też stosowania techniki scratchingu.

Widzę tu pracę, która ma spękaną powierzchnię, czy to jest zamierzony efekt?

Nie, przypadkowy, ale to dobre pytanie. Student zrobił sobie eksperyment na płycie OSB, która się do tego nie nadaje, ale powodem tych spękań była raczej nieprawidłowa technologia naniesienia gruntu. Najgorsze jest dorabianie ideologii do własnych błędów. A jest to niezwykle popularne w dzisiejszych czasach.

Dawni artyści osiągnęli mistrzostwo poprzez dogłębną wiedzę co do materii, w której tworzyli. Wiedzieli, jak przygotować odpowiednio podobrazie, jak rozpocząć pracę malarską, znali wady i zalety poszczególnych materiałów malarskich, takich jak pigmenty czy spoiwa. To była podstawowa wiedza tech-



Ania Starkowska, I rok, rysunek. Plener UMK

nologiczna, którą przyswajali sobie jako uczniowie, a następnie rozwijali.

Ta wiedza musiała być znacznie szersza niż obecnie.

Oczywiście dotyczyła przecież także przygotowania podkładów i farb. A wracając do starych technologii – angielska firma Winsor&Newton szczeni się tym, że produkuje farby w tradycyjny, od dawna niezmienny sposób. Używają na przykład granitowych walców. Jest tylko taki problem, że farby produkowane według dawnych receptur są bardzo drogie. XIX i XX wiek przyniosły nam nowe odkrycia, powstało coraz więcej pigmentów syntetycznych, które zastąpiły drogie pigmenty, na przykład naturalną ultramarynę.

Czyli najdroższy spośród pigmentów uzyskiwany z lapis lazuli.

Ostatnio można go kupić w cenie powyżej 100 tysięcy zł za kilogram, tymczasem ultramaryna syntetyczna ma bardzo podobne właściwości optyczne. Ultramaryny naturalnej używają obecnie głównie konserwatorzy albo ludzie, którzy chcą epatować ceną pigmentu. Różnica pomiędzy dawnym warsztatem a obecnym kojarzy się trochę ze światem kulinarnym: jeśli sami przygotowujemy werniks czy farbę, to wiemy, jakich składników użyliśmy, a jeżeli kupimy farbę w puszcze lub w tubie, to nie znamy całego składu, szczególnie w przypadku farb niższej jakości. W sklepach dla artystów jest mnóstwo różnych tubek, ale na przykład dawne farby kadmowe polskiej Astry były o niebo lepsze od pięknie opakowanych farb z niższej półki cenowej produkowanych przez zachodnie firmy. Czasami na opakowaniu podany jest kolor np. cadmium yellow i dopiero gdzieś w nawiasie znajdziemy informację, że tak naprawdę chodzi o odcień, a sam pigment nie ma nic wspólnego z siarczkiem kadmu. A ta różnica jest dla malarza istotna. Natomiast drogie farby Maimeri Restauro, które służą konserwatorom, nie

zawierają oleju, tylko żywicę mastyksową, dzięki czemu nie ciemnieją. Dla studentów jednak, jak i dla malarzy, nie ma to większego znaczenia, więc nie ma sensu używania ich w twórczości malarskiej. W pracowni staram się przekazywać wiedzę pragmatyczną – gdy np. sami robimy duży blejtram, trzeba pamiętać, żeby zastosować tzw. fazę, czyli nabić listewkę, żeby płótno nie przylegało do całej szerokości deski, co spowodowałoby uszkodzenie obrazu.

W swojej pracy zetknął się pan także z zagadnieniami konserwacji sztuki współczesnej.

Razem z prof. Iwoną Szmelter odwiedzaliśmy współczesnych artystów plastyków. Gdy rozmawialiśmy ze Stanisławem Gierowskim, powiedział nam, że w jego obrazie wartością nie jest materia, tylko idea, więc gdyby obraz uległ uszkodzeniu, życzyłby sobie, żeby sam mógł zrobić go na nowo, albo żeby zrobił to kto inny, jeżeli istniałaby możliwość wykonania identycznego w odbiorze wizualnym obiektu.

Dosyć nietypowe życzenie...

Oczywiście sprawa rozbija się o prawa autorskie czy wartość rynkową obrazu. Prof. Iwona Szmelter uznała jednak, że w obecnym chaosie najważniejsze dla konserwatora jest dotarcie do współczesnych twórców i zebranie ich opinii, co jest podstawą autentyczności dzieła, które jego elementy mogą być wymieniane itp. Pracownia utworzona przez prof. Szmelter i prowadzona w poznańskiej ASP była niezwykle nowatorska i stanowiła najciekawsze przedsięwzięcie w obszarze konserwacji nowoczesnych dzieł sztuki. Wspomnę jeszcze, że prof. Szmelter uważała, że konserwator, podobnie jak architekt, powinien być kierownikiem zespołu i dobierać sobie odpowiednich specjalistów, czuwając nad całokształtem projektu. Dlatego, gdy zajmowała się konserwacją rozpadających się prac żywicz-

nych Aliny Szapocznikow, zrobiła burzę mózgów w świecie chemików, którzy następnie podjęli z nią współpracę. Konserwacja została przeprowadzona perfekcyjnie i okazała się wielkim światowym sukcesem, prof. Szmelter wydobyła z niebytu wiele dzieł Szapocznikow, które zostały później zaprezentowane w Muzeum of Modern Art w Nowym Jorku.

Jak pan postrzega miejsce malarstwa w kontekście sztuki współczesnej?

Jeśli mówimy o sztuce współczesnej, mam wrażenie, że niestety część prac plastycznych jest kiepską ilustracją do słabej filozofii. Malarstwo jest teraz, ogólnie mówiąc, zagubione, dlatego, że pozbyło się swojego warsztatu. Studenci także są zagubieni. Mówię im, żeby starali się spojrzeć w głąb siebie, a nie myśleli tylko naskórkowo, że coś jest na topie, więc ja też muszę tak działać. Kiedyś zjrzałem na wystawę, eksponowane były prace osób z zaburzeniami psychicznymi, i zobaczyłem jak wielka jest siła oddziaływania tych prac. Możemy zapytać, dlaczego? Myślę, że tu były rzeczy przeżyte, a nie wykoncypowane. Obecnie artysta idzie do galerii i patrzy: mam ścianę 8 metrów, więc tu walnę jeden czarny obraz, a tu granatowy. To jest myślenie dekoratywne, nie myślimy o obrazie jako takim. Dlatego sztuka często staje się tak płytka, że ratujemy się, szukając kontekstu. Stąd np. wystawy w rzeźni, wówczas pusty biały kwadrat obrazu z jedną kropką będzie miał relację z tą sytuacją, inaczej jest zbyt słaby, żeby zaistnieć. Przez wieki malarstwo było samoistną wypowiedzią, mogliśmy nawet nie wiedzieć, co przedstawia dany obraz albo czym zasłużył się jakiś święty, a mimo to przekaz otwierał nas na piękno. Obecnie sytuacja się odwróciła. W galeriach pojawiają się kiepskie prace ilustrujące jakieś tezy.

Powodzeniem cieszy się sztuka o charakterze społecznym, która bywa wypadkową tego, co widzi artysta i np. społeczność lokalna.

Sytuacja obecna jest wyjątkowa. Obszar sztuki nigdy nie był tak ogromny. Granice się ciągle poszerzają. Wszelkie działania, które nie stoją w jaskrawej sprzeczności z prawem, są dozwolone. Podstawowym problemem jest zawsze po prostu nasza uczciwość. Czy to będzie malowanie obrazów, czy to będą instalacje, happeningi, czy cokolwiek innego, jeżeli tylko mamy do tego wewnętrzne przekonanie, to jesteśmy na słusznej drodze.

Żywiotowo rozwijającej się sztuki nikt nie powstrzyma. Możemy wybierać z różnych konwencji, możemy je łączyć, mieszać, jesteśmy w gruncie rzeczy zdani wyłącznie na siebie. I w sobie musimy szukać odpowiedzi na wszelkie pytania związane z podstawowymi problemami twórczymi. Wydaje się, że gorączkowe poszukiwanie nowości za wszelką cenę słyca sam język sztuk plastycznych.

W drodze do Torunia spotykałem się czasami z profesorem Uniwersytetu Muzycznego, który zwrócił mi uwagę, że gdyby u nich wszystko rozwijało się tak jak na malarstwie, to już nikt nie umiałby czytać nut ani grać. Mówił, że podstawą uczelni jest także przechowywanie pewnych tradycyjnych wartości, w tym umiejętności warsztatowych, które trzeba przekazać studentom. Nie ma to nic wspólnego z ograniczaniem swobody twórczej, wręcz przeciwnie, daje większą swobodę i możliwość działań w szerszym zakresie, tak w muzyce, jak i w sztukach plastycznych.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

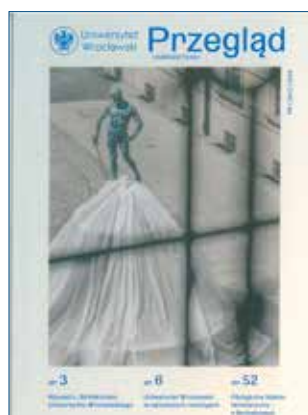


Plener UMK w Kalwarii

Czytelnia czasopism

O pożytkach z badań płynących

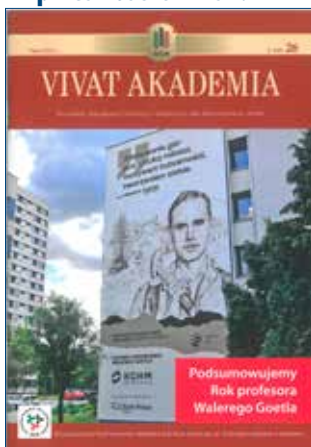
W jaki sposób odpowiedzieć na konkretne pytania, by uzyskane odpowiedzi mogły posłużyć do zaprojektowania działań przynoszących w przyszłości pozytywne skutki? Trzeba posłużyć się badaniami interdyscyplinarnymi. Dobrym przykładem takiej strategii jest projekt GANESA („Mediacje i dialog w Unii Europejskiej prowadzące do trwałego i sprawiedliwego społecznie porozumienia osiąganego w warunkach rzetelnej i wiarygodnej informacji”). Przedsięwzięcie realizowane w Uniwersytecie Wrocławskim miało na celu wyjaśnienie kwestii, która została opisana w następujący sposób: „jak nauczyć młodych ludzi, w dobie powszechnej dezinformacji i galopującego populizmu, takiej oceny rzeczywistości, żeby byli w stanie podejmować decyzje istotne dla nich samych, wspólnot, w których żyją”. Badanie zostało tak zaaranżowane, by jego efektem była diagnoza stanu wiedzy młodych Polaków obejmującej tematykę Europy oraz funkcjonujących w niej instytucji. Chodziło także o uzyskanie informacji dotyczącej kierunków etnocentryzmu rodzimych młodzieży oraz stereotypów, jakie na nią wpływają, jeśli chodzi o dokonywanie ocen. Badaczom zależało, by poznać opinię tej grupy społecznej na temat różnego rodzaju środków masowego przekazu. Podjęte działania miały uświadomić każdemu z osobna, że filtry kształtujące osobistą perspektywę oraz ocenę rzeczywistości mogą prowadzić do niekorzystnych zniekształceń. Dlatego właśnie potrzeba refleksji nad własnym sposobem funkcjonowania w świecie. W ten sposób zwiększy się szanse budowania przyszłych relacji, które opierać się będą na tolerancji i poszanowaniu dla różnorodności, niedyskryminującej komunikacji oraz rozwiązywania konfliktów bez użycia siły, a także na szacunku dla humanistycznych wartości europejskich.



W jaki sposób odpowiedzieć na konkretne pytania, by uzyskane odpowiedzi mogły posłużyć do zaprojektowania działań przynoszących w przyszłości pozytywne skutki? Trzeba posłużyć się badaniami interdyscyplinarnymi. Dobrym przykładem takiej strategii jest projekt GANESA („Mediacje i dialog w Unii Europejskiej prowadzące do trwałego i sprawiedliwego społecznie porozumienia osiąganego w warunkach rzetelnej i wiarygodnej informacji”). Przedsięwzięcie realizowane w Uniwersytecie Wrocławskim miało na celu wyjaśnienie kwestii, która została opisana w następujący sposób: „jak nauczyć młodych ludzi, w dobie powszechnej dezinformacji i galopującego populizmu, takiej oceny rzeczywistości, żeby byli w stanie podejmować decyzje istotne dla nich samych, wspólnot, w których żyją”. Badanie zostało tak zaaranżowane, by jego efektem była diagnoza stanu wiedzy młodych Polaków obejmującej tematykę Europy oraz funkcjonujących w niej instytucji. Chodziło także o uzyskanie informacji dotyczącej kierunków etnocentryzmu rodzimych młodzieży oraz stereotypów, jakie na nią wpływają, jeśli chodzi o dokonywanie ocen. Badaczom zależało, by poznać opinię tej grupy społecznej na temat różnego rodzaju środków masowego przekazu. Podjęte działania miały uświadomić każdemu z osobna, że filtry kształtujące osobistą perspektywę oraz ocenę rzeczywistości mogą prowadzić do niekorzystnych zniekształceń. Dlatego właśnie potrzeba refleksji nad własnym sposobem funkcjonowania w świecie. W ten sposób zwiększy się szanse budowania przyszłych relacji, które opierać się będą na tolerancji i poszanowaniu dla różnorodności, niedyskryminującej komunikacji oraz rozwiązywania konfliktów bez użycia siły, a także na szacunku dla humanistycznych wartości europejskich.

O tym, czy udało się zrealizować ambitne cele projektu, któremu patronuje GANESA, a więc ten, który stawia i obala przeszkody, bóstwo uznawane w Indiach za symbol przezorności i mądrości, informuje „Przegląd Uniwersytecki” (nr 1/2023).

W przeszłości tkwi siła



Z pewnością warto pamiętać o jednostkach, które tworzyły historię danego miejsca. Właśnie dlatego w Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie uhonorowano wybitnego naukowca, twórcę sozologii i sozotechniki, a także pasjonata gór oraz ochrony przyrody, prof. Walerego Goetla, ustanawiając 2022 jego rokiem.

Ale historia to nie tylko ludzie, to także wieloletnia tradycja. Co się na nią składa? O tym przeczytać można w obszernym tekście opublikowanym na łamach periodyku AGH dla absolwentów tej uczelni „Vivat Akademia” (nr 26/2023). Wśród jej elementów znaleźć można zarówno uroczysty strój akademicki, jak też wystrój ważnych miejsc oraz poszczególnych budynków, nazwę i strukturę uczelni, ponadto dobre obyczaje, sztandar, godło oraz insygnia rektora czy wreszcie zwyczaje ukształtowane przez poszczególne zawody. W przypadku uczelni ze stolicy Małopolski chodzi o górników oraz hutników. Tradycja to także kultywowanie obchodów różnorodnych świąt, zarówno tych ogólnych, jak uroczysta inauguracja roku akademickiego czy obchody Dnia Edukacji Narodowej, jak i poszczególnych pionów. Mowa tu o Barbórze, Dniu Hutnika czy organizowanym od 1935 roku pochodzie lisów.

Oczywiście nie da się ukryć, że nawet utrwalone przez wiele lat zwyczaje dostosowują się do zachodzących i nieuniknionych przecież zmian społecznych. Chodzi jednak o to, by to co nowe nie przesłoniło i nie wyparło wartości, które niesie ze sobą przeszłość.

Wiadomo, dlaczego niektórzy nie lubią brukselki

Krzywisz się na samą myśl o zjedzeniu cykorii albo brukselki? Nie chodzi o to, że jesteś wybredny, po prostu gorzki smak nie jest dla ciebie. Dlaczego? Wyjaśnienie tkwi w genach. Jak się bowiem okazuje, pewne z nich oddziałują na ludzkie zachowania, w tym właśnie na odczuwanie smaku. Badaniem tego rodzaju zależności zajmuje się nutrigenomika i nutrigenetyka, nowe nauki umożliwiające personalizację diety zarówno w przypadku osób zdrowych, jak również tych, którzy borykają się na przykład z problemami metabolicznymi. Dopasowanie spożycia składników pokarmowych do indywidual-



nych możliwości zalicza się do kategorii działania prewencyjnego i prozdrowotnego. Natomiast dzięki zdobyciom nauki można pójść o krok dalej, czyli wiedząc, co należy wykluczyć przy danym schorzeniu, można zadbać o chorych, troszcząc się o to, by przy okazji w ich organizmach nie zabrakło niezbędnych substancji. Tak jak w przypadku fenyloketonurii, w której należy

wyeliminować fenyloaminę, ale tak, by nie pozbawić chorych pozostałych aminokwasów.

Przyszłość z pewnością tkwi w personalizowaniu żywienia, przekonuje Agata Chmurzyńska, prof. nauk medycznych i nauk o zdrowiu, w rozmowie z czasopismem Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu „Więści Akademickie” (nr 2/2023). Ten prężnie rozwijający się trend wymaga podjęcia inicjatyw i rozmów na różnych szczeblach. Chodzi o to, by finalnie udało się włączyć nauczanie nutrigenomiki i nutrigenetyki w program obowiązkowy studiów, zarówno przyszłych lekarzy, jak i dietetyków.

Aneta Zawadzka

Czytać, dużo czytać

Podczas czytania nie należy skupiać się na tym, aby rozumieć każde słowo. Jeśli będziemy sprawdzać każde niezrozumiałe sformułowanie, tempo lektury spadnie do tego stopnia, że szybko się zniechęcimy. Lepiej dać się wciągnąć tekstowi, a sprawdzać albo jedno słowo/wyrażenie na stronę, albo te sformułowania, których zrozumienie jest niezbędne do uchwycenia sensu np. całego akapitu, ale wówczas warto zanotować to, co sprawdziliśmy.

W języku trzeba się zanurzyć

Tytuł to oczywiście nawiązanie do najnowszej książki prof. Ryszarda Koziołka, historyka literatury, rektora Uniwersytetu Śląskiego. Koziołek jak nikt inny potrafi wskazać korzyści z czytania: wzbogacanie własnego wewnętrznego świata, poszerzanie wyobraźni, ale i budowanie wspólnoty w społeczeństwie. Mogłoby się wydawać – nic oryginalnego, to samo słyszeliśmy w szkole. Jednak gdy słyszę pytania, jak poprawić znajomość języka obcego, aby móc pisać lepsze artykuły i książki naukowe, nie mam lepszej odpowiedzi: uważnie czytać to, co napisali ludzie, którzy danym językiem posługują się jeśli nie z maestrią, to przynajmniej z pełną swobodą.

W mojej karierze redaktora publikacji naukowych spotkałem wielu badaczy, którzy opanowali kilka języków obcych jakby bez wysiłku, gdzieś w tle, cały czas prowadząc intensywną działalność naukową. To chyba jedna z cech wybitnych umysłów. Sam jestem jej pozbawiony i dobre opanowanie i utrzymanie znajomości dwóch języków obcych mimo mieszkania w kraju, gdzie się nimi nie mówi, wymaga ode mnie sporo czasu i wysiłku. Dlatego bez problemu jestem w stanie zrozumieć autorów, którzy z angielskim lub niemieckim radzą sobie gorzej, gdyż uprawianie nauki zajmuje im zbyt dużo czasu, aby mogli go wygospodarować na intensywniejszą naukę języków. Moim zdaniem nie sposób jednak opanować umiejętności naprawdę kompetentnego scientific writing, nawet tylko po angielsku i tylko w swojej dziedzinie, obcując jedynie z piśmiennictwem fachowym, przy bardzo przeciętnej znajomości angielskiego jako takiego. Z takiego przekonania bierze się pisanie za pomocą gotowych, podręcznikowych fraz. Tacy autorzy często gubią się, gdy muszą wyjść poza nie, dlatego najczęściej błędów redaktorzy ujawniają we wstępnej i końcowej części artykułu, gdzie najtrudniej jest wzorować się na innych tekstach. Warto też pamiętać, że zbyt schematyczny język może zarówno obniżyć szanse danego artykułu na publikację (przynajmniej w bardziej renomowanych czasopiśmie), jak i obniżyć rangę danego periodyku, jeśli artykułów sprawiających wrażenie napisanych przez automat jest w kolejnych zeszytach zbyt dużo (w skrajnych przypadkach może nawet dojść do wyrzucenia danego pisma z baz artykułów naukowych). Ubocznym skutkiem pisania za pomocą gotowych sformułowań może być wysoki współczynnik podobieństwa do opublikowanych już prac wykazywany przez programy antyplagiatowe – jeśli przekroczy on określoną wartość (np. 30%), artykuł trzeba będzie przerabiać jeszcze przed etapem peer review.

Celem tego artykułu nie jest formułowanie porad, jak uczyć się języków, jakie metody są najskuteczniejsze i z jakich narzędzi korzystać. Nie jestem nauczycielem ani metodykiem nauczania żadnego języka i choć mam swoje sposoby poszerzania znajomości obcej mowy, mam świadomość, że nie są one ani doskonałe, ani dobre dla kogoś innego poza mną. Jest jednak jeden aspekt, który wydaje mi się uniwersalny i ma przełożenie także na tworzenie publikacji naukowych: w języku trzeba się zanurzyć. Jeśli jednak chcemy używać go do profesjonalnego pisania, samo przebywanie co jakiś czas w kraju, gdzie się w danym języku mówi, a nawet używanie go (bardziej fachowo) na konferencjach nie wystarczy. Do pisania artykułów naukowych potrzebna jest dobra znajomość wzorcowej (zwanej kiedyś także literacką) odmiany danego języka, a tę można opanować przede wszystkim poprzez czytanie. Zabrzmieć teraz jak belfer, ale uważam, że u większości ludzi ani osłuchanie z potoczną odmianą danego języka, ani żadne aplikacje czy inne elektroniczne wspomaganie (ani też seriale na Netfliksie) tego nie zastąpią.

Jeśli jesteśmy w stanie przeczytać ze zrozumieniem artykuł naukowy w języku obcym z dobrze znanej nam dziedziny, to nie świadczy jeszcze niestety, że dobrze znamy dany język – dzięki ustrukturyzowanej wiedzy wylapujemy informacje, nie rozumiejąc często całych zdań. Po prostu wiemy, gdzie patrzeć. Jeżeli natomiast możemy na takiej samej zasadzie czytać obszerniejsze artykuły w opiniotwórczej prasie (niekoniecznie drukowanej) czy beletrystykę, to jest to dobry próbiez przynajmniej biernej znajomości danego języka. Rozumienie filmów czy seriali nie jest aż tak dobrym sprawdzianem, połączenie dźwięku z obrazem powoduje, że więcej elementów wypowiedzi można zrozumieć z kontekstu, a ekranowe dialogi najczęściej bliższe są potocznej wymianie zdań niż spójnemu wywodowi (chyba że mówimy o ambitniejszych filmach dokumentalnych). Takie bierne rozumienie zawsze jest powiązane z czynną znajomością języka, pozwala poruszać się w bardziej złożonych konstrukcjach. Jeśli tylko nasza znajomość słownictwa jest wystarczająca, będziemy w stanie z czasem sami budować takie większe całości. Poszerzy się też znajomość słownictwa niefachowego i dany język będzie się dla nas stawał tworzywem w różnych sytuacjach komunikacyjnych.

Co zatem czytać? To samo, co lubimy w ojczystym języku, tyle że teraz w obcym. Zdarza się, że ktoś pyta mnie, jakie gazety i czasopisma czytam, chcąc wysondować mój profil ideowy. Na ogół taka próba kończy się jednak umiarkowanym powodzeniem, gdyż lista jest długa: „The Guardian”, „Daily Telegraph”,

„New York Times”, „Washington Post”, „The New Yorker”, „Time”, „Der Spiegel”, „Die Welt”, „Die Zeit”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, serwis internetowy „Deutsche Welle”... Rzecz jasna nie zapoznają się z tymi pismami od deski do deski, gdyż musiałbym nie robić nic innego – czytam pojedyncze arty-

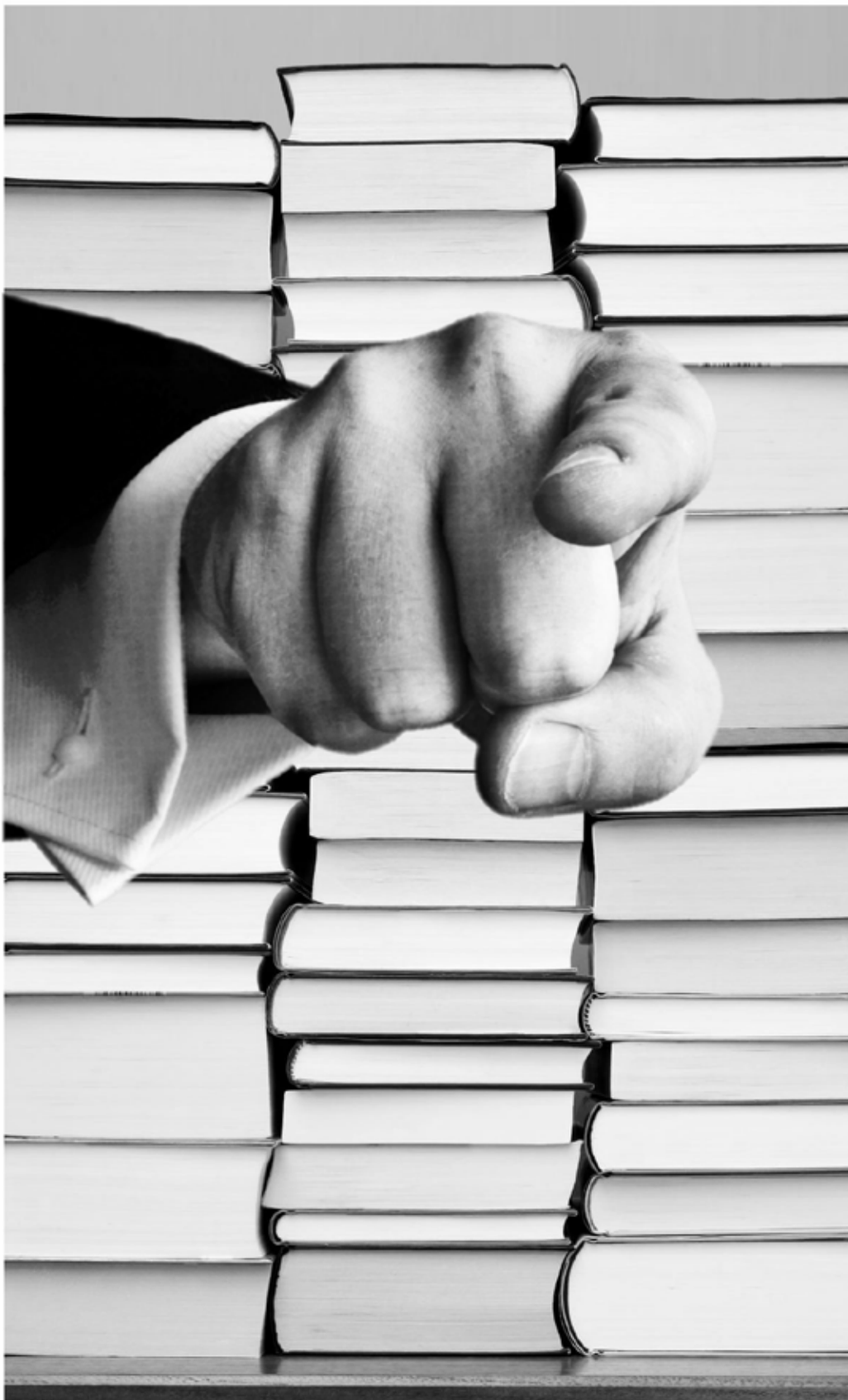


Foto: Sławomir Makel

kulę, także dlatego, że nie byłoby mnie stać na subskrybowanie wielu tych serwisów jednocześnie. Niektóre gazety i czasopisma umożliwiają bezpłatny dostęp do wybranych materiałów albo do kilku artykułów miesięcznie; inne umożliwiają bezpłatne czytanie niektórych tekstów ze starszych numerów (a przecież wiele artykułów problemowych potrafi nie dezaktualizować się przez lata). Ważne, by się do niczego nie przymuszać, ani ideowo, ani tematycznie, gdyż możemy wybierać spośród pism o nachyleniu od mocno liberalnego do wyraźnie konserwatywnego, a ich poziom będzie podobnie wysoki. W USA i Wielkiej Brytanii (a także w krajach Europy Zachodniej) jakościowe dziennikarstwo prasowe wciąż ma się dobrze, szczególnie pod względem językowym. Nie znajdziemy tu raczej rozwlekłego i pretensjonalnego stylu, za to dowiemy się, jak dany język potrafi być precyzyjny i elegancki. Jednocześnie zaś poznamy realia, które ten czy inny język kształtują i które on kształtuje (w myśl Wittgensteinowskich granic mojego języka, które wyznaczają granice mojego świata). Czasem kupuję papierowe wydanie którejś z ulubionych obcojęzycznych gazet i gdy czytam je gdzieś w miejscu publicznym, mam wrażenie, że gdy spojrzę znad zadrukowanych stron, znajdę się nagle na ławce w Central Parku albo Parku Tempelhof w Berlinie.

Dać się wciągnąć tekstowi

Podobnie jest z książkami, wystarczy czytać w oryginale albo anglojęzycznym (lub innym) tłumaczeniu to, co wybrałbyśmy do lektury po polsku. Jeśli tylko czytamy na czytniku lub tablecie, możemy właściwie w dowolnym momencie wejść w posiadanie dowolnej książki (przynajmniej po angielsku), jeśli tylko została wydana jako ebook. Z drukowanymi książkami jest trudniej, problemem może być zaporowa cena, ale warto poszukać, gdyż istnieją polskie księgarnie wysyłkowe oferujące książki w językach obcych sprowadzane od zagranicznych dystrybutorów za pół ceny (np. końcówki nakładów); wówczas koszt może być niewiele wyższy od ceny egzemplarza po polsku. Dostępność książek elektronicznych sprawiła też, że w dużej mierze wyrównała się dostępność fikcji i literatury faktu oraz książek popularnonaukowych. Gdy jedyną opcją były wydania papierowe, w rozsądnych cenach można było w Polsce dostać przede wszystkim klasykę literatury pięknej.

Podczas czytania nie należy kupiać się na tym, aby rozumieć każde słowo. Jeśli będziemy sprawdzać każde niezrozumiałe sformułowanie, tempo lektury spadnie do tego stopnia, że szybko się zniechęcimy (a ponadto takiej liczby słówek i tak nie zapamiętamy za jednym razem). Lepiej dać się wciągnąć tekstowi, a sprawdzać albo jedno słowo/wyrażenie na stronę, albo te sformułowania, których zrozumienie jest niezbędne do uchwycenia sensu np. całego akapitu, ale wówczas warto zanotować to, co sprawdziliśmy, aby wspomóc zapamiętywanie. Jeśli nie będziemy przerywać lektury co kilka zdań, zaczniemy chwycić nie tylko znaczenie poszczególnych słów, ale frazę danego języka, schematy składniowe, charakterystyczne wyrażenia używane do wprowadzania kolejnych argumentów, zaznaczania sprzeczności itd. Jeśli oglądamy filmy w oryginale, warto zadbać o wersję z napisami dla niesłyszących i z niej spisywać to, czego nie rozumiemy; jeśli film jest w języku, którego nie znamy, niektóre serwisy streamingowe umożliwiają włączenie napisów po angielsku, a czasem również w innych językach (ja sam mogłem obejrzeć szereg ciekawych filmów w mniej znanych językach (np. afrikaans), gdyż udawało mi się zdobyć wersje z napisami po niemiecku). Może się też okazać, że dzięki znajomości języków będziemy mieli dostęp do publikacji nie tylko naukowych, ale także stricte rozrywkowych szybciej niż pojawiają się w polskim tłumaczeniu, albo do takich, które po polsku nigdy nie wyszły (szereg cenionych

współczesnych powieści fantastycznonaukowych mogłem przeczytać tylko po angielsku). Ciekawym doświadczeniem może być wreszcie lektura tłumaczeń książek, które znamy po polsku, na inne języki. Odnoszę wrażenie, że niektóre powieści Stanisława Lema (*Solaris*, *Głos Pana*, *Kongres futurologiczny*) czy Olgi Tokarczuk (*Biegunów*, *Prowadź swój pług przez kości umarłych*) tak naprawdę zrozumiałem dopiero po przeczytaniu *His Master's Voice*, *Der futurologische Kongreß*, *Flights* i *Svůj vůz i pluh veď přes kosti mrtvých*.

Jeśli chodzi o literaturę piękną, przy dobieraniu lektur warto pamiętać o jednym: jeśli nie znamy danego języka naprawdę dobrze, na początek lepiej unikać utworów starszych lub wyraźnie stylizowanych – specyficzny język nie będzie aż tak pomocny w nauce, a w dodatku trudności w zrozumieniu mogą nas zniechęcić. Dobrym przykładem jest amerykański klasyk horroru, H.P. Lovecraft. Jego opowiadania powstały w okresie międzywojennym, ale stylizacja na angielszczyznę XVII– czy XVIII-wieczną oraz rozwlekła fraza sprawiają, że jego proza, choć znakomita, może nie być najlepszym wyborem do rozpoczęcia przygody z czytaniem w oryginale. Nie sposób jest wskazać żadnego „punktu odcięcia” w historii literatury, od którego angielski, niemiecki czy inne języki stają się zrozumiałe; powieści Dickensa (połowa XIX wieku) postrzegam jako niestawiające większego oporu, ale już pochodzące z tego samego okresu (1847 rok) *Wichrowe wzgórza* Emily Brontë wymagały większego skupienia. Na początek lepiej unikać też utworów, których autorzy eksperymentowali z językiem lub technikami narracyjnymi, dlatego np. z wybitną przeciwieństwem twórczością Virginii Woolf (*Do latarni morskiej*, *Pani Dalloway*) dobrze jest zmierzyć się w drugiej kolejności.

Narracja i metafora

Nie każdy jednak ma czas i chęć obcować z ambitną literaturą i nie ma w tym nic złego; w obcy język można się zanurzyć także poprzez wysokiej jakości twórczość gatunkową. Wśród autorów kryminałów, thrillerów, horrorów czy powieści fantastycznonaukowych i fantasy było i jest wielu mistrzów języka angielskiego; zajmowali się też nią i zajmują znakomici tłumacze. Na obszarze języka angielskiego klasykami są zarówno Agatha Christie czy Erle Stanley Gardner (twórca postaci adwokata Perry'ego Masona), jak i mistrzowie czarnego kryminału (Raymond Chandler, Dashiell Hammett, Cornell Woolrich, James M. Cain, John D. MacDonald) oraz psychologicznej powieści kryminalnej (Patricia Highsmith i cykl o Tomie Ripleyu). Wśród żyjących pisarzy wybitnym stylistą jest Stephen King; wzorcowym i pięknym American English posługiwali się też jednak lub posługują Peter Straub (*If You Could See Me Now*, *Julia*, *Floating Dragon*), Frank Herbert (cykl *Diuna*), Dan Simmons (cykl *Hyperion*), Philip K. Dick (*Ubik*, *The Man in the High Castle*, *VALIS*), Isaac Asimov (cykl *Fundacja*) czy Robert Jordan (cykl fantasy *The Wheel of Time*). Jeśli ktoś jest fanem *Władcy pierścieni*, *Opowieści z Narnii* czy cyklu o Harrym Potterze, a jeszcze nie czytał w oryginale, to właśnie jest dobry moment; znając fabułę, taki czytelnik będzie mógł bardziej skupić się na warstwie językowej.

W *Czytać, dużo czytać!* Koziółek pisze: „Nie powinniśmy utożsamiać literatury z książką. Literatura jest wszędzie tam, gdzie są narracja i metafora. Nie ma sfery współczesnego życia, do której literatura by się nie wtrącała. I wydaje mi się, że czyni to mądrzej niż wiele innych dyskursów”. Gdy nie będziemy traktować języka obcego tylko jako użytecznego narzędzia, stanie się on bardziej nasz na różnych poziomach, a wtedy tym bardziej język giętki wypowie wszystko, co pomyśli głowa, a nasze książki i artykuły staną się jeszcze bardziej komunikatywne i eleganckie.

Grzegorz Tutak

O polityce migracyjnej

Przez długi czas cechą polityki migracyjnej Polski były działania ad hoc, podejmowanie w wyniku wystąpienia określonej okoliczności. Brakowało i brakuje długofalowego działania, strategii ponadpartyjnej realizowanej niezależnie od konkretnego ugrupowania politycznego będącego u władzy.

Problematyka migracji we współczesnym świecie jest niezwykle aktualnym, ważnym i wielowymiarowym zagadnieniem. Choć zjawisko to jest stałym elementem życia człowieka na Ziemi, to właśnie w ostatnich dziesięcioleciach procesy związane z migracją ludności nabrały niespotykanego dotąd tempa. Wśród przyczyn takiego stanu rzeczy znajdują się wielopłaszczyznowe zmiany społeczne, gospodarcze, polityczne i kulturowe, będące niejednokrotnie impulsem do podjęcia decyzji o przeniesieniu się z jednego miejsca na drugie, z jednego państwa do drugiego. Co więcej, wspomniane zmiany są nie tylko przyczyną, ale także efektem przepływów migracyjnych. Rozwój technologii, środków komunikacji oraz proces globalizacji spowodowały, że ograniczenia, które kilkadziesiąt lat temu stanowiły przeszkodę w realizacji planów czy marzeń wielu ludzi, dzisiaj straciły na znaczeniu. Istotne są w tym kontekście także wydarzenia z przeszłości, które bezpośrednio lub pośrednio legły u podstaw dzisiejszych relacji międzynarodowych.

Słowo „migracja” odmiennie jest przez wszystkie przypadki, w różnych konfiguracjach i kontekstach. Bardzo dobrym przykładem takich działań jest obecnie dobiegająca końca kampania wyborcza. Problematyka migracji stała się elementem strategii wyborczej praktycznie wszystkich ugrupowań politycznych. Jeszcze kilkanaście lat temu temat ten był praktycznie nieobecny w naszej przestrzeni publicznej. Choć w tym miejscu warto zauważyć, że po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku pojawiał się temat emigracji i konsekwencji, jakie niesie za sobą znaczny wyjazd Polaków za pracę za granicę. I choć temat powracał co jakiś czas w przestrzeni medialnej, to dopiero kryzys migracyjny w Europie po 2015 roku niejako na stałe wprowadził do debaty problematykę migracji w Polsce. Warto przypomnieć, że właśnie rok 2015 był także rokiem wyborczym i to wtedy władzę przejęło ugrupowanie polityczne Prawo i Sprawiedliwość. Problematyka przymusowej relokacji setek tysięcy migrantów przybywających nielegalnie do Europy rozpałała debatę publiczną nad tym, czy Polska powinna się godzić na ten mechanizm. Dzisiaj stajemy przed tym samym dylematem, choć, jak już wiadomo, rząd nie zgodzi się na przyjęcie paktu migracyjnego forsowanego w Unii Europejskiej, wprowadzającego chociażby rekompensatę za odmowę przyjęcia imigrantów na terytorium Polski. Po 2015 roku możemy także zasugerować stwierdzenie, że problematyka migracji została upolityczniona i rozpoczął się proces jej sekurytyzacji. Trwająca kampania wyborcza oraz narracja par-

tii rządzącej łączą ściśle kwestie migracji z bezpieczeństwem, co nie pozostaje bez wpływu na politykę imigracyjną Polski. Jednakże w perspektywie wyborów parlamentarnych nasuwa się pytanie, czy podejście do kwestii relokacji migrantów uległoby zmianie w przypadku przegranej partii rządzącej. Pojawia się także pytanie o kształt polityki imigracyjnej Polski po jesiennych wyborach.

Pewną próbą odpowiedzi na te pytania oraz na pytanie, czym jest warunkowana polityka wobec imigracji, jest monografia mojego autorstwa zatytułowana *Polityka imigracyjna Polski w latach 2004-2015*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa KUL. Publikacja podejmuje ciekawą i szeroką tematykę. Celem pracy było kompleksowe ujęcie zagadnienia polityki imigracyjnej Polski w latach 2004–2015, w tym także poprzez uwzględnienie najważniejszych determinant o charakterze historycznym, gospodarczym, prawnym, społeczno-kulturowym i bezpieczeństwa, które – w mojej opinii – miały znaczenie dla podejmowanych rozwiązań prawno-instytucjonalnych w przedmiotowym zakresie.

W publikacji podjąłem problematykę istoty i specyfiki szeroko rozumianej polityki migracyjnej, ze szczególnym uwzględnieniem i wyodrębnieniem z niej polityki imigracyjnej. Zwróciłem uwagę na procesy, jakim została poddana omawiana polityka, scharakteryzowałem jej instrumenty i elementy składowe. Warto wspomnieć, że w publikacji zostały przedstawione dane statystyczne, koncepcje i podejścia kościołów i związków wyznaniowych wobec migracji, koncepcje organizacji pozarządowych czy też działania największych polskich miast w kontekście realizacji omawianej polityki. Nie bez znaczenia pozostaje poruszona w książce problematyka członkostwa Polski w Unii Europejskiej i jej wpływu na przyjmowane rozwiązania w zakresie polityki imigracyjnej Polski. Czym zatem jest polityka migracyjna, a w jej obrębie polityka imigracyjna?

O polityce migracyjnej słów kilka...

Badacze procesów migracyjnych Stephen Castles i Mark Miller twierdzą, że współczesne migracje stały się elementem transnarodowej rewolucji, która zmienia zarówno społeczeństwa, jak i życie polityczne na całej kuli ziemskiej. Przeobrażenia te są wynikiem globalizacji, postępującej integracji – niejednokrotnie wielowymiarowej – między państwami, a także liberalizacji systemu prawnego. Co więcej, cechą współczesnych ruchów ludnościowych jest przyspieszenie, różni-

cowanie i feminizacja migracji. Międzynarodowe migracje zmuszają państwa do podjęcia działań regulujących przepływy ludnościowe w ich granicach czy nawet szerzej – w regionie. Dobrym przykładem takich reakcji jest Unia Europejska, jednym z obszarów jej działania jest wspólna polityka imigracyjna i zarządzanie granicami. UE i jej państwa członkowskie intensyfikują wysiłki, by wypracować skuteczną, humanitarną i bezpieczną europejską politykę migracyjną. Niemniej to państwa nadal pozostają podstawowym i zasadniczym filarem regulującym ruchy migracyjne. Konsekwencją migracji jest wysiłek państw na rzecz regulowania migracji, innymi słowy kontrola przepływów ludnościowych. James F. Hollifield wskazuje, że współczesne państwa stanęły przed dylematem „liberalnego paradoksu”. Polega on na tym, że z jednej strony międzynarodowe siły gospodarcze (handel, inwestycje) popychają państwa w kierunku większej otwartości, podczas gdy międzynarodowy system państwowy i siły polityczne postulują większe zamknięcie. Czym zatem jest polityka migracyjna?

Odpowiedzią każdego państwa na migracje jest polityka migracyjna. Zauważmy, że polityka państwa jest jednym z elementów kształtujących migracje, bowiem ma znaczenie w kontekście decyzji warunkujących przemieszczanie się ludzi w miejsce docelowe. To właśnie poprzez określony model polityki cudzoziemcy uzyskują możliwość pobytu w państwie docelowym po spełnieniu niezbędnych warunków, nabywają obywatelstwo, mają zapewnione prawa, ale i obowiązki. Polityka państwa reguluje warunki wjazdu do kraju, pobytu w nim i wyjazdu z niego. Dotyczy to nie tylko cudzoziemców przybywających w granice państwa, ale i własnych obywateli wyjeżdżających poza granice kraju, decydujących się pozostać w wybranym przez siebie miejscu. Co istotne, polityka państwa wobec migracji nie tłumaczy ich przyczyn, a raczej stanowi odpowiedź na nie poprzez działanie na możliwe konsekwencje dla społeczeństwa, systemu gospodarczego czy bezpieczeństwa państwa. Dotychczasowe uwagi sugerują nam, że politykę migracyjną warunkuje szereg polityk szczegółowych, które adresowane są do różnych grup migrantów. Zatem jako politykę migracyjną możemy rozumieć wszelaką działalność państwa w zakresie regulowania przepływów migracyjnych, tj. zasad wjazdu, pobytu i wyjazdu cudzoziemców oraz działań wobec obywateli własnego państwa przebywających czasowo lub na stałe poza granicami, za pomocą odpowiednich instrumentów. Oczywiście definicji omawianego pojęcia jest wiele. Często pojęcie polityki migracyjnej jest traktowane tak samo jak zagadnienie polityki imigracyjnej. Osobiście uważam to za błąd. Pojęciem szerszym w tym przypadku będzie polityka migracyjna, ponieważ dotyczy nie tylko cudzoziemców, ale także działań państwa wobec np. Polonii. Traktowanie synonimiczne obu pojęć jest swoistym uproszczeniem. Polityka imigracyjna będzie swoim zakresem obejmować całokształt działań państwa, w tym warunki wjazdu, pobytu i wyjazdu cudzoziemców, kwestie nabycia obywatelstwa czy chociażby dostępu do rynku pracy. W jej obszarze będzie także znajdować się kwestia integracji, traktowana często jako osobna polityka. Polityka imigracyjna jako dziedzina aktywności państwa musi uwzględniać dwoistość perspektyw. Z jednej strony brać pod uwagę kwestie adaptacji imigrantów w społeczeństwie, praw i obowiązków im przysługujących oraz różnic kulturowych. Z dru-



giej strony uwzględniać stosunek społeczeństwa do cudzoziemców, kwestie przełamania barier kulturowych, stereotypów czy kategoryzacji „my” i „oni”.

Pojęcie polityki migracyjnej zawiera w sobie wiele pojęć, ujęć i koncepcji, które nakazują kompleksowe traktowanie procesów migracyjnych, w których zarówno kwestie emigracji, jak i imigracji stanowią części składowe tego samego zjawiska. Polityka migracyjna kształtuje, realizuje, niekiedy udoskonala przepływy ludnościowe, stanowi swego rodzaju plan co do wielkości i zakresu wspomnianych ruchów. Ponadto jest narzędziem kontroli, bowiem zarządzanie migracjami może zostać wykorzystane w konkretnej sytuacji do realizacji przyjętych celów. Dla powodzenia realizacji polityki migracyjnej kluczowe jest więc efektywne i kompetentne nią administrowanie.

Marek Okólski twierdzi, że polityka migracyjna powinna opierać się na doktrynie migracyjnej. Co należy rozumieć pod tym pojęciem? Otóż jak uważa wspomniany autor, pod pojęciem doktryny migracyjnej powinniśmy rozumieć naczelną zasadę polityki, która odpowiada racji stanu, stanowi ideę humanitarną, filozofię państwa w zakresie migracji. Zasadę, która odwołuje się do tradycji narodowych i międzynarodowych lub też jest niepisana zasadą, jednakże zakorzenioną w świadomości polityków, bądź też jest zasadą konstytucyjną. W tym miejscu można by postawić pytanie, czy po 1989 roku w Polsce taka doktryna miała miejsce? Wydaje się, że nie. Przez długi czas cechą polityki migracyjnej Polski były działania ad hoc, podejmowanie w wyniku wystąpienia określonej okoliczności. Brakowało i brakuje długofalowego działania, strategii ponadpartyjnej realizowanej niezależnie od ugrupowania politycznego będącego u władzy.

Co dalej z polityką migracyjną?

Tworząc wspomnianą wcześniej publikację, podjąłem próbę określenia uwarunkowań, które miały znaczenie dla kształtu i realizacji polityki imigracyjnej Polski w latach 2004-2015. Omówiłem szereg uwarunkowań o charakterze historycznym, gospodarczym, społeczno-kulturowym oraz z zakresu bezpieczeństwa. Warto wspomnieć, że Polska coraz częściej staje się miejscem docelowym imigracji. Wzrost zainteresowania Polską skłania do refleksji nad przyszłością i kształtem przyszłej polityki imigracyjnej. Istotnego znaczenia nabierają kwestie bezpieczeństwa. Jak wskazuję w swojej publikacji, bezpieczeństwo ma silne korelacje z polityką, niejednokrotnie stanowi punkt odniesienia podejmowanych działań, decyzji politycznych, czasem ich usprawiedliwienie, innym razem przyczynę. Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na sytuację na granicy polsko-białoruskiej. Polska stała się celem presji migracyjnej inspirowanej przez reżim Łukaszenki. W okresie letnim 2021 roku białoruskie służby specjalne i graniczne stopniowo sprowadzały pod granicę z Polską, Litwą i Łotwą bliskowschodnich migrantów ekonomicznych, jawnie deklarujących chęć przedostania się do krajów Europy Zachodniej, takich jak Niemcy czy Francja. Tak zwane „biura podróży”, afiliowane m.in. przy białoruskiej administracji, świadczyły usługi przerzutu migrantów do krajów UE przez wspomnianą polsko-białoruską granicę. Jak się okazało, jest to element działań hybrydowych. W tym przypadku możemy mówić o instrumentalizacji migracji. Proces ten odnosi się do celowego wykorzystywania ruchów migra-

cyjnych przez różne grupy interesów, instytucje lub państwa w celu osiągnięcia określonych korzyści lub celów politycznych, ekonomicznych, społecznych lub kulturowych. Może ona obejmować zachęcanie do migracji, hamowanie migracji lub manipulację migracją w sposób sprzyjający interesom danego podmiotu. Tak rozumiana instrumentalizacja jako działanie hybrydowe ma na celu nie tylko osłabienie państw dotkniętych tymi działaniami, ale także ma sprawić wrażenie, że stawiany przez nie opór ma zostać odebrany jako przejaw brutalności, tworzyć wizerunek państw, które nie wypełniają swoich zobowiązań w zakresie praw człowieka. I dochodzimy tutaj do pewnego procesu, który stanowi kolejne pole badań, mianowicie sekurytyzacji migracji.

Warto zauważyć, że migracje w Polsce łączone są z kwestią bezpieczeństwa, zwłaszcza po 2015 roku. Imigracja jako efekt procesów globalizacji powoduje, że wkraczamy powoli w erę postnarodową, gdy coraz widoczniejsze stają się obawy dotyczące zagrożeń suwerenności państwowej, obywatelstwa i tożsamości. Zdolność lub niezdolność do kontrolowania swoich granic, a tym samym w pewien sposób populacji, jest warunkiem sine qua non suwerenności. Migracje międzynarodowe ze względu na swoją złożoność, rozproszony charakter i wewnętrzne sprzeczności wpływają na bezpieczeństwo państwa w inny sposób niż pozostałe zagrożenia. Warto zaznaczyć, że wpływ na postrzeganie imigracji przez pryzmat bezpieczeństwa ma m.in. kontekst polityczny, społeczny, demograficzny, jednakże w dużej mierze mają one charakter subiektywny. Dalej, zależny jest od perspektywy określonych grup interesów, od położenia państwa występującego w roli podmiotu wysyłającego, tranzytowego czy przyjmującego. Wreszcie przez pryzmat konsekwencji, a więc skutków o charakterze społecznym, demograficznym, ekonomicznym. Proces sekurytyzacji polega na tym, że określenie danego problemu jako zagrożenia bezpieczeństwa implikuje podjęcie nadzwyczajnych środków. Usprawiedliwieniem takich działań jest właśnie wskazywanie danego

problemu jako zagrożenia. Warto nadmienić, że w tym przypadku zagrożenia ujmowane są w kategoriach egzystencjalnych. Istotnym polem takiego działania jest płaszczyzna polityczna, na której zapadają decyzje polityczne. Proces sekurytyzacji odnosi się zatem do płaszczyzny politycznej, w której kreuje się konkretną wizję polityki ukształtowaną uprzednio przez wzajemne relacje między państwem i społeczeństwem w kontekście bezpieczeństwa. Istotnym elementem w procesie sekurytyzacji jest akt mowy, za pomocą którego określane jest dane zjawisko jako zagrożenie.

Warto zaznaczyć, że definiowanie zagrożeń przez państwo i społeczeństwo nie musi być tożsame. To, że państwo nie ujmuje danej kwestii w kategoriach zagrożenia, nie oznacza, że społeczeństwo podziela to odczucie i odwrotnie. Jednakże to państwo, elity polityczne mają istotny wkład w formułowanie tematu w kategoriach bezpieczeństwa. Państwo pozostaje najważniejszym podmiotem sekurytyzującym. W Polsce zjawisko sekurytyzacji imigracji jest stosunkowo nowym procesem. Za symboliczny początek procesu sekurytyzacji imigracji można uznać wygraną partii Prawo i Sprawiedliwość. Partia ta wraz z posłami Zjednoczonej Prawicy stworzyła rząd, którego narada dotycząca problematyki imigracji skupiła się wokół zagrożeń i negatywnych następstw tego procesu. Obecnie, w kontekście trwającej kampanii wyborczej, wszystkie ugrupowania polityczne łączą imigrację z bezpieczeństwem, z problematyką zagrożenia państwa. Być może sytuacja na polsko-białoruskiej granicy, trwająca kampania polityczna zmieniły na długi czas kwestie podejścia do problematyki imigracji, a co za tym idzie – polityki imigracyjnej. Jest to więc kolejny, niezwykle ciekawy obszar badań, nad którym należy się pochylić.

*Dr Grzegorz Tutak, Wydział Nauk Społecznych KUL,
Katedra Teorii Polityki i Studiów Wschodnich, koordynator kierunku
bezpieczeństwo narodowe, kurator Legii Akademickiej KUL*



Rys. Sławomir Makal

Jak przygotować dobrą prezentację multimedialną?

Nie ma dobrych wystąpień bez prób. Niezależnie od tego, czy jesteś doświadczonym prelegentem, mówcą czy prezerem, warto ćwiczyć. Zdobywamy wówczas pewność siebie, czujemy się przygotowani i przede wszystkim – wiemy, ile czasu zajmie nam wystąpienie w praktyce.

Odpowiedź na pytanie tytułowe zamieszczono w najnowszej publikacji *Prezentacje multimedialne w wystąpieniach naukowych*. Książka została napisana z myślą o środowisku naukowym, w tym o studentach. Prezentacje multimedialne odgrywają istotną rolę w komunikacji naukowej. Dlaczego? Ponieważ wizualizacja tego, o czym mówimy, pozwala na przedstawienie danych, informacji, wyników badań za pomocą grafik, wykresów, diagramów, schematów, tabel, wyliczeń i innych elementów wizualnych. Dzięki temu słuchacze łatwiej zapamiętują to, o czym mówimy, łatwiej też im będzie zrozumieć nasz przekaz. W wieku dominacji ikonografii, wpływu architektury informacji na wiele obszarów życia codziennego, w tym uczestnictwa w społeczeństwie informacyjnym, dla wielu to niezbędne wręcz ułatwienie komunikacyjne.

W życiu studenta będziemy mieli do czynienia przynajmniej z dwoma sytuacjami, w których mogłoby wykorzystać swoje kompetencje w tym zakresie. Po pierwsze na zajęciach uczelnianych, gdy jego zadaniem jest przygotowanie pewnego materiału, najczęściej na zaliczenie. Po drugie, kiedy studiuje na profilu ogólnoakademickim i chciałby wziąć czynny udział w konferencji naukowej. Te dwa rodzaje wystąpień będą się zapewne różniły. W drugim bowiem przypadku będzie musiał zadbać o zamieszczenie informacji na temat zastosowanej metodologii badań: podać problemy badawcze, cele, metody badań, przedstawić proces ich konceptualizacji i operacjonalizacji. Obecnie dużo łatwiej będzie się przygotować do takich wyzwań, bowiem na rynku pojawiła się książka.

ZASADY FORMALNE W PREZENTACJI

Zgodnie z zasadami praw autorskich, prelegent nie tylko jest zobowiązany do załączenia bibliografii wykorzystanych źródeł, do uwzględnienia linków do zdjęć i innych obiektów które wykorzystał, ale również powinien się powoływać na te źródła podczas wystąpienia. Cytowane fragmenty powinny być na slajdzie wyraźnie wyróżnione: za pomocą kroju czcionki lub w cudzysłowie, oraz opatrzone przypisem źródłowym.

Projektując slajdy należy pamiętać o prawidłowym rozplanowaniu wyrazów z długiego zdania lub tytułu. Autor powinien zadbać o prawidłowe przenoszenie fragmentów zdania do kolejnej linii. Znaczenie mają również wielkość i krój czcionki oraz sposób wypunktowywania. Powinniśmy zachować standardy właściwe plakatom i zadbać o używane kolory pamiętając, że mają one wartość informacyjną.



Slajd 1. Ujęcie tekstu linearne. Slajd nieprawidłowy.

Jakość komunikacji naukowej jest podstawą płynnego przepływu informacji, w XXI wieku połączenie jej z wizualizacją wyników badań staje się wręcz niezbędne i oczekiwane przez odbiorców. Jednym ze sposobów przetwarzania informacji naukowej w postać multimedialną są prezentacje. To one, wzbogacając komunikację ustną, umożliwiają odbiorcom uruchamianie jednocześnie dwóch kanałów sensorycznych: słuchu i wzroku.

W książce znaleźć można rozważania o celu, strukturze i zasadach opracowania slajdów w prezentacjach multimedialnych. Bezcenną pomocą w ewaluacji wystąpień naukowych wzbogaconych prezentacjami będzie z pewnością prezentowany po raz pierwszy w literaturze formularz oceny. Może go wykorzystać zarówno prelegent, jak i słuchacz. Niewykluczone, że okaże się on również przydatny opiekunom doktorantów, prowadzącym zajęcia ze studentami różnych kierunków oraz samym studentom. Jego skróconą i uproszczoną wersję, prezentuję w tym artykule.

Sztuka autoprezentacji

Dzięki formularzowi każdy może się sam ocenić. Można również porównać oceny tego samego wystąpienia dokonane przez różne osoby.

Co interesujące, w książce poświęcono miejsce na analizę błędów i ukazanie krok po kroku zmian, które doktoranci wprowadzali w swoje prezentacje. Zgromadzony materiał to swoistego rodzaju case study, które mogą wykorzystać prelegenci pracujący nad jakością wystąpień. W przykładach zamieszczono slajdy nieprawidłowe i – dla porównania – takie, w których wykorzystawszy tę samą treść, uwzględniono właściwe zasady ich opracowania.

Proces, który jest potrzebny autorowi wystąpienia do uporządkowania i przetworzenia danych, powoduje, że musi on dokonać niezbędnej selekcji, ale też wprowadzić uproszczenia. Wizualizacja tego, o czym mówimy, uatrakcyjnią przekaz. Filmy, zdjęcia, animacje i dźwięk przeciwdziałają monotonii i wyróżniają wystąpienie, nadają mu oryginalności. Dają szansę na utrzymanie uwagi odbiorców i ich zaangażowanie przez cały czas wystąpienia. Prezentacje pomagają również w wyjaśnieniu koncepcji i teorii naukowych. Multimedia wpływają na proces zapamiętywania, dzięki nim prezentowane treści łatwiej przyswoić. Niektóre z prezentacji można opracować w formie interaktywnej. Podsumowując, prezentacje stanowią ważne i coraz bardziej niezbędne narzędzie, pomagając nie tylko naukowcom, ale również studentom, przekazać treść referatu. Uatrakcyjnią przekaz i czynią go bardziej zrozumiałym.

Najważniejsze wskazówki, o których należy pamiętać przygotowując się do wystąpienia, to: zdefiniowanie jasnego celu, zastanowienie się, co chcemy przekazać i ujęcie w jednym, ewentualnie w kilku zdaniach. Prezentacje powinny mieć logiczną i przejrzystą strukturę, nie zawierać zbyt dużej ilości tekstu. Powinniśmy spróbować przetworzyć tekst mający postać linearną na punkty, schematy itp. Jedną z ciekawszych do wykorzystania w tym celu w Power Poincie jest opcja Smart art. Porównajmy, jak wygląda to w praktyce. W slajdach drugim i trzecim zostały użyte opcje Smart Art., a tekst linearny (slajd 1) został przetworzony na punkty (slajdy 2 i 3). Wizualizacja ujęcia punktowego może być różna, w zależności od potrzeb i gustu wykładowcy oraz konwencji całej prezentacji. Slajd 1 jest przeładowany treścią i nieczytelny, przez co staje się mało użyteczny. Slajdy 2 i 3 są prawidłowe.

Niezbędne jest zwrócenie uwagi na nieprzypadkowe wykorzystywanie kolorów, które pełnią funkcję informacyjną. Nie ma dobrych wystąpień bez prób. Niezależnie od tego, czy jesteś doświadczonym prelegentem, mówcą czy prezydentem, warto

OCENA WYSTĄPIENIA

Wyszczególnienie	Punkcja	Miejsce na twoją samoocenę
Prezentacja		
Slajd tytułowy: temat, nazwisko i imię, afiliacja, data	2 pkt	
Slajd z planem wystąpienia	2 pkt	
Oznaczenie cytatów kursywą (lub w cudzysłowie) i źródłem	2 pkt	
Usunięcie spójników itp. z końca linijek	3 pkt	
Prawidłowe wypunktowywanie	3 pkt	
Zawartość treściowa (realizacja tematu, dobór treści, cel wystąpienia, pracochofność)	4 pkt	
Podsumowanie, wnioski	4 pkt	
W bibliografii źródła inf. piśmiennicze i elektroniczne (przynajmniej 6)	4 pkt	
Podanie właściwych elementów opisu źródła w bibliografii	4 pkt	
Właściwe rozmieszczenie wyrazów w nagłówkach „zlepki tematyczne”	4 pkt	
Źródła informacji na slajdach	6 pkt	
Ilość informacji na stronie/forma plakatu	6 pkt	
Użycie opcji Smart Art, kształtów i zdjęć	6 pkt	
Razem	50 pkt	x
Tvoja punktacja	x	
Tvoja ocena	x	
Wystąpienie ustne		
Przedstawienie się	2 pkt	
Zmieszczenie się w wyznaczonym czasie prezentacji	4 pkt	
Poprawność językowa podczas wygłaszania referatu	4 pkt	
Nieczytanie slajdów	6 pkt	
Mówienie z pamięci	6 pkt	
Powoływanie się na źródła podczas wystąpienia	8 pkt	
Razem	30 pkt	x
Tvoja punktacja	x	
Tvoja ocena	x	

Punktacja za prezentację:

50-46	bardzo dobry
45	dobry +
44-37	dobry
36	dostateczny +
35-30	dostateczny
29- ...	niedostateczny

Punktacja za referat ustny:

30-27	bardzo dobry
26	dobry +
25-22	dobry
21	dostateczny+
20-18	dostateczny
17-...	niedostateczny

Opracowanie Mariola Antczak

ćwiczyć. Zdobywamy wówczas pewność siebie, czujemy się przygotowani i przede wszystkim wiemy, ile czasu zajmie nam wystąpienie w praktyce. Nie będziemy musieli przerywać go w połowie tylko dlatego, że skończył nam się czas.

Ćwicz przed lustrem, nagraj się na video, trenuj nawiązywanie kontaktu wzrokowego ze słuchaczami, zwróć uwagę na tempo mówienia i płynność. Poproś bliskich, aby byli pierwszymi słuchaczami i podzielili się wrażeniami z twojego wystąpienia. Im więcej prób, tym będzie łatwiej. Istotne jest, aby po każdym wystąpieniu analizować swoje dobre i słabsze strony. Aby zrealizować ten cel, pomoże ci odpowiedni formularz. Jego rozbudowaną wersję zaproponowałam w artykule zamieszczonym w książce *Wystąpienie naukowe wzbogacone prezentacją:*

ocena i ewaluacja. Tutaj zaproponowałam uproszczoną, zmodyfikowaną wersję.

Nikt nie jest doskonały od razu. Pewność siebie i umiejętności prezentacyjne przychodzą wraz z doświadczeniem. Wspólnie ze współautorami publikacji życzę czytelnikom dobrych występów konferencyjnych, satysfakcji z wykonanej pracy i owocnej komunikacji w świecie nauki. Jeśli opracowanie to choć w części okaże się pomocne w realizacji wskazanych celów, będę więcej niż usatysfakcjonowana.

Dr hab. Mariola Antczak, prof. UŁ,
Katedra Informatologii i Bibliologii Uniwersytetu Łódzkiego

Źródło: opracowanie własne

ZASADY FORMALNE W PREZENTACJI

- ŹRÓDŁA INFORMACJI NA SLAJDACH
- CYTATY KURSYWĄ
- PRZENOSZENIE SPÓJNIKÓW DO NASTĘPNEJ LINIIKI
- DZIELENIE WIERSZY TYTUŁÓW ZGODNIE Z MERYTORYKĄ
- KRÓJ I WIELKOŚĆ CZCIONKI
- WYPUNKTOWYWANIE
- ODPOWIEDNIE KOLORY
- STANDARDY PROJEKTU WŁAŚCIWE PLAKATOWI

Slajd 2. Ujęcie treści w formie punktowej z wykorzystaniem opcji Smart Art. Slajd prawidłowy

Źródło: opracowanie własne

ZASADY FORMALNE OPRACOWYWANIA PREZENTACJI MULTIMEDIALNEJ

oznaczenie cytatów kursywą	przenoszenie spójników do następnej liniiki	dzielenie wierszy dłuższych tytułów zgodnie z merytoryką
prawidłowe krój i wielkość czcionki	prawidłowe wypunktowywanie	dbałość o nienadużywanie znaków interpunkcyjnych
opatrzenie slajdów powołaniami na źródła	wykaz źródeł oraz linków do ilustracji	opisy bibliograficzne konsekwentne i zgodne ze standardami

Źródło: opracowanie własne.

Slajd 3. Ujęcie treści w formie „kaflowej” z wykorzystaniem opcji Smart Art. Slajd prawidłowy.

Zbigniew Kurcz

Od narodowości do mniejszości

Co sprawiło, że stosunki narodowościowe w państwie kształtowały się poprawnie i przebiegały w sposób umożliwiający wszystkim grupom pielęgnowanie własnej tożsamości, mimo że w pewnych okresach inne narodowości summa summarum były liczniejsze od polskiej ludności? Fenomen Rzeczypospolitej szlacheckiej na tle innych państw europejskich ogarniętych waśniami religijnymi i etnicznymi wyjaśnia właściwa jej wielokulturowość, określana przeze mnie mianem wielokulturowości naturalnej.

Wiele już napisano o cudzoziemcach, nazywanych też osadnikami, kolonistami lub obcokrajowcami, którzy przybywali w dawnych wiekach na ziemię polskie. Bogata jest też literatura przedstawiająca narodowości w ramach Rzeczypospolitej Obojga Narodów z udziałem jej rdzennych ludów oraz innych jeszcze cudzoziemców napływających na litewsko-ruskie ziemie. Losy cudzoziemców i niepolskich narodowości rodzimych unijnego państwa wpisały się na trwałe w nasze dzieje, obejmujące także czas zaborów, zmagania o restytucję państwa polskiego oraz stosunki narodowościowe w ramach kolejnych polskich państwowości, to jest Polski międzywojennej, Polski Ludowej i III Rzeczypospolitej. Celem prezentowanej monografii jest bowiem całościowe, przekraczające ramy czasowe epok, ukazanie narodowości cudzoziemskich i niepolskich narodowości rodzimych w biegu dziejów, przedstawienie ich obecności, położenia, dążeń i przemian w ramach poszczególnych polskich państwowości, stosunku do polskiej większości, oczekiwań w zakresie ważnych dla nich praw, ale też zaistniałych z czasem dążeń na rzecz ustanowienia własnych państw. Czyli – nawiązując wprost do tytułu *Od narodowości do mniejszości narodowych w Polsce* – zmierzam do ukazania, co sprawiło, że wybrane narodowości trwały w realiach polskich państwowości, a z czasem większość z nich została uznana za mniejszości narodowe we współczesnej Polsce. Książka ukazuje przebieg transformacji narodowości w mniejszości narodowe ze szczególnym uwzględnieniem wielowiekowych i złożonych relacji z polską większością oraz stosunek Polaków do narodowości, a później do mniejszości w świetle wydarzeń i wyników sondaży socjologicznych. Rozważania oparte są na solidnych założeniach teoretycznych, które zostały przedstawione w obszernym rozdziale poprzedzającym prezentację z poszczególnych okresów polskiej państwowości, a podstawowe kate-

gorie wykorzystane do analiz to: enklawa etniczna, wielokulturowość naturalna, konflikt etniczny.

Narodowości Rzeczypospolitej szlacheckiej

Wielość narodowości w Rzeczypospolitej szlacheckiej ma źródło w różnorodności ich pochodzenia, co wiąże się z wędrówkami na ziemię polskie (głównie z zachodu) i na ziemię litew-



rys. Adam Pędziwol

Rys. 1

Rzeczpospolita szlachecka

Narodowości: Niemcy, Żydzi, Cyganie, Litwini, Rusini, Tatarzy, Ormianie, Karaimi

sko-ruskie (głównie ze wschodu) oraz ze wzrostem terytorialnym państwa w konsekwencji kolejnych unii polsko-litewskich. Powstanie Rzeczypospolitej Obojga Narodów oznaczało, że w granicach państwa obok Polaków znalazły się także inne narodowości rodzime, do których „przyszła Polska” w ramach wzrostu terytorialnego na Wschodzie.

W największym skrócie można te procesy ująć w następujący sposób. Jako pierwsi przybywali Niemcy – już w okresie powstania i krzepnięcia polskiej państwowości, szczególnie licznie zaś po spustoszeniu ziem polskich przez Mongołów, a ich wędrówki trwały ze zmiennym natężeniem do upadku Rzeczypospolitej. Migracje Niemców miały przede wszystkim dobrowolny charakter, często przybywali nawet i na zaproszenie w celu podjęcia pożądanego działania, choć w początkach procesu wskazać można też migracje przymusowe z udziałem jeńców wojennych. Po Niemcach kolejnymi przybyszami byli Żydzi, przede wszystkim jako migranci przymusowi, opuszczający królestwa zachodniej Europy z powodu prześladowań. Jeśli osadnicy z Niemiec, oprócz miast (które często zakładali), zasiedlali i lokowali wsie, to Żydzi osiadali prawie wyłącznie w miastach, często mając się tam takich samych profesji jak Niemcy, co wyzwało rywalizację i niechęć między tymi przybyszami. Trzecią narodowość pod względem liczebności przybywającą z zachodu (a wcześniej też z południa) stanowili Cyganie zmierzający do Polski jako wygnanci w konsekwencji antycygańskiego kursu i represji doświadczanych w Europie Zachodniej. W Rzeczypospolitej Cyganie pozostali nomadami, choć pewne ich odłamy znalazły zajęcie na pańskich dworach jako muzycanci i niedźwiednicy lub po wsiach jako kowale. Na ziemię litewsko-ruskie w różnym czasie przybywali natomiast Tatarzy, w pierw jako jeńcy, później zaś i przede wszystkim w ramach migracji o dobrowolnym charakterze, choć w pewnych okresach także w ramach migracji przymusowych, wyzwolonych konfliktami w Złotej Ordzie i zajęciem niektórych ziem przez Rosję. Po Tatarach kolejną pod względem liczebności grupę przybyszów o orientalnym pochodzeniu stanowili Ormianie. Byli to głównie kupcy i rzemieślnicy osiedli w miastach kresowych. Ormianie stali się kwatermistrzami polskich elit, strolili możnych, zdobili ich siedziby, dostarczali potraw, przypraw i win, ale wytwarzali też sprzęty potrzebne na wojnie, z siódmymi i szabłami na czele. Przybyszami z Orientu byli także Karaimi. Mniej liczni niż Tatarzy i Ormianie, w pierw zasłynęli jako waleczni żołnierze, z czasem sięgali po zawody związane z handlem, pożyczaniem pieniędzy i arendowaniem dóbr, a za sprawą znajomości wielu języków byli też użyteczni jako dyplomaci.

Przegląd narodowości cudzoziemskich należy uzupełnić uwagami w sprawie narodowości rodzimych w Wielkim Księstwie Litewskim. Litwini byli nieliczni, w sposób zwarty zamieszkiwali Aukstotę i Żmudź, gdy na rozległych ziemiach Księstwa sięgającego po Morze Czarne przeważali Rusini. Na dodatek litewskie warstwy dziejotwórcze ulegały wpływom innych, w pierw kulturze bizantyjsko-ruskiej, później zaś, i to na masową skalę – polskiej kulturze. Można zaryzykować stwierdzenie, że elity, a z czasem i inne stany litewskie, podlegały procesowi samopolonizacji, czemu na dodatek sprzyjało wyznaczenie, wspólne dla obu nacji. Drugą narodowością rodzimą byli znacznie liczniejsi Rusini, których elity – podob-

nie jak w przypadku Litwinów – z ochotą przejmowały wartości, wzory i prawa polskiej szlachty, co sprzyjało polonizacji wpływowych stanów książąt i bojarów.

Wielokulturowość naturalna

Co sprawiło, że stosunki narodowościowe w państwie kształtowały się poprawnie i przebiegały w sposób umożliwiający wszystkim grupom pielęgnowanie własnej tożsamości, mimo że w pewnych okresach inne narodowości summa sumarum były liczniejsze od polskiej ludności? Fenomen Rzeczypospolitej szlacheckiej na tle innych państw europejskich ogarniętych waśniami religijnymi i etnicznymi wyjaśnia właściwa jej wielokulturowość, określana przez mnie mianem wielokulturowości naturalnej. W swoich analizach wyróżniłem trzy rodzaje wielokulturowości: racjonalną, celebrowaną i naturalną. Z wielokulturowością racjonalną spotykamy się wówczas, gdy w ramach wieloetnicznego państwa, powstałego zwykle w wyniku zabiorczej polityki, znalazły się liczne grupy o znacznych odmiennościach religijnych, kulturowych i narodowościowych. Wtedy to władze, dla rozwiązania zaistniałych problemów i uniknięcia konfliktów, stwarzają wszystkim zbiorowym uczestnikom możliwość pielęgnowania własnych tradycji, z zastrzeżeniem, że wszyscy oni są zobowiązani do lojalności wobec władcy i państwa. Znakomitym przykładem wielokulturowości racjonalnej była wielonarodowa monarchia Habsburgów, co najpełniej ilustrują praktyki codziennej modlitwy działwy szkolnej wypowiedziane w kilkunastu językach, ale w każdym przypadku z uwzględnieniem pomyślności cesarza i wspólnego kraju. Wielokulturowość celebrowana polega natomiast na propagowaniu ogólnie pomyślanej różnorodności, która nie uwzględnia całych kompleksów kulturowych ani uniwersów właściwych poszczególnym zbiorowościom. Wielokulturowość celebrowana preferuje jedynie wybrane elementy poszczególnych kultur, pozostałe niejako po ich kastracji, stawia na synkretyzm wybranych wartości, jest kolażem kulturowym, projektem kojarzonym potocznie z multi-kulti.

Tymczasem wielokulturowość naturalna właściwa Rzeczypospolitej szlacheckiej kształtowała się przez stulecia, niejako zwyczajowo, niczym *lex non scripta*, pod wpływem migracji cudzoziemców i powiększania terytorium państwowego na mocy porozumienia, którego duch przenikał wszystkie unie polsko-litewskie. Wielokulturowość naturalna brała początek w zróżnicowaniu narodowości cudzoziemskich i rodzimych, w możliwości pielęgnowania własnej odrębności przez poszczególne grupy, ale też w żywiołowym przejmowaniu języków, wartości i kultury od innych. Przybywający cudzoziemcy zabiegali o uzyskanie odrębnego statusu, co umożliwiało trwanie przy swoim języku, religii, kulturze i tradycji. Na co dzień odrębność przybyszów wzmocniał przynany im samorząd, kształtowany na wartościach i tradycjach własnej kultury. W ten sposób poszczególne grupy cudzoziemców i stanowiące je jednostki „żyły po swojemu”, zwykle – i to na własne życzenie – w ramach przestrzennie wyróżnionych enklaw etnicznych. Co zaś dotyczy ludności rodzimej ziem litewsko-ruskich, to ich warstwy dziejotwórcze, a z czasem w procesie naśladownictwa i inne stany, zmierzały w sposób żywiołowy do polskości, gdyż kojarzone z nią obyczaje, prawa i kultura oznaczały speł-



nienie oczekiwań oraz realizację własnych celów. Tak kształtowała się i trwała wielokulturowość naturalna.

Stosunki narodowościowe w Rzeczypospolitej Obojga Narodów

Dzięki istniejącemu łaadowi korzystali wszyscy: przybyłe mogły rozwijać swoje talenty, a ich praca służyła rozwojowi Rzeczypospolitej. Przybyłe pełnili szereg funkcji usługowych w stosunku do społeczeństwa i państwa, podejmując się zadań i dzieł wykraczających poza umiejętności rodzimych narodowości. Wypełniali nisze w gospodarce, stanowili enklawy zawodowe świadczące usługi powszednie i wyszukane, wytwarzali przedmioty codziennego użytku i zbytku. W ten sposób przyczyniali się do zaspokojenia wielu potrzeb ludności, a za sprawą budowli świeckich i sakralnych zmieniali krajobraz kulturowy rozległego kraju. Pełniąc funkcje usługowe, narodowości cudzoziemskie bogaciły się, zyskując więcej niż mogłyby osiągnąć w dawnych miejscach zamieszkania. A ponadto najlepsi w zawodzie, najbardziej dzielni na wojnie, najbogatsi z sukcesem aspirowali do stanu szlacheckiego. Cudzoziemcy nieposiadający własnych państw, a takich była większość – Żydzi, Tatarzy, Ormianie, Karaimi i Cyganie – dzięki zaspokojeniu potrzeb i stabilizacji w obecnym miejscu zamieszkania traktowali Polskę jako nową ojczyznę. Zaistniałe więzi sprzyjały polonizacji, która – jak już sygnalizowałem – objęła też wyższe warstwy narodowości założycielskich Rzeczypospolitej Obojga Narodów, czyli Litwinów i Rusinów. Polska nie zawłaszczała cudzoziemskich narodowości, mogły one pielęgnować więzi ze swoimi współplemieńcami żyjącymi w innych państwach, a to zwiększało ich szanse na powodzenie w zawodzie, prowadzonych interesach, a także sprzyjało rekrutacji nowych przybyszów w granice Rzeczypospolitej. Dla pełnego obrazu w położeniu narodowości cudzoziemskich należy podnieść, że obok harmonijnego współistnienia z narodowościami rodzimymi z czasem występowały też sytuacje konfliktowe. Jednak nie prowadziły one do wyparcia cudzoziemców z zajmowanych pozycji ani do ich exodusu, odnajdywali bowiem modus procedendi w nowych warunkach. Mało tego, trwał ich dalszy napływ i osadnictwo. Działania ograniczające dotychczasowe swobody okazały się mało skuteczne także i dlatego, że ulegały wyzwaniom i potrzebom codzienności. Dla ilustracji wspomnę tu jedynie, że ustawy antycygańskie nie były egzekwowane, gdyż skazani na banicję Cyganie stali się użyteczni dla szlachty w dobrach ziemskich, a niedopuszczani do cechów przez polskich rzemieślników Ormianie znajdowali zatrudnienie dzięki zapotrzebowaniu na ich usługi ze strony króla, magnatów i szlachty.

Czas konfliktów

We wprowadzeniu do rozważań na temat konfliktów z cudzoziemcami oraz z niepolskimi narodowościami rodzimymi należy podjąć próbę wskazania istoty i charakteru występujących sprzeczności, a tym samym rozstrzygnięcia – były to konflikty społeczne czy konflikty etniczne? Z uwagi na przedmiot sprzeczności były to konflikty społeczne. Jeśli jednak uwzględnimy, że stronami w konfliktach były różne narodowości, to z racji ich udziału mogą być też postrzegane jako konflikty etniczne. Takie supozycje wynikają z wąskiego bądź szerokiego rozumienia konfliktu etnicznego. W sensie largo na



Rys. 2

Polska międzywojenna

Mniejszości narodowe: ukraińska, żydowska, białoruska, niemiecka, rosyjska, litewska, czeska, „tutejsi”

miano konfliktu etnicznego zasługuje każdy proces z udziałem grup o odmiennym pochodzeniu i kulturze, także wówczas, gdy przedmiotem konfliktu są kwestie ekonomiczne lub społeczne. W sensie stricto o istocie konfliktu etnicznego rozstrzyga jego przedmiot, czyli prawo do życia we własnej kulturze i korzystania z języka ojczystego. Sygnalizując sprawę konfliktów w Rzeczypospolitej Obojga Narodów z położeniem nacisku na konflikt etniczny w sensie stricto, stwierdzam: przedmiotem konfliktu nie stanowiła odmiennność narodowości wynikająca z kultury, języka ani konfesji, nie kwestionowano praw poszczególnych narodowości do życia w świetle bliskich im wartości, wszak stanowiło to podstawę wielokulturowości naturalnej. Niemniej w przypadku występujących sprzeczności strony konfliktów kojarzone były z narodowościami. Sprzeczności te wynikały z dominacji i uprzywilejowania najliczniejszych cudzoziemców, to jest Niemców i Żydów. Nacje te przejęły zawody miejskie, tymczasem aspiracje do nich coraz częściej zgłaszało polskie mieszczaństwo zabiegające o miejsce i korzyści dla siebie.

Konflikty etniczne w ścisłym tego słowa znaczeniu ujawniły się po upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, na znaczeniu zyskując pod koniec XIX stulecia, żeby swoje apogeum osiągnąć w Polsce międzywojennej. Głównymi podmiotami w tych konfliktach stały się/były narodowości rodzime, to znaczy Litwini, prawosławni Rusini, których elity głosiły powstanie narodu białoruskiego oraz Rusini kojarzeni z Małą Rusią, oznajmiający istnienie narodu ukraińskiego. Przy czym już we wstępie do rozważań należy zwrócić uwagę na współwystępowanie konfliktów etnicznego i społecznego, bowiem przodownicy narodowości rodzimych często podnosili dominację polskiej własności ziemskiej i ucisku ekonomicznego rodzimych mas ludowych.

Początek sygnalizowanym tu konfliktom dało odradzanie się zagubionej w biegu dziejów litewskości oraz kształtowanie

się białoruskiego i ukraińskiego poczucia narodowego. W każdym przypadku, choć najbardziej w sytuacji Litwinów, bodźcem do poszukiwań i podnoszenia własnej odrębności była kulturowa polskość i polski stan posiadania na ziemiach kresowych. Narodziny nowych narodów następowały w opozycji do polskości i w konfrontacji z polskością, w przypadku Litwinów łączoną z językiem i kulturą, w przypadku Rusinów czynnikiem dystynktywnym była też religia, bo przeważali prawosławni bądź grekokatolicy. Na dodatek odmienne były pozycje narodowości: Polacy to właściciele ziemscy lub ludzie pracy umysłowej, ludność rodzima to w zdecydowanej większości chłopci. Wszystkie trzy narodowości rodzime, to jest Litwini, Białorusini i Ukraińcy, działali zbrojnie na rzecz utworzenia własnego państwa w rywalizacji z Polakami, co udało się osiągnąć jedynie Litwinom.

W Polsce międzywojennej

Wraz z restytucją państwa polskiego po I wojnie światowej powróciła kwestia narodowości, które w świetle powersalskich rozstrzygnięć stały się mniejszościami narodowymi w Polsce. Analiza stosunków z udziałem tych mniejszości pozwoliła mi na wyróżnienie trzech kategorii procesów: „wojna na mniejszości”, „wojna z mniejszościami”, „wojna o mniejszości”. W wyniku ładu powersalskiego zmieniły się granice, powstały nowe państwa, zmianie uległ kształt terytorialny państw istniejących wcześniej. Zmianom granic tylko w niewielkim stopniu towarzyszyły transfery ludnościowe. W granicach odrodzonej Polski znalazły się liczne mniejszości: Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi, Tatarzy, Ormianie, Karaimi i liczący prawie trzy czwarte miliona „tutejsi”, to znaczy głównie Polacy, zmierzający dopiero do identyfikacji narodowych. Sygnalizowana wcześniej „wojna na mniejszości” dotyczyła Litwinów i Niemców, bowiem ich położenie było konsekwencją stosunku Litwy i Nie-

miec do żyjących tam Polaków. Przedmiot konfliktów stanowiła zarówno ochrona tożsamości narodowej tych grup (szkolnictwo, działalność społeczno-kulturalna), jak też kwestie własności: w przypadku mniejszości litewskiej – ziemi, w przypadku mniejszości niemieckiej – ziemi na Pomorzu i w Wielkopolsce oraz przemysłu na Górnym Śląsku.

„Wojna z mniejszościami” dotyczyła Białorusinów i Ukraińców. Państwo zmierzało do ich integracji/asymilacji. Sami zaś Ukraińcy i Białorusini, choć przede wszystkim ich elity, w swoich programach podnosili prawo do własnej państwowości, głosząc, że dążą do tego samego, co wcześniej Polacy. Jednak część elit ukraińskich i białoruskich godziła się ze statusem mniejszościowym swoich grup, domagając się zarazem poszerzenia praw w zakresie pielęgnowania własnej kultury, rozwoju oświaty, większego udziału w życiu społecznym oraz uwzględnienia ich w parcelacji majątków polskich właścicieli na ziemiach kresowych. Część komunizującej ludności wschodniego pogranicza wspierała zbrojną dywersję sowiecką, a nacjonalisci ukraińscy sami podejmowali się dywersji wymierzonej w polską zwierzchność.

„Wojna o mniejszości” dotyczyła wspomnianych już Poleszaków, żyjących w rozległym województwie poleskim. O pozyskanie Poleszaków dla siebie zabiegały polskie władze, a z osobną organizację białoruskie i ukraińskie. Ponadto występowały konflikty z Żydami, przy czym przedmiot stanowiły głównie kwestie społeczno-ekonomiczne wynikające z pozycji żydowskiego mieszczaństwa, nadreprezentacji Żydów w dochodowych zawodach (lekarze, prawnicy) oraz z działaniem władz na rzecz modernizacji i integracji państwa po rozbiorach. W stosunkach z mniejszością żydowską, obok konfliktów, zaznaczyła się też współpraca. Polska w porozumieniu z Żydami-syjonistami prowadziła przygotowanie zawodowe dla kandydatów na rolników i szkoliła kadry zawodowe na potrzeby przyszłego państwa żydowskiego. Zdecydowanie dobrze byli natomiast traktowani Tatarzy. Mniejszość ta prowadziła ożywioną działalność społeczno-kulturalną i religijną dotowaną przez państwo, a władze – w nawiązaniu do tradycji i z myślą o rekrutach z tatarskich rodzin – powołały szwadron tatarskiej kawalerii wykorzystujący buńczuk ze znakiem półksiężyca.

Polska Ludowa wobec mniejszości

W konsekwencji II wojny światowej Polska kolejny raz zmieniła granice, czemu towarzyszyły transfery narodowościowe. Rozpoczęły się one jeszcze w 1944 roku, gdy ze wschodnich obszarów przyszłej Polski władze sowieckie wysiedlały Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, a dopełniły tego powojenne wysiedlenia ludności niemieckiej i repatriacja/ekspatriacja ludności polskiej z dawnych województw kresowych, które weszły w skład socjalistycznych radzieckich republik – białoruskiej, litewskiej i ukraińskiej. Władze zmierzały do jednonarodowości w nowych państwach, czemu sprzyjały zmiany terytorialne, przymusowe i dobrowolne migracje, później zaś prowadzona polityka. Co należy tu podkreślić, polityka państwa miała zrozumienie wśród Polaków w obliczu wcześniejszych doświadczeń z mniejszościami, które w okresie II wojny światowej prowadziły wrogą działalność wobec polskiej ludności bądź wprost wspierały okupantów, z płonną jak miało się okazać nadzieją na wsparcie dla idei własnych państwowości. W początko-



rys. Adam Pędziwol

Rys. 3

Polska Ludowa

Mniejszości narodowe: ukraińska, białoruska, żydowska, cygańska, rosyjska, niemiecka, słowacka, grecka, macedońska, czeska

wym okresie PRL za przyzwoleniem władz zaznaczyła swoją aktywność mniejszość żydowska, co trwało do czasu masowych wyjazdów w 1948 roku, później w latach 1950-1956 mniejszość niemiecka. Pod wpływem wyzwań ekonomicznych władze wstrzymały wysiedlanie Niemców, stawiając na ich stabilizację w społeczeństwie polskim po przyznaniu praw w zakresie języka i kultury. Jednak wraz z nastaniem większej demokracji w obozie państw socjalistycznych, prawie wszyscy pozostali jeszcze Niemcy wyjeżdżali, zwykle do NRD, choć niektórzy i do RFN. Okres PRL to czas marginalizacji mniejszości. Władze prawie nie korzystały z mniejszościowych kategoryzacji. Zamiast mniejszości narodowych byli Białorusini, Żydzi, Niemcy itp., co też najlepiej ilustrują nazwy organizacji koncesjonowanych i pozostających pod kontrolą władz: Niemieckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Jedyną mniejszością, chciałyby się rzec, hołubioną przez władze byli Grecy, a właściwie Grecy i Macedończycy, czyli uchodźcy polityczni z powojennej Grecji, osiedlani też w innych państwach obozu socjalistycznego. W Polsce obie te narodowości otrzymywały mieszkania i pracę, młodzież z ich kręgów korzystała z preferencji przy rekrutacji na studia, a w opracowaniach grupy te zaliczano do mniejszości narodowych.

Arkadia w III Rzeczypospolitej

W ostatnim okresie Polski Ludowej coraz wyraźniej zaznaczała się działalność opozycji contestującej istniejący ład, a także obecność mniejszości zabiegających o więcej praw (głównie Niemcy i Ukraińcy), co wskazuje na wspólne Polakom i mniejszościom narodowym dążenia do korzystania z większej wolności. Opozycja w swoich programach i okolicznościowych adresach kierowanych do mniejszości oczekiwała ich poparcia dla swoich działań, deklarując zarazem spełnienie oczekiwań zgłaszanych przez mniejszości. Na progu lat dziewięćdziesiątych XX w. swoje istnienie ujawniały kolejne grupy mniejszościowe, zgłaszając postulaty w zakresie praw umożliwiających pielęgnowanie własnej tożsamości. Aktywność mniejszości wyzwała rozmaite reakcje wśród Polaków. Jedni z zainteresowaniem i zadowoleniem przyjmowali etniczne zróżnicowanie społeczeństwa, inni – sięgając pamięcią do dawnych konfliktów z mniejszościami – wyrażali dezaprobatę i bojaźń. Odmiennie spojrzenie na mniejszości najlepiej dokumentuje/odzwierciedla kilkunastoletni dyskurs w sprawie zasadności ustawy o ochronie mniejszości. Jej przeciwnicy podnosili bowiem, że równe prawa zapewnia mniejszościom już Konstytucja RP, a zapisy ustawy będą stanowić uprzywilejowanie. Ostatecznie Ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym została przyjęta w 2005 roku. Przestrzeganie tej ustawy monitorują gremia z udziałem władz państwowych i mniejszości (Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP i Komisja Wspólna Rządu oraz Mniejszości Narodowych i Etnicznych). Ustawa oraz przyjęte wcześniej regulacje w sprawie zwolnienia komitetów mniejszościowych z progu 5% w wyborach do Sejmu stwarzają mniejszościom nieznanym w innych państwach szansę na obecność w parlamencie. Mniejszości z sukcesem uczestniczą w wyborach samorządowych, posiadają wójtów i burmistrzów ze swoich środowisk, są waż-

nymi koalicjantami w niektórych sejmikach wojewódzkich. Ustawa, instytucje nadzorujące jej przestrzeganie i zwolnienie z progu wyborczego sprawiły, że mniejszości narodowe w Polsce uzyskały znaczne możliwości pielęgnowania własnych tożsamości i udziału w życiu publicznym. W świetle kolejnych badań CBOS wzrasta sympatia do poszczególnych mniejszości i akceptacja dla posiadanych praw. Jeśli zdarzają się konflikty, to dotyczą one przeszłości, jej odmiennych interpretacji, sposobu i symboliki upamiętnień. Ale w takich przypadkach do rozwiązania zaistniałych sprzeczności powoływane są komisje z udziałem władz i mniejszości. W świetle ustawy z 2005 r. następujące mniejszości uznaje się za mniejszości narodowe w Polsce: białoruską, czeską, litewską, niemiecką, ormiańską, rosyjską, słowacką, ukraińską, żydowską. Wśród warunków służących wyróżnianiu mniejszości narodowych za najważniejsze należy uznać utożsamianie się danej grupy z narodem zorganizowanym we własnym państwie oraz przynajmniej stuletnią obecność przodków tej grupy na obecnym terytorium Rzeczypospolitej. Oprócz mniejszości narodowych ustawa z 2005 r. wyróżnia mniejszości etniczne: karaimską, łemkowską, romską, tatarską. Spojrzenie na obecność mniejszości narodowych w trzech ostatnich okresach polskiej państwowości pozwala na dostrzeżenie kreacyjnej funkcji państwa w sprawach narodowościowych, bowiem to państwo wskazuje, jakie grupy zasługują na miano mniejszości narodowej i nadaje im prawa.

Artykuł odnosi się do badań opisanych w książce *Od narodowości do mniejszości narodowych w Polsce* opublikowanej przez Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.

Prof. dr hab. Zbigniew Kurcz, socjolog, Zakład Socjologii Pogranicza, Uniwersytet Wrocławski



Rys. 4

III Rzeczypospolita

Mniejszości narodowe: niemiecka, ukraińska, białoruska, żydowska, rosyjska, litewska, czeska, słowacka, ormiańska

Kiedy słyszymy „głosy”

Mechanizmy powstawania werbalnych halucynacji słuchowych

Pomiędzy osobą a utrwalonym „głosem” nawiązuje się związek, który nosi znamiona typowej relacji, jaka powstaje pomiędzy ludźmi. „Głosy” nabierają cech realnie istniejącego bytu, a poprzez złożony proces personifikacji stają się towarzyszami życia osoby ich doświadczającej.

Obraz kliniczny schizofrenii obejmuje objawy wytwórcze – omamy oraz urojenia. Ich obecność traktowana jest jako jej cecha charakterystyczna (inaczej patognomoniczna). Objawy te są także usankcjonowane w aktualnie obowiązujących kryteriach diagnostycznych. Ich występowanie w obrazie psychopatologicznym oddziela istniejące w psychiatrii stany „poważne” (znane w literaturze jako severe mental illness, SMI) od stanów i objawów „mniej poważnych” (zaburzeń reaktywnych, osobowościowych i nerwicowych). Oczywiście powyższe stwierdzenie jest uproszczeniem, niemniej pokazuje jedną z linii podziału zbudowaną na podstawie obecności lub braku objawów psychotycznych.

Książka pt. *O słyszeniu głosów. Omamy słuchowe w teorii i praktyce klinicznej* ma za zadanie poszerzyć kontekst rozumienia werbalnych omamów słuchowych, zaprezentować je w taki sposób, aby uwzględnił on dodatkowe modele powstawania i podtrzymywania „głosów”. W sposób szczególny także traktuje utrwalone omamy słuchowe, czyli takie, które występują stale u pacjenta, pomimo stosowania złożonego leczenia farmakologicznego.

Doświadczenie słyszenia głosów przy braku odpowiedniego bodźca zewnętrznego, opisywane w literaturze psychiatrycznej jako halucynacje słuchowe werbalne (auditory verbal hallucinations, AVH), jest objawem wielu zaburzeń psychicznych. Z tego też powodu możemy mówić o „głosach” jako objawie transdiagnostycznym. Mimo że najczęściej stwierdza się je u około 70% osób z diagnozą schizofrenii, to można je również spotkać u osób z innymi diagnozami psychiatrycznymi, w tym chorobą afektywną dwubiegunową, jednobiegunową, zaburzeniem osobowości z pogranicza, zespołem stresu pourazowego, a także w grupie nieklinicznej (nielezionej psychiatrycznie części populacji). Obecność „głosów” w populacji nieklinicznej coraz częściej uznawana jest za aspekt codziennego, niezwiązanego z diagnozą psychiatryczną doświadczenia. Świadomość tego, że „głosy” mogą występować u osób niespełniających kryteriów schizofrenii czy innej choroby psychicznej, jest w Polsce mocno kontrowersyjna. W literaturze opisywane jest pojęcie doświadczeń podobnych do psychotycznych (PLEs, psychotic-like experiences). Jest ono definiowane jako zjawisko leżące na kontinuum objawów psychotycznych. Wśród szerokiego wachlarza

zjawisk znajdują się m.in.: iluzje słuchowe, wyobrażenia urojeniowe, halucynacje i urojenia o nasileniu subklinicznym aż do pełnych objawów psychotycznych. Badania dotyczące kontinuum objawów psychotycznych doprowadziły z jednej strony do wzrostu zainteresowania zjawiskiem „słyszenia głosów” u osób bez żadnej diagnozy psychiatrycznej, z drugiej strony skierowało uwagę badaczy na subiektywne aspekty i przeżycia tego doświadczenia w grupach osób z diagnozą psychiatryczną. Badania te skupiły się również na wspólnych elementach opisu i nakładaniu się niektórych aspektów fenomenologii „słyszenia głosów” w obu grupach (klinicznej i nieklinicznej). Jak wiemy z badań, „głosy” w grupie klinicznej i nieklinicznej poza aspektami wspólnymi mają także swoje odrębności. Wśród elementów wspólnych znajduje się to, co „głosy” opisuje, czyli ich charakter werbalny, brzmienie i cechy fizyczne, zaś elementy opisu różniące obie grupy to częstotliwość, nasilenie „głosów” i poczucie kontroli nad „głosami”. Ciekawie, intrygująco przedstawia się to, jak współcześnie prezentuje się rozumienie mechanizmów powstawania werbalnych halucynacji słuchowych. Możemy wyjaśniać je w kategoriach różnych wzorców powiązań między leżącymi u ich podstaw mechanizmami, w tym neurobiologicznymi, poznawczymi czy psychologicznymi. W książce staram się pokazać, że doświadczanie halucynacji słuchowych możemy postrzegać jako zjawisko ciągłe, umiejscowione na kontinuum od łagodnego doświadczenia wewnętrznego po stan patologiczny. Próbuje także uchwycić i opisać, na czym polega fenomen, przeżywania „głosów” przez osoby z grupy klinicznej i nieklinicznej. Dlaczego u niektórych osób nie wywołuje to cierpienia, a u innych jest związane z poważną chorobą i zaburzeniem codziennego funkcjonowania. Zastanawiające jest także to, czy bezpośredni, fenomenologiczny opis cech „głosów” w obu grupach powinien być traktowany jako wskazujący na ciągłość mechanizmów ich powstania i podtrzymania. Na to pytanie także staram się udzielić odpowiedzi w książce.

„Głosy” przybierają kształty postaci

Ukazanie się publikacji wskazujących na występowanie halucynacji słuchowych w populacji nieklinicznej było jednym z powodów zmiany podejścia do terapii osób z halucyna-

cjami słuchowymi. Postanowiono skupić się na nefarmakologicznych formach wsparcia czy terapii. Osoby, dla których słyszenie „głosów” nie wiąże się z doświadczeniem znaczącego cierpienia, nie zgłaszają się po pomoc czy leczenie, a „głosy” stają się istotną częścią ich życia. Pomiedzy osobą a utrwalo-nym „glosem” nawiązuje się związek, który nosi znamiona typowej relacji, jaka powstaje pomiedzy ludźmi. „Głosy” nabierają cech realnie istniejącego bytu, a poprzez złożony proces personifikacji stają się towarzyszami życia osoby ich doświadczającej. Pacjenci wyobrażają sobie, jak „głos” może wyglądać, nadają mu kształt. Spytani o to wyobrażenie mogą odpowiedzieć, że wygląd przypomina im kolegę z podwórka, sąsiada, członka rodziny czy inną osobę napotkaną zupełnie przypadkowo. Męska płec „głosu” pociąga za sobą wyobrażenie postaci o męskich cechach lub po prostu mężczyzny, żeńska natomiast wyobrażenie kobiety. Nie zawsze jednak podział jest tak prosty a wyobrażenie typowe, zdarzają się bowiem „głosy”, które są bezzwicznych czy nijakie, zaś wyobrażenia zamazane, nie-realne. W objawie poszukuje się elementów związanych z kontekstem życia osoby, wspólnych powiązań pomiedzy biografią, doświadczeniem choroby a miejscem objawu i jego charakterem. Wyobrażenie głosu i jego personifikacja wzmacniają przekonanie pacjentów na temat „głosu”.

W książce używam takich określeń jak pacjent, osoba doświadczająca „głosów”, zaś na samo zjawisko – objaw, fenomen, doświadczenie, co tworzy wrażenie niekonsekwencji w podejściu do problemu i czerpanie z pojęć przynależnych do nomenklatury medycznej, a później wycofywanie się z niej. Tę niekonsekwencję traktuję na tym etapie jako naturalny proces, w którym zaznaczam, że nie zawsze „głosy” są problemem medycznym.

Książka rozpoczyna się od krótkiego wstępu historycznego, w którym próbuję pokazać niejednoznaczność pojęcia oraz to, jak trudne było określenie, czym są „głosy”. Zadaję pytanie, czy w przeszłości rozstrzygnięto, czy jest to objaw pochodzenia ośrodkowego czy obwodowego, czy jest związany ze sferą sensoryczną i jak integrowano różne pomysły definiowania „głosów”. Nie zawsze także głosy traktowało się jako objaw patognomiczny choroby psychicznej, zdarzały się interpretacje, które łączyły wierzenia, duchowość czy wpływ sił zewnętrznych. Czasem ze względu na te doświadczenia osoby były podziwiane, a czasem ganione czy wręcz wykluczane ze społeczności.

Różne etiologie „głosów”

Dominującym modelem rozumienia „głosów” jest koncepcja biomedyczna, zgodnie z którą objawy są efektem nieprawidłowego funkcjonowania neuroprzekazników w obrębie ośrodkowego układu nerwowego. Hipoteza dopaminowa – teoria, która tłumaczy objawy schizofrenii nieprawidłową aktywnością szlaków dopaminergicznych w mózgu, poparta jest silnym wpływem skuteczności leków. Konsekwencją tego jest stosowanie w leczeniu objawów wytwórczych, leków o potencjale przeciwpsychotycznym. Warto jednak pamiętać, że jest to także objaw, który pomimo stosowania leków nie ustępuje, a czasem staje się utrwalo-ny i przewlekły. Uzupełnieniem tej koncepcji są inne, rzadziej podejmowane opisy modeli rozumienia etiologii „głosów”. Wśród koncepcji poznawczych istotne wydają się te dotyczące monitorowania źródła. Termin monitorowanie źródła odnosi się do różnych procesów poznawczych, których ludzie używają w celu ustalenia, czy doświadczenie ma swoje źródło w jaźni (wewnątrzpochodne), czy też pochodzi ze źródła zewnętrznego. Przekonanie, że halucynacje słuchowe pochodzą z zewnątrz lub są rzeczywistymi bytami niezależnymi od „ja”, można uznać za błąd w monitorowaniu źródła. Innym przykładem jest model predykcyjny związany z opisanym wpływem



oczekiwań na powstanie „głosów”. W tym modelu silne nastawienia i przewidywania sprzyjają doświadczaniu halucynacji. Dysonans lub innymi słowy niedopasowanie między przekonaniami ukształtowanymi na podstawie wcześniejszych doświadczeń a sygnałami napływającymi z zewnątrz prowadzą do błędów przewidywań.

Niezwykle ciekawy jest wątek podejścia fenomenologicznego do halucynacji słuchowych. Badania z obszaru fenomenologii psychiatrii skupiają się na zaburzeniach w obszarze podmiotowości, wskazując, że zaburzone doświadczanie siebie lub jaźni może leżeć u podstaw wielu objawów psychotycznych, w tym „głosów”. Często jest przytaczany model, który łączy pojęcie „ipseity” z zaburzeniami ze spektrum schizofrenii. Model zaburzeń ipseity, opracowany przez Louisa Sassa i Josefa Parnasa, przedstawia zniekształcenie/niestabilność ja (definiowane jako „ja minimalne” odpowiadające za doświadczania pierwszoosobowe, odczuwane „przez mnie”) jako składające się z dwóch uzupełniających się aspektów: nadmiernej refleksyjności (hiperrefleksyjności) i zmniejszonego doświadczania siebie. Podczas gdy hiperrefleksyjność odnosi się do zwiększonej świadomości aspektów doświadczania, elementów niejawnych czy ukrytych, zmniejszone doświadczanie siebie odnosi się do osłabionego poczucia istnienia „ja” jako podmiotu. Kiedy podstawowe wymiary osobowości są zakłócone, rezultatem może być zmniejszenie poczucia siebie jako bezpośredniego i dynamicznego centrum doświadczania oraz tendencja do przyjmowania tła doświadczania jako obiektu uwagi lub analizy (hiperrefleksyjność). Takie zmiany w doświadczaniu siebie są prawdopodobnie odczuwalne na długo przed pojawieniem się doświadczeń psychotycznych, ale mogą również ewoluować w pozytywne, negatywne i zdeorganizowane objawy w okresach ostrej psychozy.

Dialogi z awatarem

W kolejnej części książki opisane są koncepcje, które zakładają się na konkretne podejścia terapeutyczne. W książce obie opisane części są komplementarne. Część I, w której omawiam stan badań dotyczący różnych teorii rozumienia przewlekłych „głosów”, oraz część II, w której omawiane są przypadki kliniczne, gdzie zaprezentowane są przykłady pracy terapeutycznej.

Część druga zawiera omówienie aktualnie rozwijających się podejść, przy czym większość z nich opiera się na założeniach terapii poznawczo-behawioralnej (cognitive-behavioral therapy, CBT) oraz terapii związanej z „trzecią falą CBT”. Prezentowane w książce modele pracy terapeutycznej z powodzeniem można stosować jako metodę uzupełniającą leczenie farmakologiczne lub w sytuacji stabilnego stanu psychicznego, kiedy osoba „słyszy głosy” i nie chce wspierać się farmakoterapią. Teorie poznawcze omamów słuchowych skupiają się na wyodrębnieniu procesów i zjawisk poznawczych biorących udział w powstawaniu i podtrzymywaniu objawu. Ich założenia dotyczą wpływu oceny poznawczej i nieprawidłowych procesów poznawczych na reakcje emocjonalne oraz behawioralne powstające w odpowiedzi na „głosy”. Według koncepcji poznawczych w treści omamów słuchowych uwidaczniają się nadaktywne, często destrukcyjne treści schematów poznawczych. W terapii poznawczo-behawioralnej schematy poznawcze pełnią bardzo ważną rolę w procesie poznawania i rozumienia świata. Porządkują wiedzę i pozwalają szybciej nadać sens doświadczeniom. Powstają w oparciu o wcześniejsze zdarzenia i sytuacje. Aktywacja dysfunkcyjnych schematów staje się dla pacjenta źródłem dyskomfortu, wzbudzenia emocjonalnego i całego szeregu innych negatywnych konsekwencji, które mogą prowadzić do zaburzeń psychicznych. W książce jest ponadto opisany model pracy z halucynacjami o typie nakazującym, powstały również w oparciu o model poznawczo-behawioralny.

Ciekawym podejściem są także terapie wykorzystujące podejście relacyjne do terapii utrwalonych omamów słuchowych. Badania wskazują, że na sposób wchodzenia w relację z „głosami” mają wpływ doświadczenia w relacjach społecznych z przeszłości. „Głosy”, które przypominają osoby z przeszłości lub kojarzone są z takimi osobami, mogą aktywować schematy interpersonalne, które zdecydują o sposobie interakcji z „głosami”. Jeśli osoba doświadczająca „głosów” miała negatywne doświadczenia społeczne, w relacji z „głosami” wykorzysta zachowania i strategie, które sprawdziły się przy podobnym typie relacji w życiu realnym. Rozwinięciem tej koncepcji jest terapia z użyciem awatara w pracy z osobami doświadczającymi utrwalonych „głosów”. Terapia z użyciem awatara jest nowym i dobrze się zapowiadającym podejściem. W opisywanej interwencji kontekst terapeutyczny umożliwiony jest poprzez dialog „twarzą w twarz” między osobą a komputerową reprezentacją oddającą charakter doświadczeń omamowych pacjenta. Dodatkowe oprogramowanie komputerowe służy także do zmiany głosu terapeuty w taki sposób, aby oddawał cechy charakterystyczne doświadczeń omamowych. Terapeuta wspólnie z pacjentem omawiają to, jak pacjent wyobraża sobie „głos”, następnie starają się wiernie oddać jego obraz na ekranie kom-

putera. Po tej części pracy pacjent podejmuje z awatarem dialog. Założeniem terapii jest tutaj nawiązanie relacji z „głosem”, jej ujawnienie po to, aby terapeuta mógł ją modyfikować znanymi sobie metodami terapeutycznymi. W Polsce również podjęte zostały próby pracy terapeutycznej z pacjentami z utrwalonymi „głosami” krótkoterminową terapią z użyciem awatara.



Rys. Sławomir Makal

Każdy pacjent jest inny

Nieco innym podejściem są kierunki rozwijane od lat 80., które poszerzały o kontekst biograficzny rozumienie omamów słuchowych. Ich reprezentantem jest m.in. Ruch Osób Słyszących Głosy (The Hearing Voices Movement). Został on zapoczątkowany przez holenderskiego psychiatrę Mariusa Romme'a,

Sandrę Escher oraz osobę słyszącą „głosy” Patsy Hage w 1980 roku. Pierwsza praca Romme i Escher zawierała opisy 20 osób słyszących głosy, niebędących pacjentami. W 1987 roku został zorganizowany pierwszy Kongres Osób z Głosami. Romme i Escher, po analizie klinicznej wielu historii zdrowienia osób z głosami, zaproponowali etapy radzenia sobie z głosami. Obejmowały one fazę: 1) zaskoczenia, 2) organizacji i 3) stabilizacji. Obaj badacze uważali, że ograniczanie rozumienia „słyszenia głosów” do zjawisk biologicznych i patologicznych jest niekorzystne i zuboża perspektywę patrzenia na objaw.

Na końcu książki znajduje się krótki przewodnik dla terapeuty. W jego ramach został zamieszczony konспект wywiadu, jaki warto przeprowadzić z pacjentem doświadczającym utrwalonych „głosów”. Czytelnik zauważy, że proponowana wersja wywiadu nie skupia się tylko na omawianiu objawów psychopatologicznych, których pacjent doświadcza, a na wielu aspektach „głosów”, w tym na strategiach radzenia sobie z „głosami”, wyobrażeniu „głosów”, opisach cech fizycznych, czy opisie relacji z „głosem”. Jest to sposób rozmowy o „głosach” różniący się od typowego medycznego wywiadu. Głównym założeniem stosowania psychoterapii u pacjentów z przewlekłymi „głosami” jest zmiana stosunku pacjenta do objawu, zmniejszenie jego nasilenia oraz poprawa funkcjonowania życiowego. W terapii uwzględnia się takie czynniki jak cechy fizyczne „głosu”, kontekst życiowy pacjenta czy inne współwystępujące objawy, co daje bardzo szeroką perspektywę rozumienia objawu.

Oczywiste jest, że każdy pacjent z utrwalonymi „głosami” jest inny w sensie klinicznym, za każdym razem wymaga to przemyślenia procesu terapii, włączanych technik i stworzenia indywidualnej konceptualizacji przypadku.

W książce są przytoczone dwa opisy kliniczne, dwóch różnych pacjentów (opisy zostały stworzone jako przykłady na podstawie wielu przeprowadzonych terapii). W każdym opisie uwypuklone są inne obszary problemowe, wskazane są też elementy złożone, zahażające o inne objawy, jak lęk czy urojenia, tak aby opisy podążały za złożonością pracy klinicznej.

Na koniec kilka uwag dotyczących książki. Książka nie powstała jako alternatywa do modelu biomedycznego, jej zadaniem jest poszerzenie perspektywy i uzupełnienie wiedzy z innych ważnych i badanych obszarów rozumienia halucynacji słuchowych. Jej zadaniem jest włączenie nowej perspektywy, a nie jej zmiana. W książce również nie proponuję zmiany metody leczenia, najczęściej pacjenci z utrwalonymi „głosami” przyjmują leczenie farmakologiczne, ale uważam, że to jest zbyt ograniczające podejście.

Książka ma za zadanie także rzucić nowe światło na pozycje objawu w diagnostyce psychiatrycznej, pokazać je w świetle transdiagnostycznym. Ma także cel związany z przeciwdziałaniem stygmatyzacji i autostygmatyzacji.

Artykuł omawia zawartość książki *O słyszeniu „głosów”. Omamy słuchowe w teorii i praktyce klinicznej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2023.

Dr n. med. Izabela Stefaniak, psychiatra, psychoterapeuta, superwizor Polskiego Towarzystwa Terapii Poznawczej i Behavioralnej



Łowca nazistów

Po wojnie zajął się przesłuchiwaniami niemieckich zbrodniarzy i gromadzeniem materiału dowodowego dotyczącego ich czynów. Jego przewaga nad innymi była taka, że oprócz ogromnej wiedzy z zakresu prawa, kryminologii i psychologii, biegle posługiwał się językiem niemieckim.

Młodość i pierwsze kroki zawodowe

Jan Sehn urodził się 22 kwietnia 1909 roku w Tuszowie Małym. Jego rodzina miała korzenie wśród niemieckich kolonistów osadzonych na terenie ówczesnej Galicji. Gdy miał osiem lat, zmarła jego matka. Będąc uczniem gimnazjum w Mielcu, mieszkał już poza domem rodzinnym. Świadectwo maturalne Jana Sehna nie zawiera szczególnie dobrych stopni, choć było wystarczające, żeby dostać się na prawo Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studia ukończył z sukcesem i w roku 1933 uzyskał magisterium. W czasie studiów angażował się w pracę Legionu Młodych.

Po studiach został aplikantem sądowym przy Sądzie Okręgowym w Krakowie. Pierwsze dwa lata były trudne, ponieważ Sehn nie miał etatu. Przez krótki czas był nawet komornikiem, ale zrezygnował z tego zajęcia po kilku miesiącach. Od 1935 r. współpracował z Marianem Restorffem (1903-1974), który miał opinię najlepszego sędziego śledczego w mieście. Od 1938 roku Sehn był asesorem i pełnił obowiązki sędziego śledczego.

Dla niewtajemniczonych w nomenklaturę zawodów prawniczych: praca sędziego śledczego polega na prowadzeniu postępowania przygotowawczego, czyli na przesłuchiowaniu świadków i gromadzeniu dowodów. Sehn zasłynął z rozwikłania zagadki tajemniczej śmierci trzech młodych lekarzy w komorze kompresyjnej Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie. Ustalił, że przyczyną nieszczęśliwego zdarzenia było wzniesienie otwartego ognia od papierosa. Sehn doskonalił swoją wiedzę z zakresu kryminalistyki. Zapoznawał się z metodami medycyny sądowej, toksykologii sądowej, trasologii (badanie śladów stóp, kół itp.) i innych działów wiedzy przydatnych w dochodzeniach śledczych. Według współpracowników, kryminalistyka była jego życiową pasją.

Życie pod okupacją i pierwsze powojenne zadanie

Po wybuchu II wojny światowej nie chciał podpisać volklisty i uczestniczyć w pracach niemieckiego aparatu sprawiedliwości. W sierpniu 1940 r. ożenił się z Zofią Puskarczyk, księgową pochodzącą z dobrze sytuowanej krakowskiej rodziny. W listopadzie 1940 r. dostał pracę w Stowarzyszeniu Restauratorów i Pokrewnych Zawodów, w czym pomocna była rodzina małżonki. Stowarzyszenie była organizacją polską, która rozdzielała towary pomiędzy obiekty restauracyjne w mieście. Z czasem Niemcy zaczęli coraz bardziej kontro-

lować stowarzyszenie, co doprowadziło do zamknięcia wielu lokali w mieście.

Po wojnie Sehn wrócił do pracy w sądownictwie. Zajął się przesłuchiwaniami niemieckich zbrodniarzy i gromadzeniem materiału dowodowego dotyczącego ich czynów. Jego przewaga nad innymi polegała na tym, że oprócz ogromnej wiedzy z zakresu prawa, kryminologii i psychologii, biegle posługiwał się językiem niemieckim. W pierwszej kolejności zajął się postępowaniem śledczym w Auschwitz. Stwierdził, że „wina w skali obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau rozsada wszystkie przyjęte w stosunkach międzyludzkich kryteria dobra i zła, prawdy i fałszu, prawa i bezprawia, tego co słuszne i niesłuszne – i dlatego przekracza granice osądu przez pojedynczego sędziego śledczego” (przytaczam za Gończakiem i Litką 2019). Mimo to nieustrudzenie gromadził dowody i przesłuchiwał świadków oraz niemieckich osadzonych. Pracował w Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce.

Dochodzenie śledcze na terenie obozu w Oświęcimiu rozpoczęło się wiosną 1945 r. Jeszcze wtedy był tam szpital, w którym przebywało około 400 byłych więźniów. Ich stan był ciężki. Część terenów obozu znajdowała się pod nadzorem wojsk radzieckich, które utrudniały prowadzenie dochodzenia. Rosjanie sami wywozili z Auschwitz dokumenty i pozwalali niszczyć barakom, zamiast je zabezpieczyć. Sehn i jego ekipa zbierała wszelką dokumentację, jaką udało im się znaleźć na terenie obozu. W tym czasie powstał też tekst *Obóz koncentracyjny i zagłady Oświęcim* (1946). Autor szacował, że w obozie zginęło około 5 milionów ludzi. Dziś sądzi się, że raczej około 1,1 mln. Niemniej jednak wartość tekstu jest w szczególności opisem funkcjonowania obozu. Sehn dotarł np. do dokumentów opisujących funkcjonowanie komór gazowych. Odnalazł i zabezpieczył też część akt dotyczących eksperymentów medycznych i egzekucji. Opisał także, jak Niemcy próbowali zatrzeć ślady po swoich zbrodniach.

Pod koniec 1945 roku Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich (od 1949 r. – Hitlerowskich) sformalizowała swoją działalność, na co miał też wpływ bohater tego artykułu. Sehn został przewodniczącym komisji okręgowej w Krakowie i zaczął gromadzić akta NSDAP, rządu Generalnego Gubernatorstwa, wykazy więźniów i robotników przymusowych. Przeprowadzono ekshumacje, m.in. w formie Krzesławice na terenie Krakowa. Sehn był także odpowiedzialny za gromadzenie doku-



Jan Sehn przez dwadzieścia lat tropił wytrwale zbrodniarzy niemieckich. Był skrupulatny i cierpliwy. Zadbął o to, by pamięć o Holokauście nie zaginęła, zabezpieczając dokumenty z obozu w Auschwitz i Generalnego Gubernatorstwa. Wielokrotnie przesłuchiwał wielu nazistów, w tym samego Rudolfa Hößa. Pisał o tym m.in. Filip Gańczak w książkach: *Profesor Jan Sehn 1909–1965. Prawnik, sędzia śledczy, łowca nazistów* (publikacja z Piotrem Litką z 2019 roku) i *Jan Sehn: tropiciel nazistów* (2020). Prace zawierają bogaty materiał źródłowy.

mentacji dowodowej obciążającej Hansa Franka, generalnego gubernatora 1939–1945.

„Łowca nazistów”

W lutym 1946 roku powołano Polską Misję Wojskową Badania Niemieckich Zbrodni Wojennych. Jej celem było odnalezienie zbrodniarzy ukrywających się na terenie innych krajów lub znajdujących się w tamtejszych więzieniach. W składzie komisji byli głównie wojskowi, ale również cywilni prawnicy, m.in. Jan Sehn. Na potrzeby tego zadania Sehn otrzymał mundur i tytularny stopień kapitana, aby mógł być traktowany poważnie przez wojskowych z innych krajów. Swoją misję rozpoczął w Wiesbaden, gdzie zapoznawał się z materiałem udostępnionym przez Amerykanów. Był też w Paryżu, gdzie skoalizowano Centralny Rejestr Zbrodniarzy Wojennych i Podejrzanych (CROWCASS). Był pod wrażeniem jego organizacji: „odszukanie Schultza, o którym wiadomo, że był Rottenführerem i jest rudy, trwa kilka minut” (przytaczam za Gończakiem i Litką 2019).

Pierwszym zbrodniarzem, którego Sehn doprowadził przed oblicze polskiego wymiaru sprawiedliwości, był Amon Göth, były komendant obozu Plaszow, dziś znany szerzej dzięki filmowi Spielberga *Lista Schindlera*. Sam podejrzany nie przyznawał się do zarzucanych mu zbrodni, jednak udało się udowodnić, że to on kierował likwidacją gett w Krakowie i Tarnowie oraz zabijał i maltretował więźniów z obozu Plaszow. Za to

dostał karę śmierci, którą wymierzono mu we wrześniu 1946 roku w Krakowie.

Sehn przesłuchiwał także Rudolfa Hößa, komendanta obozu Auschwitz, jesienią i zimą na przełomie 1946 i 1947 roku. Pokazywał mu dowody, przytaczał zeznania świadków. Höß przyznał się do zarzucanych mu zbrodni. Tłumaczył je rozkazami i ślepych posłuszeństwem wobec przełożonych. Wskazał też wielu innych zbrodniarzy i szczegółowo opowiedział o organizacji obozu. Ta otwartość Hößa to w dużej mierze zasługa śledczego Sehna, który zbudował relację z Niemcem. W więzieniu traktował go dobrze. Pozwalał mu czytać książki i pisać do rodziny. Zachęcił nawet do napisania wspomnień, które uznano później za „najbardziej miarodajne świadectwo niewyobrażalnej zbrodni” (opinia Jerzego Rawicza, przytaczam za Gończak i Litką 2019). Tekst ukazał się w 1956 roku i był opatrzony wstępem Jana Sehna. Hößa stracono w Auschwitz wiosną 1947 roku.

Kolejnym zadaniem prawnika było przygotowanie materiału do procesów kilkudziesięciu członków załogi obozu Auschwitz. W tym celu Sehn posłużył się ciekawym zabiegiem. Poleciał rozwiesić zdjęcia byłych esesmanów w dużych miastach, w ruchliwych punktach, gdzie będzie mogła je zobaczyć znaczna liczba przechodniów. Pod zdjęciami znajdował się apel o zgłaszanie się świadków. W ten sposób powstał w krótkim czasie materiał dowodowy, który pozwolił na uruchomienie procesów. Większość sądzonych Niemców nie przyznawała się jednak do winy. Zaslanieli się niewiedzą, brakiem pamięci lub wykonywaniem rozkazów. Mimo to pod koniec 1947 roku zapadły 23 wyroki skazujące na karę śmierci i 16 wyroków kary więzienia, w tym 6 – dożywotniego.

Jesienią 1947 r. Sehn pojechał do Norymbergi, gdzie obserwował procesy przed amerykańskim trybunałem. Negocjował z Amerykanami wydanie kolejnych nazistów, ale sprawa komplikowała się ze względu na zaostrzającą się zimną wojnę. Z podróży tej prawnik przywiózł dziennik Hansa Franka, który do dziś jest cennym źródłem wiedzy o okupacji. Dokument stał się dowodem przeciwko Josefowi Bühlerowi, który był zastępcą gubernatora. W tym procesie świadkowie odegrali drugorzędną rolę. Większe znaczenie miał właśnie wspomniany dziennik i dokumenty Generalnego Gubernatorstwa, które Jan Sehn zabezpieczył wcześniej podczas pracy w ramach krakowskiej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich.

Śledczy w Polsce Ludowej

Jan Sehn nigdy nie był członkiem PZPR, ale w 1947 roku zapisał się do Stronnictwa Demokratycznego. Był też członkiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Towarzystwa Przyjaciół Rodziny Milicyjnej. Doktorat pt. *Ogłędziny* obronił w 1949 roku na Wydziale Prawa UJ. Tekst ten był w zasadzie wolny od ideologii. Pochwałę dla dokonań nauki radzieckiej możemy jednak znaleźć w książce *Obecny stan kryminalistyki w Polsce* (1951), która była podstawą przyznania stopnia docenta.

W 1948 roku zlecono Sehnowi przeprowadzenie śledztwa w sprawie Katynia. Dochodzenie miało być skierowane na udowodnienie rzekomej winy Niemców oraz dyskredytowanie tych Polaków, którzy byli świadkami ekshumacji. Jan Sehn jednak

w tej kwestii prowadził dochodzenie bardzo nieudolnie. Jak można się domyślać – celowo. Jako szef Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie (od 1949 roku) pomógł ukryć materiał Jana Zygmunta Robla (1886-1962) dotyczący pomordowanych polskich oficerów. Dokumenty ujrzały światło dzienne dopiero w nowej rzeczywistości politycznej 1991 roku.

Sehn był też dobrym organizatorem. Pod jego kierownictwem Instytut Ekspertyz Sądowych modernizował się i prowadził wartościowe prace badawcze. Od 1959 roku miał Radę Naukową, a od 1960 roku własne czasopismo „Z Zagadnień Kryminalistyki”. Sehn prowadził także Dział Dokumentacji Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. Od 1949 roku był wykładowcą na Wydziale Prawa UJ. W 1961 roku uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego. Od 1963 roku był kierownikiem Zakładu Kryminalistyki przy Katedrze Prawa Karnego UJ. W Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich pracował do jej rozwiązania w 1953 roku. Po śmierci Stalina nawiązywał relacje z zachodniemieckimi instytucjami, które nadal ścigały zbrodniarzy wojennych. Nie mógł się pogodzić z tym, że niektórzy z nich wrócili do normalnego życia, a ich grzechy pozostawały nieznanne opinii publicznej.

Nagły koniec

Nie tylko w Polsce, ale i w RFN Sehn dał się więc poznać jako „łowca nazistów”. Prawnik udostępnił Niemcom polskie materiały z postępowania przeciwko Rudolfowi Hößowi i akta personalne esesmanów z obozu. Dzięki temu w grudniu 1963 roku ruszył we Frankfurcie wielki proces oświęcimski. Wśród oskarżonych byli adiutant komendanta Robert Mulka i rapportführer Oswald Kaduk. Sehn zorganizował także wizję lokalną w obozie, co było niezwykle, bo przecież istniała „żelazna kurtyna”. PRL i RFN nie miały nawet stosunków dyplomatycznych. Dzięki wizycie w obozie oskarżonym trudniej było zasłaniać

się niewiedzą, ponieważ śledczy na własne oczy mogli zobaczyć organizację i lokalizację poszczególnych punktów obozu. Proces zakończył się w 1965 roku. Dożyłowie dostało 6 osób.

Pod koniec 1965 roku miał ruszyć kolejny proces oświęcimski, tym razem we Frankfurcie. Oskarżonymi byli: Wilhelm Burger (kierownik administracji obozowej), Josef Erber (Wydział Polityczny) i Gerhard Neubert (lekarz SS). Sehn pojechał do RFN z materiałami, zeznaniami świadków i oskarżycielami posiłkowymi. Zmarł w nocy z 11 na 12 grudnia 1965 roku w hotelu Rex. Oficjalną przyczyną był atak serca. Jak było naprawdę? Trudno orzec.

Eugeniusz Szmulewski, który towarzyszył w tej podróży Sehnowi, wspominał, że na stoliku nocnym leżał numer „Deutsche National-Zeitung und Soldaten-Zeitung”, w którym był artykuł krytyczny wobec Jana Sehna. Zarzucano mu w nim, że podczas pierwszego procesu frankfurckiego otrzymywał zwrot kosztów, mimo że nie był ani świadkiem, ani biegłym. Szmulewski twierdził, że publikacja bardzo zdenerwowała profesora, wskutek czego zmarł. Inni wspominali o niezbyt higienicznym trybie życia (nałóg palenia) i wcześniejszych problemach ze zdrowiem. Jednak współpracownicy Sehna, Marii Kozłowskiej, dziwne wydaje się, że profesor zmarł akurat wtedy, gdy Szmulewski – wspomniany towarzysz, który był jednocześnie uznawany za ochroniarza – wyszedł z pokoju hotelowego po papierosy. Sehn otrzymywał podobno pogroźki od przeciwników rozliczania nazistów. Przed wyjazdem zostawił też kopertę z pieniędzmi „na koszty własne” oraz oddał sekretarce klucz do szuflady z osobistymi rzeczami, czego nigdy ponoć nie robił (Gończak, Litka 2019).

Jan Sehn został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Uroczystość zgromadziła tłumy. Był nawet ówczesny premier Józef Cyrankiewicz. Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie po dziś dzień nosi imię Jana Sehna.



Jan Sehn na sali sądowej (w środku z laską)

Piotr Hübner

Błędne drogi socjologii

W czasie toruńskiej konferencji socjologicznej oraz krakowskiej – naukoznawczej wyjaśniałem w dyskusji, że opcją socjologii mogą być tylko standardy akademickie. Nie powinna być dyscypliną „zaangażowaną”. Skręcanie „na lewo” z metodologicznego punktu widzenia jest tak samo niezasadne jak skręcanie „na prawo”.

Mój warsztat naukowy początkowo formował się w kręgu problemów historii ustroju, z odwołaniem do dokumentów i przepisów. Odkryłem, że kolejne wersje projektowanych dokumentów pozwalają odtworzyć proces podejmowania decyzji oraz ustalić zakres ingerencji instytucjonalnych. Końcowa wersja tekstu takich możliwości nie dawała. W sferze społecznej i instytucjonalnej doceniłem wagę statutów i regulaminów. Ten kierunek warsztatowy umocniłem podczas kontaktu z prakseologią oraz teorią organizacji i kierowania.

W perspektywie okazało się, że zmierzam w stronę naukoznawstwa, zwłaszcza organizacji i socjologii nauki. Definiowałem siebie nie jako praktykującego wybraną dyscyplinę, lecz poprzez wybrany przedmiot badań – naukę. W każdej z dyscyplin i subdyscyplin, po które sięgałem, studiowałem problemy metodologiczne samodzielnie, poprzez lektury. Uformowałem tym samym warsztat interdyscyplinarny. Nie byłem teoretykiem, ale sięgałem po analizę tradycji akademickiej i odpowiednich systemów wartości.

Gdy znalazłem trwałe miejsce zatrudnienia etatowego w Instytucie Socjologii UMK, stanąłem przed problemem doboru specjalizacji dydaktycznej – do zajęć ze studentami. Za radą Włodzimierza Winclawskiego, historyka socjologii, wybrałem wolne, nowatorskie pole w postaci socjologii instytucji i zrzeseń.

Problemy organizacji życia społecznego nie były – w odróżnieniu od ogólnych pojęć socjologicznych, takich jak społeczeństwo, naród czy państwo – znaczącym przedmiotem zainteresowania socjologów. Pierwszy z polskich socjologów, Józef Supiński, dokonał jednak znaczącego rozróżnienia (1883) między „towarzystwem” a „stowarzyszeniem”. Kolejne analizy mezosocjologiczne przeprowadził w polskiej socjologii dopiero Kazimierz Sowa, badając spółdzielcze zrzeseń konsumenckie (1976) oraz budując socjologiczną teorię zrzeseń (1988). Powodem unikania mezosocjologii była konieczność pogłębionych analiz struktur organizacyjnych, ale także „polityczna poprawność”, wynikająca z usytuowania socjologii w XIX wieku na marginesie nauki akademickiej. Wpływ na powstanie i rozwój socjologii wywierała ideologia socjalizmu utopijnego. Sfera ogólnikowych pojęć łatwo ulegała manipulacji. Następstwem był brak mezosocjologii w pierwszych programach nauczania uniwersyteckiego w XX wieku. Wiele dezorientacji wywołała „lewicowa” profesura oraz działalność redaktorów czasopism socjologicznych. Uformowało się „przeklęte dziedzictwo”

socjologii, co przedstawiłem w artykule *Damnosa hereditas... Dziedziczne uwarunkowania socjologii w Polsce*, opublikowanym w zbiorze *Recepcja w Polsce nowych kierunków i teorii naukowych* (2001). Szerszy kontekst ukazałem w dwuczęściowym artykule *Proces formowania nauk społecznych w Polsce* („Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój”, R. XVII 2008, R. XVIII 2009). W czasie toruńskiej konferencji socjologicznej oraz krakowskiej – naukoznawczej wyjaśniałem w dyskusji, że opcją socjologii mogą być tylko standardy akademickie. Nie powinna być dyscypliną „zaangażowaną”. Skręcanie „na lewo” z metodologicznego punktu widzenia jest tak samo niezasadne jak skręcanie „na prawo”.

Moim podstawowym odkryciem była teza o błędnej drodze, po której wędrowała socjologia. Przez sto lat kierowano się stanem niezorganizowanego życia społecznego, badanym od początku XIX wieku metodami statystycznymi. Historia miała badać bohaterów, a socjologia zbiorowości. Fałszywe były „jednopodmiotowe” definicje – społeczeństwa czy narodu. Nie dokonywano operacjonalizacji tych pojęć, uwzględniających złożone realia poszczególnych desygnatów, umiejscowionych wśród zdarzeń historycznych. Pomijano narastającą organizację życia społecznego – tysiące struktur organizacyjnych, w których funkcjonowali aktorzy życia społecznego.

Trzy typy organizacji

Odkryłem, że należy genetycznie wyodrębnić trzy podstawowe typy organizacji, jakie wyłoniły się z dawnych wspólnot terytorialnych: korporacje, towarzystwa i instytucje. Korporacje posługiwały się przymusem, obowiązkową partycypacją i zbiorowym władztwem. Pomijano je w badaniach i podręcznikach po przypisaniu im „reakcyjnego” charakteru. Nie ukazywano uwarunkowań korporacyjnych dawnych gmin i cechów, koncentrując uwagę na krytyce studenckiego ruchu korporacyjnego. Towarzystwa cechowała przeciwstawnie dobrowolność partycypacji i wspólne realizowanie interesu każdego z udziałowców, co ułatwiało realizację celu w porównaniu z działaniem „na własną rękę”. Prywatny charakter towarzystw powiązany był do XIX wieku z tajemnością działań i składu członków. Towarzystwa obwiniano z tego powodu o „rewolucyjność”. Miały mieć korzenie masonskie. W XIX wieku towarzystwa rozrosły się w zrzeseń, a te – po formalizacji prawnej – w stowarzyszenia. Instytucje działały początkowo jako rzymskie magistratury, z których wyłaniało się państwo albo Kościół. Dominowały

w nich zasoby, a nie personel czy klientela. Między urzędami, objętymi nadrzędnym systemem norm prawnych, występowały pionowe zależności hierarchiczne oraz poziome relacje sieciowe. Instytucjonalny charakter miały też firmy i fundacje, powiązane z rozrachunkiem gospodarczym. W perspektywie „długiego trwania” szczególnie znacząca była instytucjonalizacja podstawowych obszarów życia społecznego: wiary, wiedzy, władzy oraz wytwarzania i wymiany dóbr. Bez analizy kilkudziesięciu form organizacyjnych, jakie można wymienić w ramach trzech typów, nie powinno się prowadzić rozważań socjologicznych, zwłaszcza jeśli przywoływana jest „twarda” metodologia. Jest oczywiste, że nie ma już – i nie było – jednolitego „społeczeństwa”, a „państwo” nie jest wspólnotą, lecz aparatem przymusu.

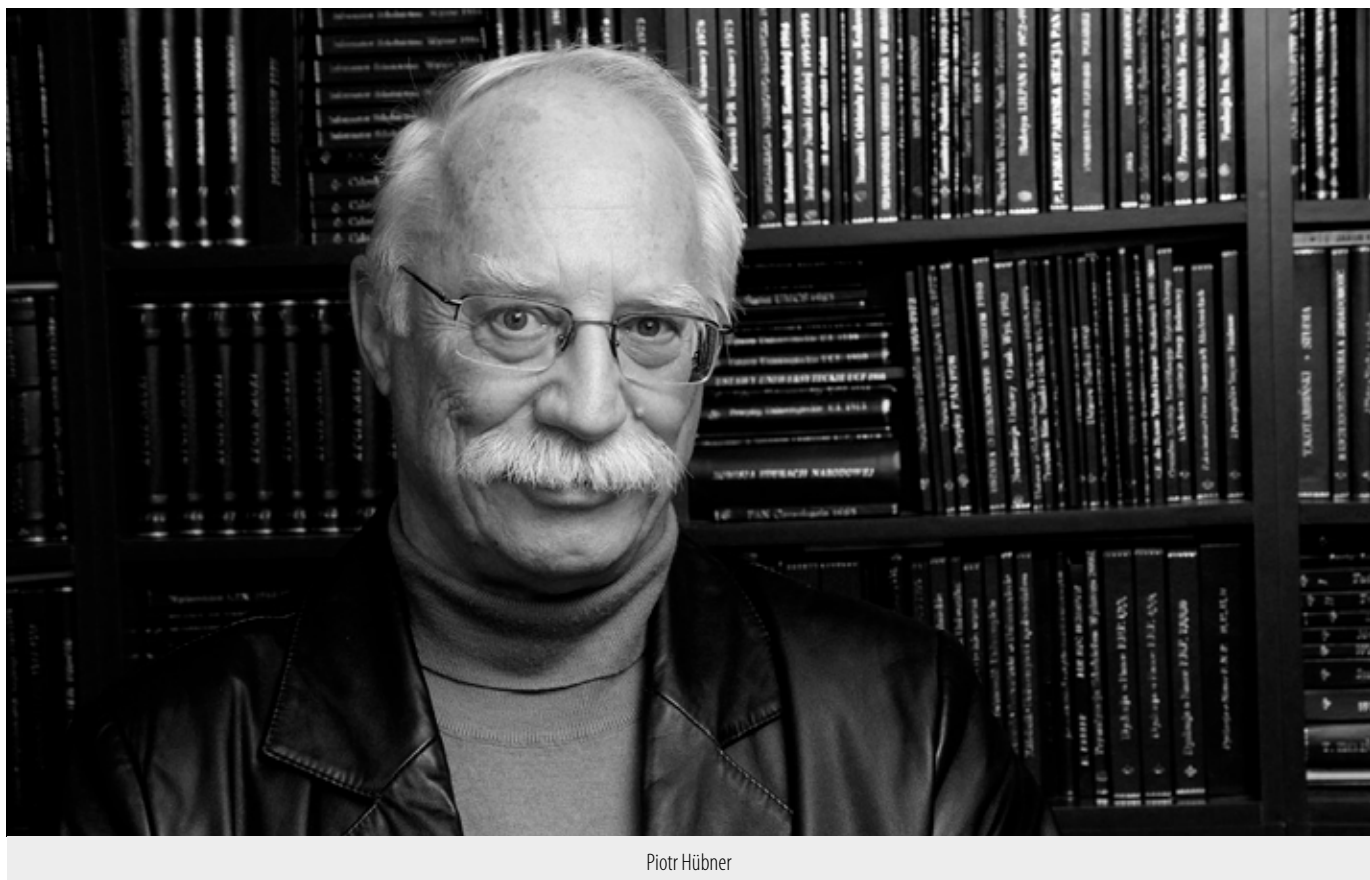
Rozbudowany program „Socjologii instytucji i zrzeszeń” postanowiłem poddać ocenie socjologów. Napotkałem opór już na szczeblu dyrektora Instytutu Socjologii UMK, Andrzeja Zybortowicza bez uzasadnienia odmówił przedstawienia tego programu na konferencji dyrektorów instytutów socjologicznych. Skierowany do Jerzego Szackiego program napotkał na „mur milczenia”. Szacki, swego czasu sekretarz partyjny na Wydziale Filozofii UW, dominujący wśród socjologów, uznał zapewne, że naruszam obowiązujący paradygmat socjologii. Programem zainteresował się jedynie Kazimierz Sowa, pojechałem do Krakowa na prowadzone przez niego seminarium.

Opór socjologów wobec tezy, iż zorganizowane życie społeczne zastąpiło dawną rolę bohaterów historii oraz rolę „mas”, jest zrozumiały. Jedną z przyczyn stało się „lewickie” postrzeganie ustroju, inną obawa, że musi zmienić się paradygmat socjologii. W „starym” dominowało podatne na manipulację pojmowanie „społeczeństwa”, choć prowadzono już badania „małych grup społecznych”. „Nowa” socjologia wymaga analizy struktur organizacyjnych, biurokracji oraz systemu podejmowania decyzji.

Dopełnieniem moich wykładów z socjologii instytucji i zrzeszeń były seminaria magisterskie. Wypracowałem metodę monografii instytucjonalnych, wymagając analizy dokumentów organizacyjnych oraz – jeśli takie istniały – własnych doświadczeń magistranta z pracy w badanej instytucji. Bezkompromisowe dążenie do prawdy mogło wiązać się z obserwacją „ukrytą” albo z korzystaniem z informatorów instytucjonalnych. Mogło to też być zrzeszenie, w tym przypadku jednak działalność była rozproszona i trudna do udokumentowania. Punktem wyjścia była analiza statutu: ustalenie normatywnego celu, zadań, struktury organów i ich kompetencji, obowiązków personelu oraz trybu działania. Interesująca socjologicznie była prywatyzacja instytucji oraz „drugie życie” jej personelu. Znacząca była analiza konfliktów wewnątrzorganizacyjnych oraz biegu procesów decyzyjnych. Ujawniało się zjawisko repudiacji – oporu instytucji przed analizą. Przykładem odmowa udostępnienia danych przez dyrektora likwidowanej Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu, uzasadniana tajemnicą wojskową czy pismo jednego z dyrektorów „Polmosu” wskazującego, że jego przedsiębiorstwo nie ma nic wspólnego z organizacją AA (anoniimowych alkoholików). Władze instytucji chroniły najczęściej dane o zasobie finansowym. Członek Aeroklubu Toruńskiego mógł badać działalność sportową i administracyjną, jednak, gdy poprosił o dane finansowe, przerwano mu pracę badawczą. Nie stawiałem granic tematycznych – przykładem dyskretne uwzględnianie spraw uczuciowych w domach pomocy społecznej czy sanatoriach, co wzbudziło zainteresowanie moich kolegów w roli recenzentów. Instytucje miały swą genezę, podlegały rozwojowi, ale i degeneracji. W sumie powstawał portret instytucjonalny.

Nie wiem, czy jestem socjologiem

Mój status uniwersyteckiego socjologa nie był oczywisty. Nie odbyłem studiów socjologicznych, chociaż tradycja potwier-



Piotr Hübner

Źródło: portal.umk.pl

działa dochodzenie do badań socjologicznych poprzez studia prawnicze. Moja orientacja interdyscyplinarna i poprzednie miejsca zatrudnienia nie umacniały autorytetu wśród socjologów. Na agresywne pytanie Janusza Muchy o to, czy definiuję się jako socjolog, odpowiedziałem: „Nie wiem, czy jestem socjologiem. Wiem, że uprawiam socjologię nauki”. Z tego zakresu prowadziłem w Instytucie Socjologii UMK konwersatorium „Socjologia nauki” według własnego oryginalnego programu. W tym czasie socjologię nauki systematycznie uprawiali w Polsce jedynie Janusz Goćkowski i Salomea Kowalewska. Istniały też dwie grupy badaczek życia studenckiego. Pojmowałem tę subdyscyplinę nie tylko jako jeden z działów socjologii, ale i jako subdyscyplinę naukoznawstwa, mocno osadzoną w historii nauki, zwłaszcza polskiej. Działalność Stanisława Michalskiego, artykuł Marii i Stanisława Ossowskich, referaty wygłoszone w Kole Naukoznawczym, teksty dotyczące organizacji nauki, publikowane w „Nauce Polskiej” – wszystko to było fenomenem w skali światowej, a uległo zapomnieniu w wyniku oddziaływań cenzuralnych w epoce stalinizacji. Uwzględniłem ewolucję pojęcia nauki, drogę do nauki, ideały, akademicki świat wartości, autorytety i szkoły w nauce, peregrynacje, etos środowiskowy, towarzystwa i fundacje oraz „niewidzialne uniwersytety”, a także mecenat. Nowszą historycznie problematyką był proces instytucjonalizacji nauki, publikacje i upowszechnia-

nie, polityka naukowa oraz „zdrada klerków”, patologie biurokratyczne, rola kobiet w nauce oraz ewolucja życia studenckiego. Wszystkie tematy z zakresu socjologii nauki bardziej nadawały się do studiów na poziomie doktoratu, osób do tego przygotowanych było niewiele. Nie miałem też wsparcia instytucjonalnego. Otrzymałem jedynie możliwość prowadzenia konwersatorium z historii nauki na Wydziale Nauk Historycznych UMK.

Podobnie nie miały wsparcia próby wejścia z zajęciami z historii nauki na teren innych wydziałów. Wyjątkiem było „Forum Naukoznawcze” UMK – spotkania z osobami z kręgu warszawskich decydentów. Do ich przyjazdu z referatem wykorzystywałem znajomości z czasów pracy w Komitecie Badań Naukowych. Jako perspektywiczne zadanie badawcze przyjąłem sporządzenie *Encyklopedii polskiej nauki akademickiej*, którą publikowałem fragmentarycznie przez ponad dwadzieścia lat w „Forum Akademickim”.

Zamykamy cykl *Pro publico bono*, który na naszych łamach przeżył swojego Autora. Ukazała się tymczasem książka Piotra Hübnera *Encyklopedia polskiej nauki akademickiej*, t. 1-3 (201 haseł, niemal 2 tys. stron). Drukowaliśmy tu ją co miesiąc w odcinkach przez wiele lat pod hasłem *Z dziejów nauki w Polsce*.

Biblioteka Polska w Paryżu w nowej rzeczywistości

Biblioteka Polska w Paryżu została powołana w 1838 r. przez członków Wielkiej Emigracji i oddana Towarzystwu Historyczno-Literackiemu. Od 1854 r. mieści się przy Quai d'Orléans 6. W 1893 r. na podstawie umowy z Towarzystwem Historyczno-Literackim przeszła na własność Akademii Umiejętności w Krakowie, która przejęła budynek i zbiory, tworząc równocześnie przy Bibliotece Polskiej Stację Naukową. Władze PRL zmusiły PAU do zawieszenia działalności, a tym samym nie było możliwości opieki nad biblioteką, stąd 8 lipca 1959 r. sąd francuski przyznał prawo do zarządzania Biblioteką odnowionemu Towarzystwu Historyczno-Literackiemu. W tym okresie Bibliotece wspierała finansowo głównie Karolina Lanckorońska oraz różne fundacje polonijne. Po wznowieniu działalności PAU uzyskała w 2004 r. niewielką dotację Ministerstwa Nauki, z której dofinansowywała działalność Biblioteki Polskiej, w tym inwentaryzację, katalogowanie, opracowywanie i digitalizację zbiorów. Nie wystarczyło to jednak na spójne funkcjonowanie tej zasłużonej instytucji.

Wieloletnie starania Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu o wzięcie przez państwo polskie pełnej odpowiedzialności za finansowanie Biblioteki Polskiej w Paryżu zostały uwieńczone podpisaniem 9 października 2023 roku umowy, na mocy której utworzono Instytut Biblioteka Polska w Paryżu. Pod-

pisali ją Piotr Gliński, minister kultury, prof. Jan Ostrowski, prof. prezes PAU oraz Kazimierz Piotr Zaleski, członek zagraniczny PAU, prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.

– Podpisanie tej umowy nie udało się, gdyby nie ludzie i środowiska, którzy przez 200 lat dbali o Bibliotekę Polską w Paryżu. Dziękuję wszystkim, którzy są związani z Biblioteką Polską. Jestem także wdzięczny za współpracę wszystkich prawników. Powołanie Instytutu Biblioteka Polska w Paryżu to długo wyczekiwana i bardzo ważna decyzja. Dziś rozpoczynamy kolejny proces – powołanie podmiotu zależnego, który na prawie francuskim będzie prowadził naszą instytucję polonijną – mówił podczas uroczystości prof. Gliński. Prof. Ostrowski przedstawił historię PAU i Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Dyrektorem nowej instytucji został prof. Maciej Forycki, historyk z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, który w latach 2017-2020 był dyrektorem Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Umowa opiewa na 50 lat. Zapewnia ona finansowanie instytutu i umożliwia właściwe zabezpieczenie i utrzymanie wspaniałych zbiorów oraz ich udostępnianie publiczności i badaczom z kraju i ze świata.

(Na podst. PAU-zy i informacji MKiDN)

Trudna sztuka babienia

W 1859 roku utworzono w Instytucie „klasę niższą” dla kobiet wiejskich. Było to związane z brakiem położnych na wsi. Od kursantek nie wymagano umiejętności czytania i pisania. Szkolenie trwało tylko cztery miesiące i kończyło się egzaminem praktycznym. Po nim otrzymywało się tytuł „babki położniczej wiejskiej”.

Sztuka babienia to inaczej wiedza i umiejętności z zakresu położnictwa. *Dykcjonarz powszechny chirurgii, medyki i hodowania bydła...* z 1788 roku wyjaśnia: „(...) większa część narodu naszego niewiasty posiadające umiejętności odbierania dzieci nazywa babami. Początku nazwiska tego nie skądinąd zasięgać należy tylko stąd, iż wszystkie oddające się pomaganiu kobietom w pracy rodzenia niewiasty zazwyczaj bywają wieku podeszłego. Od tego jeszcze nazwiska poszło nazwisko sztuki babienia” (s. 166-167). Od zarania dziejów wyglądało to tak, że w rodzeniu kobietom pomagały inne kobiety, a niektóre szczególnie odznaczały się doświadczeniem i wiedzą w tym zakresie. Właśnie te z nich nazywano „babami”. Każda rodząca – czy bogata, czy biedna – bała się cierpienia i powikłań okołoporodowych, a obecność doświadczonych akuserek miała ten lęk zniwelować. Warto dodać, że nie był to strach absurdalny, ponieważ w drugiej połowie XVIII wieku największą umieralnością charakteryzowały się kobiety w okresie rozrodczym (zwłaszcza te bardzo młode oraz te najstarsze), a na tysiąc noworodków poziom zgonów wynosił od dwustu do trzystu przypadków. Według niektórych danych umierała podczas porodu lub w położu nawet co dziesiąta kobieta.

Kultura medyczna za króla Stasia

Mimo że wiek XVIII uznawany jest za „wiek rozumu”, w tym czasie w Rzeczypospolitej nie było kompetentnej kadry medycznej. Wielu medyków było w istocie niedouczonymi oszustami, którzy wykorzystywali ludzką naiwność i łatwowierność. Na terenach polskich brakowało profesjonalnych studiów medycznych, więc wiedzę taką mogli nabywać nie najzdolniejsi, a najbogatsi. Żeby studiować medycynę, trzeba było wyjechać za granicę. Na ten niedostatek w systemie szkolnictwa wyższego zwróciła uwagę m.in. Komisja Edukacji Narodowej w swoim raporcie z 1777 roku. W nie lepszej kondycji pozostawały szpitale. Krytykowane były i „baby” za przywiązanie do zabobonu i brak umiejętności medycznych. W tym czasie nadal uznaną praktyką było grzebanie zmarłych w kościołach lub ich podziemiach, co pod względem epidemiologicznym nie było specjalnie bezpieczne. Szczepień jeszcze nie wynaleziono, więc dożycie wieku dorosłego było w pewnym sensie „sukcesem”. W tak niepewnych realiach każdy zamożny człowiek chciał mieć na stałe na swoich usługach przedstawiciela profesji medycznych. Tak było np. na białostockim dworze Branickich. Na marginesie wspomnę, że medyk tych magnatów, o nazwisku Jakub

Feliks Michelis, zasłynął między innymi jako założyciel Instytutu Akuserek i autor podręcznika o porodzie i opiece nad matką i noworodkiem.

Podsumowując, kultura medyczna okresu stanisławowskiego charakteryzowała się brakiem systematycznej edukacji medycznej, wysoką śmiertelnością i zjawiskami depopulacyjnymi, słabą siecią szpitali o niskiej jakości usług, praktycznie nieistniejącą opieką nad rodzącymi i ich potomstwem. Nie było jeszcze wiedzy o mikrobach i szczepionkach, a higiena pozostawała wiele do życzenia. W takich warunkach kluczowe stało się zachowanie „dobrego zdrowia”, jak je opisywali Kochanowski, Morsztyn czy Krasicki. Praktyki medyczne tamtych czasów były mało skuteczne, dlatego skupiano się na profilaktyce. Kluczową dla niej kwestią stał się więc rozsądek (wszak mowa o „wieku rozumu”). W *Uwagach o lekarskiej sztuce* (1774) pisano, że potrzebne są umiar w jedzeniu i picciu, unikanie nadmiaru alkoholu, duża ilość ruchu na świeżym powietrzu, podniesienie poziomu czystości oraz rzetelne wykonywanie własnej pracy, gdyż ta daje radość i satysfakcję. Ten, kto tak postępuje i zaskarbił sobie boską przychyłność, ma szansę na długie i szczęśliwe życie.

Miejsce kobiety w społeczeństwie

W XVIII wieku kobiety zostawały przede wszystkim żonami i matkami. Poza tą drogą był tylko klasztor. Na niewielkim marginesie wolności funkcjonowały jedynie wdowy, ale tylko te zamożne. Od kobiet oczekiwano przede wszystkim uległości, uczynności i skromności. Nie decydowały one zazwyczaj, kto będzie ich partnerem życiowym. Małżeństwo miało charakter transakcji. Kobiety nie były też kształcone jak mężczyźni. Nawet Stanisław Staszic opowiadał się za edukacją kobiet, która ograniczałaby się wyłącznie do spraw rodzinnych. Chciano, by kobiety pozostawały uległe i skupione na rodzinie. Za sukces należy uznać, jeżeli młoda kobieta w XVIII wieku umiała czytać, pisać, liczyć, grać na instrumencie i była wprawiona w pracach gospodarskich. Nadal wierzono w niektórych kregach w niższość budowy kobiecego ciała, złośliwość charakteru czy wątpliwą moralność, a nadmiar edukacji uważano za szkodliwy dla płci pięknej.

Życie kobiet kręciło się więc wokół rodziny. Żony magnatów i bogatej szlachty zajmowały się nadzorem nad żeńską służbą. Reprezentantki drobnej szlachty same pracowały w swoich domach. Mieszczanki nie tylko prowadziły domy, ale pomagały

też w handlu swoim małżonkom. Najwięcej obowiązków miały oczywiście służące i chłopki, które prowadziły swoje domy i pracowały ciężko cały rok, czy to na polu, czy we dworze. Rozrywek kobiety miały niewiele, stąd skupianie się na kwestiach religijnych i rodzinnych. Na miano *femme savante* – kobiety czytelnej, znającej języki obce i zasady *savoir vivre* – zasługiwało niewiele kobiet w XVIII wieku. Można tu wspomnieć np. Izabelę Czartoryską, Helenę Radziwiłłową, Izabelę Branicką czy Aleksandrę Ogińską, ale to były jedynie chlubne wyjątki.

Jeżeli patrzeć na kobiety przez pryzmat tytułowego zagadnienia, mamy tu do czynienia z położnicą, babą i ewentualnie mamką. W XVIII wieku normą stało się wielokrotne zachodzenie w ciążę (statystycznie nawet dziesięć razy). Bezpłodność postrzegano jako wielkie nieszczęście, gdyż celem i sensem życia każdej kobiety było posiadanie licznych potomstwa. Zadaniem „basy” było rozpoznanie ciąży (odróżnienie oznak pozornych od rzeczywistych), pomaganie przy zwalczaniu dolegliwości ciążowych oraz szczęśliwie przeprowa-



Zdjęcie: historia.org.pl

Poród na krześle porodowym. Rycina z poradnika dla akuserek z XVI wieku.

dzenie przez poród. „Baba” powinna być roztropna, wstrzeżliwa i cierpliwa, o pogodnym usposobieniu i wyrozumiała wobec rodzących. Powinna też mieć drobne i szczuple ręce z krótko obciętymi paznokciami i bez żadnych ran. Najlepiej jak taka kobieta była w średnim wieku i miała za sobą osobiste doświadczenie ciąży. Po urodzeniu zadaniem „baby” było zadbanie o noworodka i wykąpanie go. Podczas tej czynności mogła się przyjrzeć, czy dziecko nie ma jakichś trudniej zauważalnych wad. Czasem poród był tak wyczerpujący dla położnicy, że nie była ona w stanie zająć się później swoim dzieckiem. Niekiedy nie pojawiała się laktacja. Wtedy potrzebna była mamka. O wyborze kandydatki decydowało jej zdrowie, usposobienie oraz – last but not least – wygląd piersi. Najlepiej, kiedy mamką zostawała kobieta dosyć młoda, mająca od niedawna laktację (parę miesięcy), a jej piersi (a dokładniej sutki) nie były zbyt duże. Takiej kobiecie można było powierzyć czasowe zastępstwo w opiece nad dzieckiem, ale tylko w sytuacji, gdy dziecko było sierotą lub matka ze wskazanych wyżej powodów nie mogła sama karmić.

Tajniki sztuki

Położna powinna być czujna i spostrzegawcza: „uważać tu każdej odbieraniem dzieci bawiącej się trzeba, nie tylko powierzchowne, lecz i wewnętrzne znaki, z których by poznać mogła prawdziwej macicy krwotok, aby (...) czy niewczesnemu zapobiegła porodowi, krwotok zatrzymała (...) lub niewzruszonym natychmiast i nieustraszonym umysłem poród pomocą sztuki przyspieszyć, i matkę wraz z dziećmiem od śmierci uchronić” (*Księga o sztuce babienia, czyli dzieci odbierania* autorstwa Rafała Steidele z 1786 roku). Konieczne jest, żeby „baba” poznała specyfikę budowy kobiecego ciała. W ten sposób będzie mogła ocenić, czy poród przebiega prawidłowo, czy nie. Jej zadaniem jest dbanie nie tylko o ciało położnicy, ale też jej psychikę, dlatego tak ważne jest w tym zawodzie pogodne usposobienie. W XVIII wieku powoli zaczynano dostrzegać, jak roznoszą się choroby, dlatego szczególną uwagę zwracano na stan dłoni położnej. Kluczowe, żeby były czyste i bez chorób. Zadaniem położnej było też rozpoznanie powikłanego porodu i wtedy wezwanie lekarza. Nie oczekiwano od akuszerki wykonywania cięcia cesarskiego, które i tak w tamtym czasie wykonywano w celu ratowania dziecka, przy zgonie matki. Był to ówczesnie zabieg niezwykle ryzykowny.

W historii sztuki babienia lekarze odnotowywali różne przypadki niezbyt naukowych, a nawet szkodliwych praktyk „bab” (*Sztuka babienia ku nieuchronnej dzieci przy porodzie odbywającej się potrzebie a niemniej ku miłemu rodzących pożytkowi krótko i doskonale zebrana przez J.M.C.P. Jakuba Kostrzewskiego wyzwolonych nauk i filozofii Doktora za dokładnym J.C.K.A.M. rozkazem, Lwów 1774*). Na przykład jeden z lekarzy był świadkiem, jak położne przywiązały głowę do dołu rodzącą, bo dziecko było nieprawidłowo ułożone. Odnotowywano próby siłowego wyciągnięcia dziecka z łona, co kończyło się np. złamaniami lub nawet amputacjami. Słabnącą położnicę zachęcano do picia alkoholu. Na siłę trzymano rodzącą na wznak, choć jej naturalne odruchy szły w stronę pozycji wertykalnej. Nieprawidłowo rozpoznawano etapy porodu. Nie ratowano dzieci, jeżeli te naturalnie nie zaczęły płakać. Większość bab zamiast reanimacji stosowało pieśń i modlitwę. Ze względu na obecność przy porodzie „baby” były często świadkami w procesach o dzieciobójstwo. Przy czym można zauważyć prawidłowość, że winę częściej orzekano w przypadku pań niż kobiet zameżnych. Mimo krytyki, „baby” pomogły przyjść na świat tysiącom dzieci, a ich intuicje często były trafne, choć w nauce niezakorzenione.

Połów według XVIII-wiecznych lekarzy był stanem niebezpiecznym i chorobowym, chociażby przez widmo gorączki po-

gowej. Z jednej strony chodziło o nadwątlone siły fizyczne, ale zwracano też uwagę na „duszę matki”, która była odrętwiała, oszołomiona oraz niezdolna do podejmowania racjonalnych decyzji. Kobieta w połogu była wyjątkowo wrażliwa i zmienna, dlatego należało zadbać o harmonię w jej otoczeniu. Karmić zdrowo, zapewniać dużo wypoczynku, dbać o czyste powietrze w pomieszczeniu. Niekiedy autorzy poradników, jak Jan Różański, postulowali oddzielenie od życia rodzinnego (*O staranności koło kobiet od czasu rozwiązania onych aż do końca połogu; tudzież o różnych chorobach, którym przez ten czasu przeciąg podlegają*, 1792). Na przykład kwestia chrztu potomka mogła się okazać dla położnicy zbyt stresująca. Przypomina to biblijne oddzielenie Marii po urodzeniu Jezusa, która wróciła na łono rodziny i społeczeństwa po symbolicznym obrzędzie oczyszczenia w świątyni.

Początki instytucjonalizacji

Wiedza wśród „bab” była przekazywana z pokolenia na pokolenie, ze wsi do wsi. Pierwsza wiadomość o „profesjonalnej” opiece nad rodzącą pochodziła z XIII wieku. Zadanie to przypisywano „braciom szpitalnym” lub „duchakom” sprowadzonym z Wiednia w 1203 roku przez biskupa krakowskiego Pełkę. Czasem w majątkach magnackich pojawił się lekarz lub zagraniczna położna, która przeszkalała kilka kobiet ze „sztuki babienia”, jak to miało miejsce w Białymstoku u Branickich czy u księżnej Legnicy i Brzegu – Sybilli Doroty. Pierwsza szkoła położnicza w Europie została założona we Francji w 1640 roku. Na terenach polskich pierwsza taka instytucja powstała we Lwowie w 1773 roku, w ramach Collegium Medicum, a inicjatorką była cesarzowa Maria Teresa. Pierwszym wykładowcą dla akuszerki był Jędrzej Krupiński, który zajęcia prowadził w języku polskim. Kurs trwał pół roku i odbywał się w szpitalu ufundowanym przez cesarza Józefa II. Od 1780 roku – pod groźbą kary – w Krakowie prowadzono także szkolenia, ale dla praktykujących już położnych. Następne szkoły założono w Wilnie, Siatyczach, Warszawie, Białymstoku i Poznaniu.

Pierwsza szkoła w Warszawie powstała w 1802 roku w budynku Szpitala Dzieciątka Jezus. Dyrektorem był dr Józef Czekierski. Żeby być przyjętym do szkoły, trzeba było posiadać: umiejętność czytania i pisania, świadectwo moralności oraz nieukończony 40. rok życia. Czas nauki wynosił 4 miesiące i kończył się egzaminem. W latach 1802-1806 przeszkolono tam 112 kobiet. Działalność szkoły przerwała kampania wojsk napoleońskich. W 1809 roku wznowiono działalność Instytutu pod nowym adresem – Rynek Nowego Miasta 315. W czasie każdego kursu kształcono 10 kobiet z Warszawy i 12 pochodzących ze wsi, na koszt rządu. W latach 1809-1818 kursy ukończyło kolejne 217 akuszerki. Warto zauważyć, że kształcenie w Instytucie Położniczym miało formę szkolenia praktycznego. Nie miało określonego programu czy nawet podręcznika. Oczywiście tak wykształcona położna była o wiele bardziej kompetentna niż nieuczona „baba”, ale nadal kwalifikacje te nie były zbyt wysokie.

W 1818 roku Instytut Położniczy stał się integralną częścią Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Pojawiły się wtedy przepisy prawne normujące jego działalność. Do nowej Szkoły Akuszerkiej przyjmowano mężatki lub wdowy w wieku od 20 do 35 lat, o dobrym stanie zdrowia, umiejące czytać i pisać oraz przedstawiające świadectwo moralności od godnej zaufania osoby (właściciel majątku, proboszcz, sołtys, policjant). Pojawił się też pierwszy podręcznik autorstwa Mikołaja Mianowskiego pt. *Nauka sztuki położniczej dla kobiet* wydany przez Uniwersytet Wileński w 1818 roku. Do upadku powstania listopadowego nową placówkę ukończyło 465 akuszerki. Szkoła cieszyła się dużym zainteresowaniem. Także kobiety w ciąży

chętnie kierowały tam swoje kroki, żeby rodzic pod kierunkiem kompetentnych położnych.

21 stycznia 1840 roku po raz pierwszy uregulowano prawnie szkolnictwo położnicze. Ustawa określała zadania szkół i ich program oraz długość nauki (2 lata). Kandydatki na położone powinny być w wieku 18-30 lat, cieszyć się dobrym zdrowiem i tak jak uprzednio dostarczyć świadectwo moralności. Zgodnie z ustawą 12 kursantek miało pochodzić ze wsi, a koszt ich nauki brał na siebie rząd. Pozostałe uczennice miały się utrzymywać samodzielnie. Nadzór nad szkołami sprawować miał Główny Inspektor Służby Zdrowia. Obowiązywały dwa podręczniki *Podręcznik naukowy dla akuszerek* (1842) Ignacego Fijałkowskiego i *Zasady położnictwa, czyli nauki i sztuki położniczej, mianowicie dla niewiast temu zawodowi poświęcających się w Warszawie* (1851) autorstwa Jakuba Michała Freya, który był m.in. dyrektorem warszawskiej szkoły. W 1859 roku utworzono w Instytucie „klasę niższą” dla kobiet wiejskich. Było to związane z brakiem położnych na wsi. Od kursantek nie wymagano umiejętności czytania i pisania. Szkolenie trwało tylko 4 miesiące i kończyło się egzaminem praktycznym. Po nim otrzymywało się tytuł „babki położniczej wiejskiej”.

Kształcenie położnych zmierzało w kierunku przekazywania wiedzy praktycznej, jak i pogłębiania wiedzy teoretycznej. Wydłużał się okres kształcenia. W programie znalazły się takie zagadnienia jak: higiena, bakteriologia, dezynfekcja, dietetyka, wiedza o chorobach wenerycznych i psychozach, wiedza z zakresu patologii narządów rodnych, opieka nad noworodkiem, informacje o tym jak funkcjonują oddziały położnicze. Nie było już istotne, żeby kandydatka na położną była mężatką lub wdową. Do szkół zaczęto przyjmować całą

ciem młode kobiety, ale z większą ilością ukończonych klas lub szkół.

Do końca XIX wieku opieka położnicza była na niezadowalającym poziomie. Sytuacja zaczęła się poprawiać dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym. Liczba profesjonalistek z dyplomem zaczęła wzrastać, a kobiety praktykujące jedynie z doświadczenia zaczęły stanowić mniejszość. W 1931 roku minister pracy i opieki społecznej zakazał „babom” asystowania przy porodach pod groźbą grzywny w wysokości 500 zł. Prestiż i samodzielność zawodu położnej zaczęły wzrastać. Wsparły go wyniki badań Michela Odenta z lat 80. XX wieku, który zaobserwował, że sposób, w jaki kobieta przeżywa poród, zależy w dużym stopniu od kompetencji osoby asystującej. Kiedy rodzice wspierają wykwalifikowane akuszerki, zmniejsza się potrzeba interwencji medycznych.

Obecnie obserwujemy trend odwrotny. Kobiety mają dosyć medycyzacji ciąży i zwracają się w stronę porodów domowych i asystencji douli, która – jeśli się zastanowić – jest „babką” XXI wieku. Zadaniem douli jest bowiem dostarczenie niemedycznego wsparcia fizycznego i emocjonalnego dla rodzącej matki. Doula jest asystentką kobiety nie tylko w czasie porodu, ale też może nią być podczas ciąży i po niej (całkiem jak kiedyś „baba”). Żeby być doułą, nie kończy się szkół, ale ma się stosowne „doświadczenie życiowe”, ewentualnie ugruntowane szkoleniami ze środowiska innych douli w duchu filozofii powrotu do natury. Dzięki doulom poród trafia z powrotem do sypialni, do strefy prywatnej kobiety i na łono rodziny. Wygląda więc na to, że historia zatoczyła koło i znów możemy mówić o „sztuce babienia”, choć dziś ten termin musiałby być zmieniony ze względu na poprawność polityczną.



Cesarskie cięcie przeprowadzone na żywej kobiecie. Miedzioryt z poradnika dla akuszerek z 1679 r.

Krótki raport na temat trzech częstych niezręczności

Co roku mniej więcej w połowie października zbieram notatki z telefonu, komputera, zeszytu trzymanego w torbie przeznaczonej na wyjścia z domu, z dwóch skrytek w samochodzie i kieszeni wszelkich marynarek, swetrów, spodni – i robię porządki w notatkach na temat języka polskiego w praktyce. To już trwa pięćdziesiąt lat, więc prywatnie urządziłem sobie jubileusz polegający na konkursie na najczęściej spotykaną (w tych zapiskach) niezręczność językową.

Od dwunastu lat na pierwszym miejscu niezmiennie *ex equo moszczą* się tam trzy (już klasyczne) niezręczności, a mianowicie wyrażenia: rosyjskie *póki co* i wyglądające na całkowicie już w języku telewizyjnym utrwalone *na dzień dzisiejszy* (wraz z licznymi pochodnymi, takimi jak *na chwilę obecną*, *na ten moment*, zamiast *dzisiaj*, *dziś*, *teraz*, *obecnie*), wreszcie używana w oficjalnych sytuacjach zbyt poufała forma adresatywna typu *jak państwo widzicie* (zamiast *jak państwo widzą*).

Wszystkie trzy przy różnych okazjach są wymieniane przez ogół specjalistów od poprawności językowej. Należą do nich także Jerzy Bralczyk, Andrzej Markowski i Jan Miodek, ci sami, z którymi w 2014 roku Jerzy Sosnowski przeprowadził obszerną, by nie powiedzieć „rozległą”, a więc rozgałęzioną tematyczną rozmowę, i opublikował w książce pt. *Wszystko zależy od przecinka*. Polecam to arcydzieło dialogu naukowego, bo znakomicie odsłania meandry myślenia wybitnych myślicieli. Fascynująca lektura, pokazuje problemy i tajemnice, z którymi borykają się poloniści, zwłaszcza tak zwani poprawnościowcy. Takie, których dotykamy co dzień, z którymi stykamy się nawet we snach, ale nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo są trudne w ocenie. Książka nie tylko się nie zestarzała, ale wręcz nabrała aktualności. Język polski, przynajmniej w polityce, w mediach, bardzo ostatnio stracił na komunikatywności, estetyce i jeszcze niedawnym bogactwie słownikowym, mimo że ma do dyspozycji fenomenalne słowotwórstwo i mechanizmy metaforyzacyjne.

Spośród wymienionych wyżej wielowyrazowców najbardziej irytujące jest przysłówkowe *póki co*, które według *Innego słownika języka polskiego* pod redakcją Mirosława Bańko (PWN, Warszawa 2002) ma znaczyć ‘na razie’. Po rosyjsku, wymawiane jako „paka szto”, znaczy ‘tymczasem’, a zostało zapożyczone przez warszawiaków w czasie zaborów. Moja babka mówiła, że wyrażenie *póki co* w Warszawie okresu międzywojennego (1918-1945) było używane ironicznie jako kpina z czyjeś „rosyjskości” albo z „sytuacji właściwej rosyjskiemu systemowi sowieckiemu”. Między innymi z wykładów gwaroźnawczych Bronisława Wiczorkiewicza pamiętam, że w PRL-u miało się powoli wycofy-

wać, zanikać, aby gwałtownie odżyć na początku lat 70. XX w., ale już nie jako nacechowane antyrosyjsko.

To jeszcze nie wszystko, bo okazuje się, że w polskich wypowiedziach ustnych i pisanych dzisiaj niestety zastępuje całą serię innych form o subtelnie wyznaczonych znaczeniach, wspomniane ‘na razie’ i ‘tymczasem’, ale także ‘dopóki’, ‘w tej chwili’, ‘w tym momencie’, ‘chwilowo’, ‘przejściowo’, ‘obecnie’, ‘teraz’, ‘dotychczas’, ‘do tej pory’, ‘do tej chwili’, ‘jeszcze’, ‘do dziś’, ‘do dzisiaj’, ‘niekompletnie’, ‘niecałkowicie’, ‘nieodstatecznie’, ‘nie w całości’ oraz sporą grupę wyrazów i wyrażeń bliskoznacznych.

Jan Miodek w swoim *Słowniku ojczyny polszczyzny* (Wrocław 2002) nazywa to wyrażenie „natrętym rusycyzmem”, sugerując, że on się nim brzydzi, i to wcale nie ze względów ksenofobicznych, ale dlatego że powiedzonko to ruguje dużą liczbę wyrazów niosących podobne, jednak nieco inaczej pomyślane i konstruowane względem kontekstu znaczenia. Te drobne różnice sensu, zniuansowane nacechowania są właściwością języka, z której warto korzystać, aby komunikacja mowna była dokładniejsza, ściślejsza i nawet po prostu ładniejsza. Tymczasem *póki co*, jak podkreśla profesor, niszczy te możliwości słowne i frazeologiczne. Wniosek nasuwa się sam: nie powinno być stosowane, ponieważ jest wymiataczem wyrazów polskich.

W 2015 r. napadło na mnie trzech dziennikarzy z czasopism motoryzacyjnych (na szczęście tylko listownie, choć odgrzała się, że mnie dopadną), którzy postanowili wytepić wszystkich wrogów wyrażenia *póki co*, zwłaszcza w moim serwisie poprawnościowym *Lekarski Poradnik Językowy* <https://lpj.pl>. Byli w znowiu i uznali, że najlepiej będzie, jeśli wyjawią, że po pierwsze są w tym dwuwyrzynie zakochani, gdyż ich zdaniem „nadaje polszczyźnie szlachetniejsze brzmienie i dostraja myślenie do gier językowych, jakże potrzebnych w edukacji i namawianiu młodych do czytania książek” (cytuję dosłownie list jednego z nich, specjalisty od wyglądu, funkcji i urody samochodów marki Škoda). Po drugie, że już mają dostęp do serwera, na którym mój poradnik się znajduje, i wkrótce zrobią na nim porządek. Do dzisiaj nie zrobili, ale mam się na baczności i pamiętam ich dezaprobatę wobec zwalczania przeze mnie owego *póki co*.

Jest jednak faktem, że niektórzy językoznawcy nie potępiają *póki co*, tylko zalecają jak najradsze jego używanie, mimo że w Polsce możemy sobie mówić, co i jak chcemy. Podobnie jest z *na dzień dzisiejszy* i *jak państwo widzicie*. Też tak mówić można. To prawda, ale mnóstwo ludzi nadal po cichu zwraca na to uwagę i sobie zapamiętuje, z czyich ust wyszło.

e-mail: lpj@lpj.pl

Po tamtej stronie gwiazd



Truizmem jest już chyba stwierdzenie, że współcześnie tożsamości mają formę pakietów, gotowych zestawów rzekomo powiązanych ze sobą poglądów, które można tylko przyjąć w całości albo odrzucić en bloc. Jeśli ktoś jest bardziej złożony, mniej oczywisty, prędzej czy później zetknie się z kimś innym, kto w trakcie rozmowy lub w ramach interakcji w cyberprzestrzeni stwierdzi: „Zaskakuje mnie, że [wstawić nazwę pakietu tożsamościowego], taki jak pan, może sądzić, że...”.

Jest to, rzecz jasna, forma mało wyrafinowanego ostracyzmu. Nie każdy jest na niego odporny i wiele osób, obawiając się takiego potraktowania, unika odsłaniania się z niektórymi poglądami wobec wybranych osób lub w wybranych środowiskach.

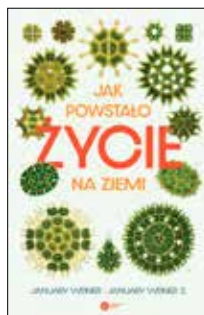
Naukowiec, zwłaszcza o ugruntowanej pozycji, a szerzej: intelektualista to także tożsamość, zdaniem wielu niekompatybilna z wiarą w osobowego Boga, a już na pewno nie z afiliacją z jakąkolwiek instytucjonalną religią. Marek Artur Abramowicz idzie jednak o krok dalej, nie tylko jasno deklaruje się jako członek Kościoła rzymskokatolickiego, ale też wskazuje, jakie cechy badanego przez niego kosmosu traktuje jako dowody na istnienie Boga. Duża część tych dowodów nie jest niczym nowym, ale zarówno kompetencje naukowe, jak i umiejętności dydaktyczne sprawiają, że prezentuje on je szerzej, a jednocześnie jaśniej i spójniej niż wielu (także utalentowanych) autorów przed nim. Fakt, że czytelnik nie ma tu do czynienia z nowymi argumentami, nie jest żadną wadą, to od prac badawczych wymaga się novelty, a omawiana książka to świadectwo osobistych przemysłów. To zresztą tylko popkulturowy motyw, że prawdziwy geniusz zawsze wyraca stolik. W jednym z rozdziałów Abramowicz zwięźle wyjaśnia, dlaczego patrzenie w ten sposób na Einsteina jest błędem, niektóre ustalenia starożytnych astronomów (czy raczej myślicieli parających się także astronomią, takich jak Ptolemeusz) są przydatne do dziś. Czymś faktycznie oryginalnym (w pozytywnym sensie) jest natomiast rozdział demaskujący astrologię jako pozbawioną naukowych podstaw – punkt po punkcie, ze wskazaniem na sprzeczności i arbitralność wielu założeń. Autor po prostu nie traktuje swojej tezy jako oczywistej, ale odnosi się do czytelnika poważnie i udowadnia ją.

Książka Abramowicza nie jest usystematyzowanym wywodem, raczej połączeniem eseju i gawędy, zatem relacjom między nauką a wiarą jest bezpośrednio poświęcona tylko część tekstu. Jednak kohezyjne także wspomnienia autora o krajach, w których mieszkał i które odwiedził, nawet jeśli nie zawsze głębokie i odkrywczwe, tworzą całość z rozważaniami o Bogu. Po pierwsze, wielu zwolenników poglądu, że człowiek nowoczesnie myślący (cokolwiek to oznacza) nie może być wierzący, chętnie powołuje się na doświadczenia krajów zachodnich. Zdają się sądzić, że każdy, kto mieszkałby dłużej np. w Czechach lub którymś z krajów skandynawskich, na pewno wyrzekłby się przesądów charakterystycznych dla Polski. Tymczasem Abramowicz, profesor uniwersytetów w Opawie i Göteborgu, wymyka się temu schematowi. Po drugie, autor nie próbuje przywdziewać szat mędrca, który na każdy temat ma do powiedzenia coś inspirującego. Można nie zgadzać się z jego (bynajmniej nie konserwatywnymi) poglądami na polskie życie publiczne i rolę w nim Kościoła katolickiego, nie jest to też perspektywa nowa ani – to częste sformułowanie w mediach – „mocna i odważna”. Jest indywidualna i wyrażana bez niedomówień. Stanowi zaproszenie do polemiki, a nie „uderzenie” w kogoś lub coś ani definitywną w tonie wypowiedź o tym, „jak jest”. W fizyce i astrofizyce szczególnie wyraźnie widać, że nauka to ciągle przybliżanie się, podobnie jak wiara określana jest jako podążanie w prawdzie, ku prawdzie i za prawdą, a nie posiadanie prawdy.

Marek Misiak

Marek Artur ABRAMOWICZ, *Między Bogiem a prawdą. Metafizyczne przygody roztargnionego profesora*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023.

Zagadki życia



W 1880 roku biolog Emil Du Bois-Reymond w swoim wykładzie przed Berlińską Akademią Nauk wymienił siedem tajemnic, które nigdy nie zostaną wyjaśnione. Wśród nich było pytanie o to, skąd się wzięło życie. Odpowiedzi na nie szukano od wieków między innymi w wierze, Kosmosie i głębiach oceanów. Powstawały hipotezy wywodzenia się życia z martwej materii nieorganicznej, modele „zupy pierwotnej” czy „gorącej pizzy”. Tymczasem naukowcy nawet nie są zgodni co do definicji, czym jest życie. „Możemy się tylko umawiać co do znaczenia słów, których używamy dla

określenia życia na Ziemi”. Możemy również znaleźć wspólne cechy żywych organizmów, np. jedność strukturalną, charakterystyczny skład chemiczny, budowę komórkową, metabolizm, rozmnażanie i ewolucję drogą naturalnej selekcji oraz współistnienie w globalnym ekosystemie. Ale również to przywołuje kolejne pytania: czy zasuszony niesporczak, który nie wykazuje metabolizmu, jest żywy? Czy pszczoły robotnice, które się nie rozmnażają, są martwe?

Wiele pytań nadal pozostaje bez odpowiedzi – i być może nigdy tej odpowiedzi nie uzyskamy. Dzięki książce poznamy jednak nie tylko rozmaite teorie i hipotezy związane z życiem na Ziemi, lecz także cofniemy się do przeszłości i dowiemy, jak mogła wyglądać nasza planeta w czasach, kiedy ono powstało, a nawet jeszcze wcześniejszych – kiedy powstawała Ziemia. Autorzy analizują również wiedzę na temat innych obiektów we Wszechświecie, na których mogłyby rozwinąć się organizmy żywe, i hipotezy, że życie przybyło z Kosmosu. Opisują aktywności pierwszych organizmów i warunki, w jakich one funkcjonowały. Prezentują poglądy badaczy na temat podobieństw i klasyfikacji poszczególnych istot, a także historię rozwoju hipotezy pokrewieństwa wszystkich organizmów, którą udowodniono po odczytaniu ich DNA. Próbuje znaleźć odpowiedzi na pytanie, jak wyglądał LUCA (last universal common ancestor), czyli ostatni wspólny przodek wszystkich żywych organizmów, kiedy żył i jak funkcjonował. Zastanawiają się, czym są wirusy, które wymykają się definicjom organizmów żywych. Tłumaczą, dlaczego Darwin miał rację, mówiąc, że w warunkach, które teraz panują na Ziemi, nie mogłoby powstać życie, i wyjaśniają, dlaczego nie będzie końca świata, a przynajmniej w perspektywie czasowej, którą jesteśmy w stanie objąć wyobraźnią.

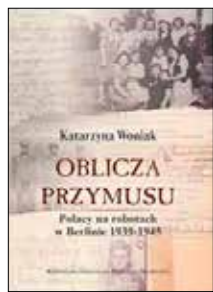
Chociaż czytając tę książkę, warto znać podstawy biologii i chemii, znajdziemy tu też powtórkę wiedzy szkolnej, takiej jak odpowiedzi na pytania, czym są DNA i RNA, w jakich pierwiastków i związków chemicznych zbudowane są organizmy żywe, jak przebiega reakcja redoks lub czym się różni oddychanie tlenowe od beztlenowego. Mimo nasycenia tekstu informacjami naukowymi, jest on zrozumiały i pisany przystępnie, dzięki czemu książka będzie zrozumiała dla laików zainteresowanych tematem. Treść urozmaicają cytaty zaczerpnięte zarówno z dawnych publikacji naukowych, jak i z popularnych książek i filmów, a także ilustracje Kazimierza Wiśniaka.

Autorzy zastrzegają, że chociaż przedstawili wiele wątków i historii związanych z koncepcjami powstania życia na Ziemi, nie wyczerpuje to tematu. Co roku ukazują się tysiące książek i publikacji, w których różni badacze próbują rozwikłać tę zagadkę. Kiedyś wydawało nam się, że trzeba było miliardów lat, aby na naszej planecie powstało życie, a teraz wiemy, że pojawiło się ono niemal natychmiast po tym, gdy jej powierzchnia się schłodziła, „w geologicznym mgnieniu oka”. Granica poznania przeszłości przesunęła się z pierwszych kambryjskich makroskamieniałości do LUCA i dalej do świata RNA, który jeszcze niedawno wydawał się spekulacją. Może przed nim był jeszcze jakiś inny świat, który wkrótce odkryjemy? Wiemy już tak dużo, ale na razie możemy powtórzyć za autorami, którzy piszą w podsumowaniu: „Co to jest życie i skąd się wzięło? Zwięźle streszczenie tej książki mogłoby brzmieć: nie wiadomo!”.

Justyna Jakubczyk

January WEINER, January WEINER 3, *Jak powstało życie na Ziemi*, Copernicus Center Press, Kraków 2023.

Pracowali dla III Rzeszy



Katarzyna Woniak studiowała historię i etnologię na uniwersytetach w Poznaniu i Augsburgu. Pracowała również na Uniwersytecie w Ulm. Obecnie realizuje grant Niemieckiej Fundacji Badań (DFG) Centrum Studiów Polonoznawczych na Uniwersytecie w Halle. W badaniach naukowych skupia się na historii emocji i pamięci dotyczących II wojny światowej, a także na znaczeniu etyki w badaniach medycznych i historycznych. Usiłuje poznać i opisać „światy przeżywane” z indywidualnej, subiektywnej perspektywy.

Metoda ta, zastosowana po raz pierwszy w badaniach socjologiczno-biograficznych przez Alfreda Schütza, w późniejszym czasie rozwinięta została przez Jürgena Habermasa i Heiko Haumanna proponujących, by „światy przeżywane” badać w powiązaniu z aspektami politycznymi i kulturowymi. Koncepcja światów przeżywanego zdaje się zbieżna z historią życia codziennego. Ta ostatnia w badaniach historycznych jest uprawiana od dość dawna.

Zastosowanie koncepcji światów przeżywanego w badaniach nad nazistowską pracą przymusową odznacza się sporym potencjałem poznawczym. Autorka świadomie rezygnuje z czystej perspektywy zewnętrznej, dominującej w obecnej historiografii, zwracając uwagę na stosunki wewnętrzne. W badaniach skupia się na chwili wyrwania Polaków zesłanych przymusowo do III Rzeszy z własnego otoczenia, a następnie na krzywdach, jakich doświadczyli z rąk niemieckiego okupanta. Wykorzenie dla wielu z nich przemiana się w trwałe doświadczenie wywierające wpływ na późniejsze „światy przeżywane”. Choć tuż po przybyciu do Berlina polscy robotnicy przymusowi stwarzają pewną pozorną normalność, mówiąc za Kazimierzem Wyką – „życie na niby”, to znajduje się ono wciąż w cieniu wyzisku, prześladowania i przemocy, stanowiąc specyficzne schronienie przed narzuconą rzeczywistością. Ich „światy przeżywane” noszą cechy głębokiego poczucia obcości i niesprawiedliwości losu, a codzienność nakierowana jest bardziej na walkę o przeżycie niż na realizację marzeń i pragnień.

W III Rzeszy w latach 1938-1945 przymusowo pracowało 13,5 miliona cudzoziemców (w tym niemalże 3 miliony Polaków, a wśród nich 420 tys. jeńców wojennych). Jeśli chodzi o Polaków, zatrudniano również małoletnich w wieku od 14 do 18 lat. Podlegali oni takiemu samemu obowiązkowi co dorośli, otrzymując jednak znacznie niższe wynagrodzenie. W 1943 r., wskutek braku pracowników, do przymusowej pracy trafiały dzieci, których dolna granica wiekowa obniżona została do lat 10. Zdarzało się nawet powoływanie do pracy dziewczęciolatek. Ich los był dramatyczny.

Badania nad przymusową pracą w III Rzeszy w historii polskiej i niemieckiej zajmują zupełnie odmienną pozycję. Autorka puentuje to stwierdzeniem: „niemieckie badania zaczęły się wtedy, kiedy w Polsce one się niemalże skończyły”. Rzeczywiście temat, którego wybitnymi znawcami są u nas Władysław Rusiński, Czesław Łuczak, Czesław Madajczyk, w latach 80. XX w. był już domykany. W Niemczech natomiast był przemilczany lub traktowany niechętnie. W Niemieckiej Republice Demokratycznej nie prowadzono intensywnych analiz nazistowskiej pracy przymusowej. Ograniczano się do ogólnej krytyki kapitalizmu i nazizmu. Z kolei w pierwszych dwóch dekadach w Niemczech Zachodnich badania dotyczyły zasadniczo struktur gospodarczych III Rzeszy bez wnikania w problem masowego zatrudnienia zagranicznych robotników. Panowało nawet przekonanie o narzuceniu firmom robotników z obszarów okupowanych przez władze III Rzeszy.

Książka, napisana w języku niemieckim (autorka sama przetłumaczyła ją na polski), jest niejako owocem pracy w Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie. Inspiracją autorki były losy jej dziadka, który jako 14-latek po powstaniu warszawskim trafił do fabryki chemicznej Eisenbüttel w Brunszwiku.

Bogdan Bernat

Katarzyna WONIAK, **Oblicza przymusu. Polacy na robotach w Berlinie 1939–1945**, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2023.

Nowe myślenie o regionie



Anatomia nowoczesnego regionu Wojciecha Browarnego dotyczy związków środowiska, kultury i pamięci. Książka ma walor erudycyjny i poznawczo-metodologiczny. Ież tu nazwisk, nazw geograficznych, faktografii historycznej! Autor (re)konstruuje i przedstawia regiony usytuowane głównie na zachodnich i północnych terytoriach Polski. Zamieszkuje Dolny Śląsk, toteż ten region w książce jest wyróżniony. Podczas lektury przemierzamy się (w zależności od podjętej problematyki) na Podlasie, Warmię i Mazury, Pomorze, Ziemię Lubuską oraz do

miejsowości takich jak Łódź i Wieluń.

Dowiadujemy się, że rozmaite procesy, ciągi historyczne, biografie, przemiany społeczne, narodowościowe, polityczne w wymiarze lokalno-regionalnym są również efektem relacji mieszkańców z otoczeniem najbliższym. Przerwanie ciągłości świadomości obszaru zamieszkiwania utrwala społeczne doświadczenie pustkowi kulturowego, co dostrzegł w swoim wczesnym wierszu *Wodospad Szklarki* Tadeusz Różewicz. Poczucie długiego kulturowego trwania jest nieodzownym warunkiem wszechstronnego rozwoju.

Wartość poznawcza *Anatomii nowoczesnego regionu* idzie w parze z jej wyrazistym charakterem performatywnym. Browarny bowiem wiedzę kulturową, a w tym odnoszącą się do literatury i w ogóle piśmiennictwa, miejscowej aktywności porządkuje po to, by odkryć sposób podmiotowego myślenia o regionach.

Zastosowany tu dyskurs opiera się na niechęci do wykluczania w kreowaniu regionu jakichkolwiek jego elementów, a przede wszystkim ludzi. Autor przejawia wyjątkową wrażliwość na interseksjonalność. Proponuje paradoksalne myślenie regionalistyczne. Z jednej strony zmierza do modelowych ujęć regionu, a z drugiej dochodzi do spostrzeżeń, które nie poddają się modelowej unifikacji. Region okazuje się wielopodmiotowym tworem wyobraźniowym, ukorzenionym w dziejowej i współczesnej dynamice oddziaływania polityczno-państwowego, religijnego czy cywilizacyjno-technologicznego. Region to wytwór nie tylko wielopokoleniowy, ale też wieloetniczny, wielowyznaniowy, wielojęzyczny i „wielopamięciowy”. A na to wszystko nakładają się rozmaite procesy zawłaszczania, przekręcania, semantyzacji, resemantyzacji, sentymentalizacji, ideologizacji, komemoracji, erozji pamięci i systemów wartości, konkurencyjności, polityzacji.

W książce poznajemy myślenie o regionie poprzez biopoetykę i narrację „dendrologiczną”, toponimie, przyrodopisarstwo i nowoczesną działalność lokalną na rzecz kultury literackiej. Opisowo-analityczny materiał stanowi dla autora podstawę do zgłaszania nowych kontekstów, rozwiązań terminologicznych, kierunków poznawczej penetracji w celu wykrycia i uporządkowania „anatomii regionu”. Odkrywanie „anatomii regionu” wymaga metodologii interdyscyplinarnej i zwrócenia się ku regionowi jako kulturowo-społeczno-historyczno-przyrodniczo-gospodarczej całości, którą kształtują jednocześnie czynniki wewnętrzne i zewnętrzne.

Przesłanki metodologiczne mają charakter propedeutyczny i zapowiadają blok książki zatytułowany *Środowisko i pamięć w literaturze regionu*. Jest on już bardziej lub mniej ściśle literaturoznawczy, a zawiera omówienia wybranych utworów literackich (głównie polskich i niemieckich). Nowoczesny regionalista podchodzi krytycznie do twórczości traktującej o regionie, co odróżnia go od przedstawicieli tradycyjnej (dawnej) regionalistyki literackiej.

W monografii szczególnie akcent pada nie zawsze na samą literaturę czy kreatywność językową, raczej na praktykowanie języka i literatury, ich sprawczość i organiczne budowanie przestrzeni humanistycznej i międzyludzkiej na zdefiniowanym pod względem geograficzno-kulturowym terytorium.

Zbigniew Chojnowski

Wojciech BROWARNY, **Anatomia nowoczesnego regionu. O związkach środowiska, kultury i pamięci**, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2023, seria: Nauki o literaturze i kulturze.

Michał Lancz i malarstwo polskie



Znajomość malarstwa polskiego powstałego w początkach XVI wieku, określanego mianem tak zwanego „gotyku międzynarodowego”, jest dosyć nikła. Do amatorów sztuki dociera przede wszystkim wiedza o sztuce renesansowej włoskiej proveniencji, której zabytki – często imponujące – przyciemniają twórczość opartą na tradycyjnych, północnych wzorcach. Niestety również literatura przedmiotu, chociaż coraz bardziej rozbudowana, nie odpowiada na wiele podstawowych pytań.

Ponadto warto zwrócić uwagę na to, że problem współistnienia obu stylów stawiał i wciąż stawia historyków sztuki, nie tylko polskich, wobec pytania o przydatność kategorii stylu w ich badaniach. Czy pojęcia „gotyk”, „renesans”, „barok” są jeszcze do czegoś przydatne?

Świadomość obu wskazanych powyżej problemów jest wyraźnie widoczna w pracy Adama Spodaryka, autora monografii Michała Lancza. Ten późnośredniowieczny malarz tworzył dzieła, które zapewne można by uznać za stylistycznie „hybrydowe”, chociaż on sam byłby zapewne takim określeniem zdumiony. Malował wszak zgodnie z oczekiwaniami swoich klientów i duchem czasu. A że czynił to nader udatnie, dowodzi fakt, że był obywatelem zamożnym i szanowanym w Krakowie, mieście, do którego przybył i w którym zrobił karierę.

Podjęcie tematu wymagało od autora wypracowania nowego podejścia. Materiały źródłowe w gruncie rzeczy pozostały takie same, nie dokonano bowiem żadnych nowych odkryć archiwalnych. Jednakże od czasu publikacji ostatniego opracowania twórczości Lancza minęło niemalże sześćdziesiąt lat, a rozwój możliwości badawczych jest naprawdę niebagatelny. Przede wszystkim bardzo rozwinęła się wiedza na temat sztuki późnego średniowiecza i wczesnego renesansu, czego dowodem jest literatura przedmiotu, w dużej części wnosząca istotny wkład w rozwój nauki. Spodaryk korzysta z publikacji autorów polskich i światowych, wykazując się nie tylko znajomością literatury, ale także tematu, a jego celem nie jest opisanie tego, co napisali inni, lecz umiejętne wykorzystanie ich dorobku.

Dużą wartością omawianej publikacji jest także wykorzystywanie przez jej autora możliwości, jakie daje rozwinięta technologia. Analiza zdjęć obrazów wykonanych w podczerwieni pozwoliła na określenie indywidualnych cech rysunku Lancza, co z kolei umożliwiło nie tylko analizę stylistyczną jego dzieł, ale także podjęcie trudu atrybucji dzieł przypisywanych frankońskiemu artyście, chociaż przez niego niesygnalowanych. I trzeba przyznać, że argumenty podawane przez Spodaryka na rzecz przyjęcia lub odrzucenia autorstwa Lancza są przekonujące.

Znawstwo widoczne w całej pracy jest wykorzystywane także przy próbie wskazania miejsca twórczości omawianego w książce malarza w sztuce obszaru Polski i całej Europy. Pozwoliło to na postawienie mocnych i doskonale uargumentowanych hipotez na temat jego artystycznej drogi przed przybyciem do Krakowa, a przede wszystkim na związki z kręgiem Norymbergi.

Jednakże chyba największą wartością omawianej książki jest fakt, że stała się ona czymś więcej niżli jedynie monografią artysty. Autor uniknął pokusy przyczynkarstwa i zamknięcia się w encyklopedycznym podejściu do Michała Lancza. Książka nie tylko wykorzystuje twórczo wcześniejjsze ustalenia, lecz także umie połączyć nowoczesne badania technologiczne z tradycyjną metodologią historii sztuki. To wszystko razem powoduje, że mamy do czynienia z bardzo interesującym i dobrze napisanym wstępem do malarstwa polskiego przełomu XV i XVI wieku.

Jak wieść gminna niesie, Adam Spodaryk prowadzi dalsze badania i szykuje kolejne prace właśnie z tego zakresu, zatem możemy oczekiwać, że nasza wiedza na ten temat znowu będzie mogła się poszerzyć.

Juliusz Gałkowski

Anna Jawor

Adam SPODARYK, *Michał Lancz z Kitzingen. Frankoński malarz w Krakowie*,

Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego „Societas Vistulana”, Kraków 2023.

Wstęp do psychologii sztuki



Psychologia sztuki jest subdyscypliną psychologii, która jako dyscyplina naukowa ma niewiele ponad półtora wieku. Sztuka natomiast towarzyszy ludziom od zarania. Co więcej, sztuka jest od psychologii znacznie bogatsza. Na obrazach czy w formie rzeźby można przedstawić zjawiska, które w rzeczywistości nie mają prawa wystąpić. Tymczasem psychologia jako nauka zajmuje się tym, co istnieje naprawdę. Ciekawym pomysłem jest więc zestawienie ze sobą obu tych wymiarów i szukanie miejsc wspólnych psychologii i sztuki.

George Mather w swojej *Psychologii sztuki* takich miejsc upatruje w zaskakująco różnych obszarach. Sam zresztą przyznaje w opisie książki, że ma ona charakter eklektyczny. I tak jednym z ciekawszych wątków jest reprodukcowanie dzieł sztuki. Istnienie reprodukcji sprawia, że zasięg dzieła jest większy, więcej osób może je zobaczyć, ale już jakość jego odbioru jest zgoła inna niż w przypadku oryginału. Weźmy chociażby rozmiar obrazu, który oddziałuje na widza.

Ale w książce poruszane są też tematy, które Mather tłumaczy względami wcale nie psychologicznymi, lecz historyczno-społecznymi. Dlaczego w historii sztuki jest tak mało kobiet, a w najbardziej znanych podręcznikach do historii sztuki nie ma ich wcale, choć do niewątpliwie wielkich artystów należały – jak pisze – i Tamara de Lempicka, i Frida Kahlo, i wiele innych. Przypomina autor występy kolektywu Guerilla Girls z lat 80., które zwracały uwagę, że „mniej niż 5% artystów w Sekcjach Sztuki Nowoczesnej to kobiety, ale 85% aktów to akty kobiece”.

Autor stawia też zaskakujące pytania, jak to sytuuje sztukę w kontekście ewolucji. Sztuka bywa zwykle ujmowana jako pewien naddatek życia społecznego, wyraz potrzeb wyższego rzędu, a tymczasem Mather szuka odpowiedzi na pytanie, jaką wartość ma sztuka dla przetrwania gatunku ludzkiego. W kontekście naszych biologicznych uwarunkowań jako gatunku omawia też percepcję krajobrazu, twierdząc na przykład, że mamy skłonność do poszukiwania w pejzażach ludzi i zwierząt, a także wody, które są dla nas bardzo ważne pod względem przetrwania.

Ale praca Mathera jest też o tym, jak przedstawiane są różne rzeczy i jak je postrzegamy. Na przykład ciekawym wątkiem jest percepcja przedmiotów w danej scenarii, która zależy od wiedzy, jaką mamy. Wiedza na temat charakterystycznego rozmiaru, kształtu, koloru, tekstury i znaczenia przedmiotów wpływa na nasze ich postrzeganie. Dlatego jeżeli na przykład widzimy talerz lub monetę na blacie stołu, mamy tendencję do oceniania ich projektowanego kształtu z perspektywy naszego punktu widzenia jako bardziej okrągłych niż w rzeczywistości są na obrazie, ponieważ wiemy, że talerze czy monety są okrągłe. A jak przedstawiać coś, o czym nie wiemy? Stworzyć na przykład wrażenie ruchu? Można, jak w malarstwie figuratywnym, malować postaci tak, że wydają się zawieszane w trakcie wykonywania energicznej czynności, jak stawianie kroku. Ale można też, jak w tzw. malarstwie gestu Jacksona Pollocka, nakładać farbę w tak dynamiczny sposób, że ona sama tworzy rejestr swojego ruchu – chlapiąc, wirując lub skapując przez całą powierzchnię obrazu. A nawet, jak w nurcie optical art (op-art), wywoływać zjawisko postrzegania całych statycznych obrazów jako poruszających się.

Dużym walorem książki jest popieranie informacji cytatami z największych artystów, jak Leonardo da Vinci czy Pablo Picasso. Książka zawiera też kolorowe ilustracje, ułatwiające lekturę niektórych fragmentów. Na końcu jest z kolei lista dodatkowych lektur w części zatytułowanej „Czytaj dalej”. I słusznie, bo *Psychologia sztuki* pozwala jedynie liźnąć liczne wątki, które mogą być inspiracją do dalszego zgłębiania.

George MATHER, *Psychologia sztuki*, tłum. Katarzyna Piszczek,

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2023, seria: Psychologia Wszystkiego.



Leszek Szaruga

Jednym zdaniem

Przed laty, gdy jeszcze w samolotach podawano do posiłków metalowe sztuczki, co jest o tyle ważne, że dzięki temu skompletowałem imponującą kolekcję łyżeczek różnych linii lotniczych, otóż w tych odległych czasach, po zamówieniu dodatkowej szklaneczki whisky, zwróciłem uwagę na jej, owej szklaneczki, kształt oraz funkcjonalność i zdałem sobie sprawę z faktu, że niezmiernie rzadko zdarza się nam dostrzegać w na co dzień używanych czy jedynie towarzyszących nam przedmiotach nie tylko ich walory, lecz także, a może nawet przede wszystkim, myśleć o ich twórcach czy wytwórcach, dzięki którym znalazły się one w naszym otoczeniu, co oznacza, że chcąc nie chcąc weszliśmy w dialog z osobą, która wykreowała, często w trudzie i z mozolem, czasem zaś jakby od niechcenia i przypadkiem coś, co jest przeznaczone dla innych ludzi, w większości zapewne nieznanym, być może nawet takich, którzy będą żyli dziesiątki, a nawet setki czy tysiące lat później i tym samym nawiązuje się między twórcą i użytkownikiem swoista, trudna do zdefiniowania więź, której charakter uzależniony jest od tego, czy wiemy, kto osobiście rzecz ową powołał do istnienia, czy też pozostaje on postacią w pełni anonimową, jak liczni autorzy tekstów czy malarze średniowieczni, nie mówiąc już o wynalazcy koła, niezależnie jednak od tego moc tej więzi zależy od faktu, czy jesteśmy świadomi tego, że obiekt, który jest przez nas dostrzeżony, powstawał z myślą o tych wszystkich, bądź jedynie o konkretnych odbiorcach z myślą, iż wywoła z ich strony jakąś reakcję albo po prostu, jak w wypadku takich plastikowych szklaneczek produkowanych masowo, lecz przecież w oparciu o projekt opracowany przez innego człowieka, zostanie zużyty i wyrzucony bezrefleksyjnie jako nic nieznaczący odpad, świadomość zaś w tym wypadku przywołuje do istnienia kogoś skrytego za bezdusznym procesem mechanicznego odtwarzania jego pomysłu lub nawet kogoś, kto, stworzywszy ten przedmiot przed laty, dziś już nie żyje, gdy tymczasem właśnie w jego wytworze przetrwała do dziś jakaś częśćka jego duszy, jakiś energetyczny impuls, za sprawą którego trwa i rozwija się przez kolejne kontakty dyskretna relacja o ponadczasowym wymiarze, tworząc w ten sposób skomplikowaną sieć wzajemnych powiązań między wszystkimi ludźmi, jako że przecież podobne właściwości mają wszystkie wytworzone przez człowieka przedmioty i tym samym krzyżują się i wciąż rozbudowują plecionkę ludzkiej aktywności, co można zobrazować sytuacją, w której, gdy kupiłem na rynku staroci kamienną figurkę niedźwiedzia

powstała kiedyś, być może dawno temu, w okolicach jeziora Bajkał, zacząłem myśleć o kimś mi osobiście nieznanym, kto pewnie wiele czasu i uwagi poświęcił wydobyciu z odłamka skalnego tego przedmiotu służącego mi dziś jako przycisk do notatek, być może dla samego twórcy będącym zastosowaniem zgoła zaskakującym, ale też począłem się zastanawiać nad drogą, jaką ta figurka musiała przebyć, by w końcu trafić na moje biurko, a też myśleć o ludziach, którzy przede mną weszli w jej posiadanie, co zresztą nie jest pomysłem narracyjnie nowym, jako że przy okazji przypomniałem sobie powieść *Dzieje jednego pocisku* Tadeusza Gałęckiego, bardziej znanego pod pseudonimem Andrzej Strug, masona, mistrza Wielkiej Loży Polskiej, wcześniej zesłańca, następnie legionisty Piłsudskiego, który wraz ze Stefanem Żeromskim, prezydentem powstałej w październiku 1918 roku Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, stał w mej młodości w szeregu pisarzy formujących moją społeczną świadomość, a zatem, jak widać, namysł nad jednym tylko pozornie nic nieznaczącym przedmiotem, jakim była plastikowa, wyrzucona zapewne do śmieci szklaneczka pozwalająca mi umilać sobie podróż smakiem dobrej whisky, może być zapłonem uruchamiającym łańcuch skojarzeń całkowicie nieprzewidywalnych, ale utwierdzającym poczucie spójności świata, przede wszystkim zaś więzi łączących ludzi, z których wielu zapewne byłoby zaskoczonych tym, że coś ich może łączyć z ludźmi epoki kamiennej czy nawet z neandertalczykami, z którymi relacje naszkicowane zostały w pasjonującej książce Dymitra Papagianniego i Michala A. Morse *Neandertalczyk na nowo odkryty* wydanej ostatnio przez oficynę Prószyński i S-ka w przekładzie Bartosza Sałbuta, przy czym są to przecież więzi bardzo dyskretne, zaś odkrywanie ich i śledzenie stanowi jedną ze ścieżek rozwoju nauki, prowadzić zaś może często do konstatacji zdumiewających a nawet dziwnych, nie zawsze zgodnych z naszymi odczuciami czy wyobrażeniami o wspólnym świecie, w którym żyć musimy, co trudno w pełni wyrazić jednym zdaniem, lecz przy odrobinie skupienia i wysiłku wydaje się jednak możliwe, czego pragnąłem dowieść w tym właśnie felietonie, zdając sobie jednocześnie sprawę z faktu, że stawiam czytelniczki oraz czytelników tego tekstu przed przedsięwzięciem być może niewykonalnym, jakim jest przeczytanie całości bez oznak znużenia i złocni na łamach pozwalającego sobie na tak niepoważne wybryki na łamach poważnego periodyku naukowego, co nie zmienia faktu, że sam się przy tym niezłe bawiłem.



Nagroda Narodowego Centrum Nauki 2023

Fotografie: Michał Łepecki, YouTube





CDT-CARD

Centrum Rozwoju Terapii
Chorób Cywilizacyjnych i Związanych z Wiekiem

Celem projektu *Centrum Rozwoju Terapii Chorób Cywilizacyjnych i Związanych z Wiekiem (CDT-CARD)* jest stworzenie i rozwój interdyscyplinarnego, innowacyjnego ośrodka badawczego działającego w oparciu o potencjał naukowy trzech wydziałów **Uniwersytetu Jagiellońskiego – Collegium Medicum**: Wydziału Farmaceutycznego, Wydziału Lekarskiego oraz Wydziału Nauk o Zdrowiu.

Centrum będzie stanowić integralną część **Kampusu Medycznego Prokocim**, a jego składową będą laboratoria badawcze ukierunkowane na praktyczne wykorzystanie wyników badań nad patogenezą chorób cywilizacyjnych i związanych z wiekiem, identyfikacji nowych celów terapeutycznych, tworzenia nowych leków i weryfikacji nowych metod terapii.

Centrum będzie funkcjonować w otwartej formule core facility polegającej na udostępnianiu unikatowych urządzeń i know-how naukowcom krajowym i zagranicznym.

Działalność naukowa Centrum będzie się skupiać, m.in. na poszukiwaniu nowych celów terapeutycznych; prowadzeniu badań przedklinicznych i selekcji nowych kandydatów na leki; rozwoju leku wspomaganego modelami komputerowymi; modelowaniu in silico przebiegu choroby oraz skuteczności leczenia; prowadzeniu niekomercyjnych badań klinicznych; rozwoju pozafarmakologicznych metod terapii i profilaktyki schorzeń cywilizacyjnych i związanych z wiekiem.

Centrum zapewni dostęp do kolejnych etapów rozwoju nowych leków: projektowania i syntezy nowych ligandów, oceny ich powinowactwa do szerokiego panelu celów molekularnych, testów funkcjonalnych, parametrów farmakokinetycznych zwierzęcych modeli chorób oraz przyczyni się do rozwoju jednego z **najbardziej zaawansowanych ośrodków kompleksowych badań przedklinicznych w kraju**.

Projekt został umieszczony na Polskiej Mapie Infrastruktury Badawczej (inicjatyw o kluczowym znaczeniu dla rozwoju nauki w Polsce), a także dostał dofinansowanie w wysokości ponad 39 mln. zł z Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 4.2 POIR „Rozwój nowoczesnej infrastruktury badawczej sektora nauki”.

Więcej informacji dotyczących projektu dostępnych jest pod linkami:

cdt-card.cm-uj.krakow.pl/

linkedin.com/showcase/cdt-card/

